

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



• Mirosław Baka
Odziedziczyłem wstyd,
ale czy ja wiem, czy on
jest chłopski? • Prawo na
wojnie: kogo wolno zabić



**WYSOKIE
OBCASY**
**Katarzyna
Bosacka: Złe
emocje odwieszam**

FOT. WOJCIECH HABDAS / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl

SAM
ALTMAN
Z OPEN AI
**Mroczna
inteligencja**

ZDJĘCIE WYKONANE PRZECZ SZTUCZNA INTELIGENCJĄ
POMYSŁ: BARTOSZ WIELIŃSKI

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Laureat Nagrody
Mocarskiego**
Sławomir Łotysz
o pińskich błotach



**Jak Hitler został
antysemity** Nienawiść
do Żydów wszczepili mu
uciekiniery z Rosji

**IPN pod rękę
z Bierutem**
Skandaliczna decyzja
w sprawie akcji „Wisła”

Agnieszka
Kublik

Ostatnie paski Danuty Holeckiej

Przyprawila „Wiadomościom” gębę. Gębę jarmarcznej propagandy. I to dziś jest jej gęba. Danuta Holecka chciałaby odejść z „Wiadomości” TVP na swoich warunkach. Myślę, że my, widzowie TVP, my, dziennikarze wolnych mediów, mamy prawo oczekiwać, że to spółka ją pożegna. To fundamentalna różnica. Tak gdzieś ok. kilkuset tysięcy złotych. I ocean nieetycznych zagrywek.

Bo tak. Holecka ma z telewizją dwie umowy. Ta na jej firmę – D.D.H. Studio V – opiewała ostatnio na 50 tys. zł miesięcznie za prowadzenie 10-11 wydań „Wiadomości” w miesiącu. Holecka sama ją rozwiązała 30 listopada. I może jednorazowo zgarnąć całą sumę za roczne wypowiedzenie umowy, łącznie 600 tys. zł. Druga to etat szefowej „Wiadomości”, na blisko 20 tys. zł brutto.

Ale Holecka jest w okresie ochrony przedemerytalnej, nie można jej zwolnić ani obniżyć jej pensji. Wyobrażacie sobie, że do 2026 r. zostaje w TVP z pensją blisko 20 tys. zł? To niesprawiedliwe i po prostu niemoralne.

Dlatego o jej odejściu nie może decydować ona sama. Mamy milion powodów, by oczekiwać, że to nowa TVP ją wystawi z okienka i się z nią rozliczy za łamanie prawa prasowego, m.in. poprzez zmuszanie podwładnych do publikacji zmanipulowanych przekazów.

To my wyrzucamy ją z „Wiadomości” (decyzja zapadła 15 października), nie ona sama odchodzi

Holecka dała swoją twarz „Wiadomościom” prezesa Jacka Kurskiego już na samym początku. Nawet zanim usiadła za stołem w studiu „Wiadomości”, cała na czerwono, cała uchachana witała Kurskiego w gmachu na Woronicza w styczniu 2016 r. Przejmował wtedy TVP dla Jarosława Kaczyńskiego. Już w tej sekundzie Holecka wzięła na siebie całego Kurskiego, a zwłaszcza jego obsesję pokazania Kaczyńskiemu, jak bardzo jest zdolny do niszczenia ludzi, którzy stają szefowi PiS na drodze.

Holecka zagrała w tę grę, a potem ją nawet reżyserowała, od wiosny 2019 r. jest wszak szefową „Wiadomości”. Pomagała Kurskiemu wypełniać rozkazy władzy, by opozycję „pięknie zaatakować” (co wiemy z maili ze skrzynki Dworczyka). Na jej konto idą te wszystkie paski „Wiadomości”. Te wazeliniarskie (np. „Polacy cenią partię Jarosława Kaczyńskiego”, „Polska to wyspa wolności i tolerancji”) i te upadające opozycję (np. „Platforma broni komunistycznych relikwów”, „Bilans PO-PSL: setki miliardów strat”).

To Holecka, członkini komisji etyki TVP (cha, cha), zapytała Andrzeja Dudę tuż przed wyborami prezydenckimi: „Co zrobić, żeby rzeczywiście to pan wygrał?”. To wszystko miało swój cel – Kurski po wygranych przez Dudę wyborach prezydenckich (nieznacznie) przechwalał się, że gdyby nie wsparcie jego telewizji, Duda mógłby nie pokonać Rafała Trzaskowskiego (i pewnie się nie mylił).

Holecka podobno chce po raz ostatni poprowadzić „Wiadomości” 12 grudnia. Na Facebooku powstało wydarzenie Wielkie Narodowe Oglądanie Ostatnich Wiadomości z Danutą Holecką.

Pamiętajmy, że to my wyrzucamy ją z „Wiadomości” (decyzja zapadła 15 października), nie ona sama odchodzi.

Choć chce nas oszukać i w tej sprawie. ●

Andrzej rysuje



Z Alaski do Chicago Pluszowe szczęście



ERIN HOOLEY/AP

To ośmiotygodniowe wydrze dziecko, samotne i niedożywione, znaleziono w Seldovii na Alasce. Zabrano je do Alaska SeaLife Center, stamtąd pojechało do Shedd Aquarium w Chicago. Po kwarantannie dołączy do pięciu wydr z Shedd. 6 grudnia, Chicago

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Ja, złamas, który dokumentuje i pyta

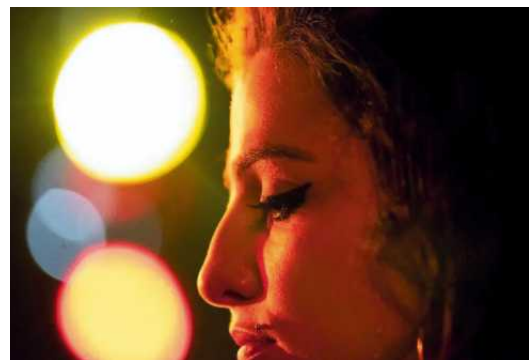


FOT. RENATA DĄBROWSKA

Maciej Moskwa, reporter z granicy białoruskiej, zabiera głos w debacie o uchodźcach
• Czytaj ► Wyborcza.pl/magazyn

Film o Amy Winehouse Czekając na czerń

Na zdjęciu widać zatopioną w myślach i melancholii Amy Winehouse. Nie jest to jednak brytyjska wokalistka, ale wcielająca się w nią w filmie „Back to Black” Marisa Abela. To zdjęcie jest tak prawdziwe, że wywołuje ciarki. Film w reżyserii Sam Taylor-Johnson wejdzie do kin 12 kwietnia, równocześnie w Polsce i w Wielkiej Brytanii. Abela za dwa dni skończy 27 lat, czyli tyle, ile Winehouse miała w chwili śmierci. Fabuła „Back to Black” poświęcona będzie pierwszemu latom XXI wieku, kiedy kariera Amy Winehouse nabra-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ła szaleńczego tempa, a tłem opowieści będzie rzecz jasna Londyn. Winehouse była jednym z największych zjawisk muzycznych ostatnich lat. W doskonały, współczesny soul, poprzeplatany z bluesem, ska i swingiem, tchnęła całą swoją skołataną duszę. Miała przed sobą świetlaną przyszłość. Zostawiła po sobie dwa pełne albumy studyjne „Frank” oraz „Back to Black”, garść rozrzuconych

nagrań, kilka koncertów i bootlegów.

Od śmierci Amy Winehouse minęło ponad 12 lat. Fani zdecydowanie powinni też sięgnąć po wydaną w zeszłym roku koncertówkę „Live at Glastonbury 2007” ze świetnym występem piosenkarki na legendarnym festiwalu. Artystka do Polski nie dotarła, chociaż miała to w planach, a na tej płycie słysząc, ile przez to straciliśmy. ●
Łukasz Kamiński

Podcast „Moja odwaga”

Dawid Polak: Nie pozwolę, żeby lęk odebrał mi radość z życia

- Dlaczego mężczyźni powinni mówić o kryzysach psychicznych?
- Czym są zaburzenia lękowe i jak sobie z nimi radzić?
- Czym się różni strach od lęku?
- A także dlaczego młode sowy śpią na leżąco?



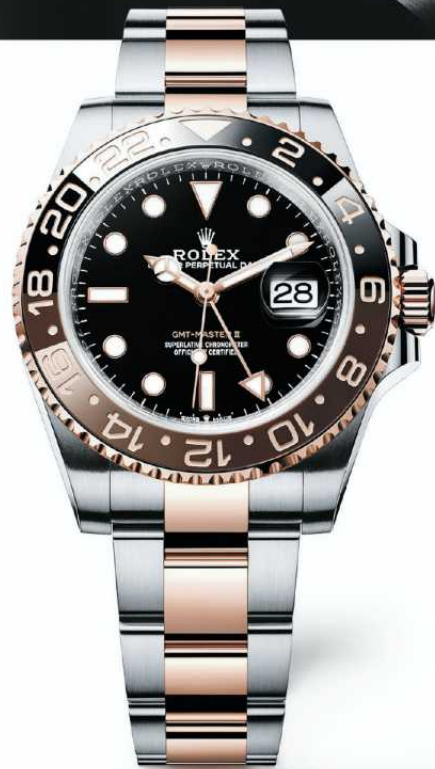
Na te i inne pytania odpowiada Dawid Polak, biotechnolog i popularyzator nauki, autor konta Biotech.geek na Instagramie, gdzie opowiada również o zdrowiu psychicznym. **Zaprasza Agnieszka Jucewicz. Do słuchania na <https://wyborcza.pl/podcast>**



PRZEMIERZAJĄC ŚWIAT

Zegarek dla podróżników. Zaprojektowany w 1955 roku oryginalny GMT-Master szybko przypadł do gustu pilotom transatlantyckim jako narzędzie do nawigacji. 24-godzinna wskazówka i obrotowy pierścień pozwalają mu na jednoczesne wyświetlanie dwóch stref czasowych. Dziś GMT-Master II z zaawansowanym technologicznie dwukolorowym pierścieniem Cerachrom odzwierciedla estetykę oryginalnego modelu, pozostając idealnym zegarkiem dla tych, którzy przemierzają świat wzdłuż i wszerz. **GMT-Master II.**

#Perpetual



OYSTER PERPETUAL GMT-MASTER II

OFICJALNY SPRZEDAWCA ROLEX

W.KRUK
1 8 4 0


ROLEX

W nowym Sejmie nie wszystko idzie idealnie

PiS na pomoc wezwie Unię?

Do Wigilii sporo czasu, a w polskiej polityce cuda. Prawo i Sprawiedliwość kopiuje rozwiązania Platformy Obywatelskiej, Platforma kopiuje triki PiS

Wielowieyska



Przez osiem lat słyszeliśmy, że jeśli jakaś partia, jakiś polityk albo sędzia zwracają się do instytucji unijnych, np. do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, że skargą na polskie władze, to są targowicą oraz „gorszym sortem” z wmontowanym genem zdrady. Ale ostatnio stał się cud! Prezes NBP Adam Glapiński na wieść, że może być postawiony przed Trybunałem Stanu, wezwał na pomoc Bank Światowy i Europejski Bank Centralny. Szefowa EBC Christine Lagarde odpisała uprzejmie, że jeśli szef polskiego banku centralnego „bezpawnie” zostanie pozbawiony stanowiska, to powinien się zwrócić do TSUE. I Glapiński zamierza to zrobić. Czy PiS nazwał go targowicą, która skarży się na Polskę za granicą? Skądże! Zwracanie się do TSUE już nie jest zdradą!

Unia już dobra

W liście Lagarde kluczowe jest słowo „bezpawnie”. Tymczasem sam PiS właśnie przyznał, że ewentualne odsunięcie Glapińskiego od pełnienia obowiązków prezesa jest legalne. Ustawa o Trybunale Stanu mówi, że większość bezwzględna w Sejmie może postawić prezesa NBP przed TS i zawiesić go w obowiązkach służbowych. I te przepisy PiS zaskarżył do Trybunału Julii Przyłębskiej. Innymi słowy, uznaje, że taka możliwość zgodnie z prawem istnieje, i teraz próbuje to zmienić. Nie wiem, co zrobi większość sejmowa w tej sprawie, spodziewam się, że Trzecia Droga będzie sceptyczna wobec stawiania Glapińskiego przed Trybunałem. Uważam, że sejmowa komisja odpowiedzialności konstytucyjnej powinna zbadać, czy prezes NBP łamał prawo. Poważnym argumentem za postawieniem go przed TS byłoby działanie na rzecz osłabienia złotego, podczas gdy konstytucja nakazuje NBP dbać o wartość polskiej waluty. Prawdopodobnie akcja osłabiania złotego miała miejsce w 2020 roku. Problemem jest także to, że Glapiński ograniczał dostęp do analityków oraz protokołów z posiedzeń Rady Polityki Pieniężnej. Na to skarżyli się zarówno członkowie zarządu banku centralnego, jak i członkowie RPP. Bardzo dobre uzasadnienie postawienia Glapińskiego przed TS znalazło się w piśmie członka prezydenta Andrzeja Dudy, członka zarządu NBP Pawła Muchy. Także jemu prezes NBP ograniczał dostęp do dokumentów. Jednak pomysł, że Glapiński powinien stanąć przed TS za drożyzną, uważam za naciągany, choć oczywiście jest, że popełnił tu poważne błędy. Decyzje te jednak podejmowała cała Rada – dlatego trzeba poczekać na efekt pracy komisji odpowiedzialności konstytucyjnej. Nie widzę nic złego w tym, że Glapiński zostanie postawiony przez TS i zawieszony, a następnie TSUE zarządzi, iż nale-



• Jarosław Kaczyński w otoczeniu posłów PiS podczas posiedzenia nowego Sejmu FOT. ANDRZEJ IWAŃ CZUK/REPORTER

ży go przywrócić na stanowisko. Decyzję TSUE trzeba będzie wykonać i państwo polskie pokaże, że stosuje się do wyroków tego unijnego Trybunału, nawet jeśli polskie władze mają odmienne zdanie w danej kwestii. Miałoby to walor edukacyjny dla elektoratu PiS, który będzie musiał wychwalać sąd UE za dobrą decyzję i cieszyć się, że Unia ma wpływ na bieg spraw w Polsce.

Na razie PiS chce zablokować możliwość postawienia Glapińskiego przed TS: Julia Przyłębska ma ogłosić, że nie wolno nic Glapińskiemu zrobić do momentu, gdy Trybunał Konstytucyjny nie wyda orzeczenia w tej sprawie. Czy będzie to mieć jakieś znaczenie? Trybunał w zasadzie nie istnieje: oprócz tego, że zasiadają w nim dublerzy (to potwierdza wyrok ETPCz), to na dodatek sędzia Przyłębska nie jest już prezesem, co głosi nawet część członków TK z nadania PiS. A tym samym nie ma prawa rządzić Trybunałem i ustalać składów sędziowskich. Co więcej: Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz nie powinni tam zasiadać, bo PiS sam uchwalił przepisy, wedle których powyżej określonego wieku nie można się ubiegać o takie stanowiska sędziowskie. Owszem, są w TK sędziowie legalnie wybrani, ale nie zmienia to faktu, że ta instytucja jest obarczona tyloma wadami prawnymi, iż nie sposób uznawać jej decyzji. Trybunał nie działa – i taką uchwałę powinien przyjąć Sejm.

Wezwanie do zamachu

Ale zanim koalicja demokratyczna weźmie się za porządkowanie spraw związanych z praworządnością, czeka nas – za sprawą PiS – najdziwniejszy harmonogram prac Sejmu.

Czytamy w nim, że 11 grudnia o godz. 10 prezes Rady Ministrów wygłosi exposé i poprosi o wotum zaufania. O godzinie 15 nastąpi głosowanie, a potem przerwa i czas na zgłoszenie nowego kandydata na premiera. Pierwszy raz w III RP w ciągu jednego dnia Sejm zamierza zakończyć pierwszy krok konstytucyjny i dać czarną polewkę jednemu premierowi. I tego samego dnia powołać innego premiera w drugim kroku konstytucyjnym.

Tusk przedstawi swój gabinet, a prezydent Andrzej Duda musi zaprzysiąc ten gabinet. Zapewne stanie się to dopiero 13 grudnia. Tak wynika z zapo-

wiedzi głowy państwa. Trzeba jednak przypomnieć, że państwowa komisja ds. badania wpływów rosyjskich na czele ze Sławomirem Cenckiewiczem ogłosiła, że nie rekomenduje powierzania Donaldowi Tuskowi i kilku innym politykom PO funkcji publicznych.

„Rekomendacje komisji ds. wpływów rosyjskich powinny być wzięte pod uwagę przez prezydenta Andrzeja Dudę, jest to konieczne” – stwierdził wiceprezes PiS Antoni Macierewicz w kontekście drugiego kroku, w którym prezydent ma mianować Tuska na premiera.

Dlaczego Kaczyński nie lubi Hołowni? Bo rozładowuje napięcia, a szefowi PiS służy agresja i wojna

Oświadczenie wiceprezesa największej partii opozycyjnej jest wezwaniem do zamachu stanu. I trzeba to jasno komunikować. Oto większość sejmowa wyłoniona w demokratycznych wyborach, która wskazała kandydata na premiera, nie miałaby prawa tworzyć rządu wedle własnego uznania. Jarosław Kaczyński doskonale wie, że deklaracja Macierewicza ma charakter zamachu stanu, bo gdy dziennikarka „Wyborczej” Justyna Dobrosz-Oracz pytała go o zdanie w tej sprawie, wywinął się od odpowiedzi.

I można oczywiście machnąć ręką, bo kto zwraca uwagę na szalonego pana Antoniego, a ekipa Cenckiewicza, składająca się z osób mu podobnych, musiała coś z siebie wyrzucić, no i jaka partia, taki zamach. Wiadomo, że Andrzej Duda nie będzie słuchał Macierewicza, ale gdy PiS będzie podnosił lament, bo nie będą mu się podobały jakieś decyzje nowej większości, to warto ten fakt nawoływania do obalenia demokracji przypominać.

Rozładowanie emocji

Na razie PiS narzeka, że ich rozliczne projekty nie są przyjmowane przez nową większość. Można rzec: ich dobre prawo jako opozycji, by krytykować rządzących. Mamy jednak dość paranoiczną sytuację, w której to ga-

binet PiS premiera Mateusza Morawieckiego jeszcze rządzi, sztucznie podtrzymywany decyzją prezydenta, a wiele z tych rozwiązań mógł wprowadzić w poprzedniej kadencji. Tymczasem Sejm przed wyborami pracował jedynie do końca sierpnia, a potem posłowie nic nie robili, bo marszałek Sejmu Elżbieta Witek Sejmu nie zwoływała, a tych postulatów, zgłaszanych przez PiS, nie uwzględniono w projekcie budżetu, który przygotował rząd Morawieckiego.

Poza tym prezydent Duda wyznaczył datę posiedzenia Izby nowej kadencji w ostatnim możliwym terminie. Do kogo więc te pretensje, że wiele projektów Sejm proceduje dopiero teraz? Mamy do czynienia z politycznym cyrkiem, a w tym cyrku musi sobie jakoś radzić marszałek Sejmu Szymon Hołownia. Jego styl prowadzenia obrad jest błogosławieństwem. Owszem, już pojawia się narzekanie, że trochę gwiazdorzy i przesadza z autopromocją, ale ma tę cechę, że rozładowuje złe emocje i utrudnia Kaczyńskiemu polaryzację. A prezes PiS chciałby, aby awantury były agresywne, włącznie z wzajemnym wyzywaniem się oponentów od najgorszych. Kaczyński uważa, że totalna wojna polityczna mu służy, cementuje jego obóz i jego nad nim władzę. Hołownia to neutralizuje, bo jest przyjazny, żartobliwy, acz konsekwentny, a doświadczenie telewizyjne bardzo mu w tym pomaga.

Ale nie wszystko wygląda idealnie w nowym Sejmie. Nie ma wątpliwości, że dopisanie przepisów o farmach wiatrowych do projektu o mroźeniu cen energii jest błędem koalicji demokratycznej. Te przepisy były złe przygotowane i nieprzemyślane. I jedynym rozsądnym wyjściem było wycofanie wiatraków z tej ustawy i zapowiedź, że osobny projekt w tej sprawie zostanie przyjęty przez rząd oraz odbędą się wszelkie wymagane konsultacje. Taką słuszną decyzję liderzy koalicji demokratycznej już podjęli. Tak się kończy pośpiech i kopiowanie pomysłów PiS, który notorycznie zgłaszał projekty poselskie, zamiast rządowych, aby było szybciej. I to PiS stosował triki, które polegają na tym, że do ustawy, przeciwko której trudno głosować, np. takiej jak ta o mroźeniu cen za energię, wrzuca się coś, co wzbudzi protesty opozycji. Nie ma sensu iść drogą Jarosława Kaczyńskiego. Ale też zarzuty PiS, że w sprawie wiatraków działali lobbysci, można skwitować tak: diabeł ubrał się w ornat i na mszę dzwoni. W poprzedniej kadencji posłowie klubu PiS notorycznie zgłaszali poprawki, ewidentnie pisane przez lobbystów, którzy się nie ujawniali, tylko traktowali posłów jak swoich posłańców, np. przy okazji ustawy o akcyzie tytoniowej. Lobbving jest czymś naturalnym i dobrym w demokracji, pod warunkiem że jest jawny. I warto o tę jawność zadbać w nowej kadencji Sejmu: do każdego projektu ustawy bądź interpelacji powinna być dołączona adnotacja, kto brał udział w przygotowaniu tego dokumentu i na bazie jakich materiałów powstał. Nowa koalicja rządząca powinna o to zadbać. ●

Dominika Wielowieyska

PIOTR MICHAŁOWSKI
„PORTRET JÓZEFA I ROMANA MICHAŁOWSKICH,
BRATANKÓW ARTYSTY”, OKOŁO 1850

Estymacja: 1 500 000 - 2 200 000 zł

DESA
UNICUM

SZTUKA DAWNA. XIX WIEK, MODERNIZM, MIĘDZYWOJNIE. SESJA I

AUKCJA 7 GRUDNIA 2023, 19:00

DESA UNICUM, UL. PIĘKNA 1A

Wystawa prac:
1 – 14 grudnia 2023

pn. – pt. 11:00–19:00 sob. 11:00–16:00
WSTĘP WOLNY

Zapraszamy do licytacji online i telefonicznych 514 446 892.
Pobierz aplikację DESA Unicum i oglądaj transmisję na żywo.



Zeskanuj kod QR
i dowiedz się
więcej o aukcji

DESA UNICUM. NAJWIĘKSZA PRYWATNA INSTYTUCJA KULTURY.

DESA.PL

Proponuję zabawę na weekend. Opiszę dwa scenariusze, a czytelnicy niech zgadną, który jest prawdą, a który pochodzi z powieści science fiction.

Scenariusz pierwszy. W wyborach w Indiach przegrywa partia nacjonalistyczna, a wygrywa nowa, złożona z ludzi różnych kast i religii, również tych niezamożnych, zdeterminowanych, żeby coś zmienić. Nacjonalizuje firmy energetyczne, zamyka kopalnie węgla, Indie stają się pionierem w budowie nowych elektrowni wiatrowych i słonecznych. Partia rozmontowuje system kastowy, nie sprzedaje już taniej siły roboczej za granicę. Nowe Indie wkraczają na scenę polityczną i wysyłają jasny przekaz dla reszty świata: „Zmieńcie się, tak jak my to zrobiliśmy!”. Świat słucha, chociaż opornie.

Scenariusz drugi. Mimo że już w 2015 r. w Paryżu wszystkie państwa zobowiązały się do obniżenia emisji gazów cieplarnianych, osiem lat później emisje wciąż są najwyższe w historii. W związku z tym międzynarodowy szczyt klimatyczny COP28 zostaje zwołany w mieście wybudowanym na pustyni w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, kraju, który jest naftową potęgą. Jego przewodniczącym zostaje szef koncernu paliwowego albo – jak sam mówi – „progresywnej i postępowej firmy energetycznej”. To on ma teraz nadzorować negocjacje w sprawie odejścia od paliw kopalnych.

SZCZYTOWI KLIMATYCZNEMU PATRONUJE SZEF ARABSKIEGO KONCERNU NAFTOWEGO

Niestety, pewnie większość już wie, że prawdziwy jest scenariusz drugi, chociaż równie dobrze mógłby być początkiem dystopijnej powieści, na końcu której wszyscy umierają. Szczyt klimatyczny COP28 rozpoczął się w Dubaju w zeszły czwartek, a jego przewodniczącym został Sultán Ad-Dżaber, szef koncernu energetycznego Adnoc. Wydawałoby się, że trudno o większy konflikt interesów niż ten występujący, kiedy szef koncernu paliwowego ma nadzorować proces, w wyniku którego niechybnie ucierpi biznes, któremu przewodzi. Główna bitwa tegorocznego szczytu będzie się bowiem toczyć wokół tego, czy w końcowym tekście powin-

no się znaleźć zdanie o ostatecznym „wycofaniu się z paliw kopalnych”. Chociaż trudno w to uwierzyć, po niemal 30 latach klimatycznych rozmów strony wciąż nie zgodziły się co do tego, że jest to absolutna konieczność. Aktualny konsensus to zagniewana fraza, którą można przetłumaczyć jako: „przyspieszenie wysiłków w kierunku wycofywania się z niesłabnącego zużycia energii z węgla”.

Nic dziwnego, że głosy sprzeciwu wobec roli Sultána Ad-Dżabera jako przewodniczącego COP28 wybrzmiewały na wiele miesięcy przed jego rozpoczęciem. „Lobbyści od dawna mieli wpływ na te konferencje, a ta decyzja tylko to potwierdza” – to komentarz Greta Thunberg, która nazwała ją „całkowicie niedorzeczną”. Jednak wiele osób dostrzegało pewną wartość w tym, że koncern paliwowy zostanie zaproszony do rozmów o ograniczeniu emisji. Na przykład Simon Stiell, sekretarz wykonawczy UNFCCC (ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu), powiedział: „Wiemy, jakie są problemy. Ale żeby rozmowy ewoluowały od tego, co powinniśmy zrobić, do tego, jak mamy to zrobić, przemysł paliwowy powinien być w tych rozmowach partnerem”.

Powinien, o ile rzeczywiście podziela cel, jakim jest ograniczenie globalnych emisji, które nie obędzie się bez radykalnego ograniczenia wydobywania i spalania paliw kopalnych. Sam Sultán Ad-Dżaber jeszcze przed rozpoczęciem szczytu zapewniał, że jako przewodniczący COP28 przede wszystkim dąży do tego, aby średnia temperatura na świecie nie wzrosła bardziej niż o 1,5 stopnia w stosunku do poziomu sprzed rewolucji przemysłowej. Jak to sobie wyobraża? Trudno powiedzieć, gdyż jego wypowiedzi zwykle są pozbawione konkretów. W rozmowie z „The Guardian” powiedział na przykład: „Musimy na nowo wyobrazić sobie relacje producentów z konsumentami. Potrzebujemy zintegrowanego podejścia”, przyznając jednocześnie, że wcale nie ma zamiaru planować zamknięcia swojej firmy, ponieważ pewna ilość paliw kopalnych wciąż będzie potrzebna, nawet po energetycznej transformacji.

Jednak kontrowersje w związku z rolą Ad-Dżabera miały też nieoczekiwane po-

zytywne skutki. Działania Adnocu oraz plany energetyczne Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy Arabii Saudyjskiej zostały skrupulatnie prześwietlone przez dziennikarzy śledczych. Już w sierpniu tego roku „Guardian” donosił, że dotarł do listy „drażliwych tematów” i „strategicznych przekazów” ważnych dla rządu ZEA. (Drażliwe tematy: to, że Adnoc nie upublicznił danych odnośnie do swoich emisji, więźniowie polityczni czy wolność słowa; strategiczny przekaz: ZEA pomagają budować system energetyczny jutra, ograniczając emisje związane z produkcją ropy i gazu, a nie samym ich spalaniem).

Z kolei na kilka dni przed rozpoczęciem konferencji BBC na podstawie przejętych dokumentów ujawniło, że podczas spotkań poprzedzających COP ZEA planowały negocjowanie umów dotyczących ropy i gazu aż z 15 krajami. Z dokumentów wynika, że podczas rozmów z Chinami należało podkreślić, że Adnoc „jest gotowy wspólnie ocenić międzynarodowe możliwości dotyczące gazu” w Mozambiku, Kanadzie i Australii, natomiast z Kolumbią – że Adnoc jest w gotowości, by pomóc rozwinąć jej rezerwy ropy i gazu. Podczas gdy naukowcy jednogłośnie twierdzą, że absolutnie nie powinno się już eksplorować nowych złóż. Sultán Ad-Dżaber zaprzeczył tym oskarżeniom, twierdząc, że nigdy nie widział cytowanych przez BBC dokumentów.

Potem pojawiały się kolejne newsy. „Guardian” doniósł o tym, że Arabia Saudyjska planuje prowadzenie w Afryce inwestycji, które spowodują, że wzrośnie jej popyt na ropę i gaz. W planach jest inwestowanie w masową produkcję tanich samochodów i rozwój tanich linii lotniczych. Mohamed Adow, dyrektor think tanku Power Shift Africa, skomentował, że działania saudyjskiego rządu przypominają działania dilerów, którzy próbują uzależnić Afrykę od szkodliwych produktów. W innym śledztwie „Guardian” odkrył, że w Zjednoczonych Emiratach wciąż spala się gaz na flarach podczas wydobywania ropy, mimo iż kraj już 20 lat temu zobowiązał się, że zaprzestanie tego procederu. Dodatkowo Adnoc ma także największe na świecie plany rozwoju produkcji ropy i gazu. Ostatnia maska opadła, kiedy wyszło na jaw, że podczas rozmów w listopadzie Ad-

-Dżaber przyciśnięty do ściany przez Mary Robinson, byłą prezydent Irlandii, powiedział, że „nauka nie potwierdza konieczności odejścia od paliw kopalnych w celu utrzymania wzrostu temperatury poniżej 1,5 stopnia” i „to spowodowałoby powrót ludzi do jaskiń”.

Mając to wszystko na uwadze, naprawdę trudno jest uwierzyć w prawdziwość proklimatycznych deklaracji i „zintegrowanego podejścia” ZEA oraz Sultána Ad-Dżabera.

60 PROC. PODATKU DLA NAJBOGATSZYCH

Wróćmy do naszej zabawy – rzeczywistość czy science fiction?

Scena pierwsza. Przez Indie przetacza się fala bezprecedensowych upałów – temperatura wynosi 32 stopnie już o wschodzie słońca. W samym środku jej trwania w większości kraju dochodzi do awarii elektrowni. Ci, którzy mogą, uruchamiają prywatne generatory, by utrzymać działanie klimatyzatorów, jednak paliwo szybko się kończy. Ludzie z wioski nieopodal miasta Lakhnau w stanie Uttar Pradeś, szukając ochłody, kierują się w stronę pobliskiego jeziora. Woda w nim wciąż jest nieco chłodniejsza niż powietrze, ale stopniowo się podgrzewa. Innych opcji ochłodzenia nie ma.

Scena druga. W Iraku temperatura dochodzi do 50 stopni. W południowych prowincjach drugą noc z rzędu wysiada przeciążona sieć energetyczna. W miastach zapada ciemność. Jedzenie psuje się w lodówkach. Szpitale przyjmują coraz więcej pacjentów, którzy mają trudności z oddychaniem. Rodzice kładą dzieci spać w sa-

COP28 w Dubaju

SULTAN GRZEJE

Szczyty klimatyczne coraz bardziej przypominają literacką dystopię

Urszula Jabłońska

FOT. JORGE SAENZ/AP

mochodach i godzinami krążą po ciemnych ulicach z włączoną klimatyzacją, żeby choć trochę je ochłodzić.

Prawdziwa jest scena druga, ale właściwie pierwsza jest równie prawdopodobna. Jeżeli utrzymamy obecny kurs, temperatura jeszcze w tym stuleciu wzrośnie do 3 stopni powyżej tej sprzed rewolucji przemysłowej. Już w tym momencie według różnych szacunków wzrosła o 1,09-1,2 stopnia. A to oznacza, że sceny takie jak te opisane powyżej będą na porządku dziennym, zwłaszcza w krajach globalnego Południa. Zeszłoroczny COP w Egipcie zakończył się powtórzeniem deklaracji sprzed roku o „przyspieszeniu wysiłków w kierunku wycofywania się z nieślabnącego zużycia energii z węgla” oraz podejmowaniu wysiłków w kwestii ograniczenia wzrostu temperatury do 1,5 stopnia. Problem w tym, że aby można było tego dokonać, globalne emisje muszą spaść o 43 proc. już do 2030 r. Tymczasem mamy za sobą kolejny rok z najwyższymi emisjami dwutlenku węgla w historii. A także z najwyższymi temperaturami.

Mimo braku postępu w kwestii odejścia od paliw kopalnych dużym zwycięstwem COP27 w Egipcie było stworzenie Funduszu Strat i Zniszczeń, mającego pomagać krajom rozwijającym się w walce ze skutkami zmian klimatu, do których nie mogą się już przystosować. To nie tylko zalać pola uprawne czy zburzona przez cyklon wioska, ale też gorszy dostęp do edu-

kacji, problemy zdrowotne i psychiczne spowodowane kataklizmami, utrata lokalnej wiedzy, jak uprawiać ziemię, czy technik łowieckich. Na COP28 centralnym pytaniem jest, skąd wziąć pieniądze, które zasilą fundusz. Potrzebne są setki miliardów dolarów. Już pierwszego dnia szczytu uchwalono, że fundusz ma być administrowany przez Bank Światowy i oparty na dotacjach. ZAE i Niemcy zadeklarowały wpłatę 100 mln dol. Dołożyły się też Wielka Brytania, Unia Europejska, USA i Japonia. Ale to wciąż niewielki procent potrzebnych funduszy. Jest oczekiwanie, że teraz w ich ślady pójdą inne kraje rozwinięte. Kraje rozwijające się będą także zachęcane do wpłat. Problemem jednak jest to, że podział na państwa rozwinięte i rozwijające się nie jest już aktualny. Na przykład ZEA wciąż należą do grupy państw rozwijających się, mimo że w wielu zestawieniach znajdują się w pierwszej dziesiątce najbogatszych krajów świata, a emisje per capita należą tu do najwyższych. Dlatego 70 osobistości ze świata polityki i ekonomii (m.in. były sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon) podpisało się pod petycją, aby kraje, których gospodarka oparta jest na ropie i gazie, wpłaciły 25 mld dol. na walkę ze skutkami zmian klimatu. Jednak nawet jeżeli to się uda i te kraje będą

w stanie poświęcić niewielki procent swoich przychodów na cele klimatyczne, i tak potrzebne będą jeszcze inne źródła finansowania.

Na COP28 powstała też grupa robocza dotycząca podatków, która ma rozważyć opcje opodatkowania przemysłu lotniczego, transportu, transakcji finansowych i właśnie firm wydobywających ropę. Międzynarodowa Agencja Energetyki szacuje, że przychody sektora energetycznego wyniosły 4 bln dol. w 2022 r., o 2,5 bln więcej niż trzy lata wcześniej. To przemysł, który bogaci się bezpośrednio na wydobywaniu ropy, która powinna zostać w ziemi, dlaczego więc miałyby nie ponieść finansowych konsekwencji?

Tuż przez rozpoczęciem COP28 Oxfam opublikował raport, w którym jasno zaznacza, że aktualnie 1 proc. najbogatszych jest odpowiedzialny za dwie trzecie światowych emisji gazów cieplarnianych. Transformacja energetyczna nie może nastąpić bez uznania tych nierówności. W celu zgromadzenia pieniędzy na transformację, adaptację oraz niwelowanie strat i zniszczeń Oxfam proponuje więc obciążenie najbogatszych 60-proc. podatkiem. W ten sposób ci, którzy są bezpośrednio odpowiedzialni za kryzys wywołany przez emisje, zapłacą za usuwanie jego skutków. Dzisiaj nierówności społeczne funkcjonują nie tylko w skali geopolitycznej (państwa globalnych Północy i Południa), występują także w obrębie każdego kraju, więc obciążanie kosztami transformacji po równo ludzi bogatych i biednych nie wydaje się sprawiedliwe. Oczywiście, propozycja Oxfamu na razie jest raczej utopijna, jednak dyskusja, także ta dotycząca finansów, którą zapoczątkowały kontrowersje wokół szczytu klimatycznego w Dubaju, niesie iskrę nadziei.

Na zeszłorocznym szczycie COP27 w Egipcie obecnych było ponad 600 lobbystów paliw kopalnych. W tym roku to rekordowe 2500 (dla porównania: przedstawiciele rdzennych społeczności jest 316). Rok temu za kulisami trwały rozmowy o sprzedaży gazu, jednak wszystko odbywało się raczej po cichu. Od lat wiadomo, że koncerny paliwowe przeszkadzają w sprawnym prowadzeniu polityki klimatycznej, ale mówi się o tym stosunkowo niewiele. Więc o ile nie wydaje się, aby szczyt klimatyczny, któremu przewodzi szef koncernu naftowego, był istotnym przełomem w kwestii decyzji o odejściu od wydobywania ropy i gazu, paradoksalnie być może sprawi, że greenwashing, hipokryzja i fałszywe obietnice wielkiego biznesu oraz potęg naftowych wreszcie znajdą się w centrum uwagi. Trudno

o lepszą scenę do tego objawienia niż Dubaj, gdzie w powietrzu unosi się smog (podczas szczytu zdarzało się, że zanieczyszczenie powietrza pięć razy przekraczało normę), a z okien hoteli widać dymiące elektrownie.

Fakty bowiem mówią same za siebie. Kiedy wzrosły ceny paliw po rosyjskiej inwazji na Ukrainie, koncerny paliwowe nie wykorzystwały dodatkowych zysków, by w jakikolwiek sposób wspomóc energetyczną transformację. Przeznaczały tylko średnio 2,5 proc. swojego kapitału na inwestycje w zieloną energię. Wszystko wskazuje również na to, że wcale nie zamierzają ograniczać eksploracji nowych źródeł ani sprzedaży kolejnych baryłek ropy. Co jeszcze musi się wydarzyć, żebyśmy zrozumieli, że to nie je powinniśmy zapraszać do rozmów o tym, jak ratować planetę? Natomiast na pewno one powinny za to zapłacić.

ZAMKNĘLI NA MIESIĄC PLUTOKRATÓW Z FORUM W DAVOS

Na koniec jeszcze jedna scena. Tu już nie będzie zagadki, to stuprocentowe science fiction. Jest rok 2024. Poszczególne państwa wciąż nie wypełniły swoich zobowiązań odnośnie do ograniczenia emisji. Na szczycie klimatycznym COP29 w Bogocie powołano więc nowe ciało doradcze, żeby pomogło wprowadzić w życie sensowne rozwiązania. Organizacja ma na celu obronę biosfery i przyszłych pokoleń ludzi oraz wszystkich żyjących istot, ponieważ nie są w stanie mówić za siebie. Nazywa się Ministerstwo Przyszłości. Ostatecznie ludzkości udaje się skierować globalną gospodarkę i ekologię na właściwe tory, chociaż decyzją o opodatkowaniu koncernów energetycznych zapada dopiero na COP43. Droga do sukcesu jest wyboista i czasem trzeba uciekać się do radykalnych środków – na przykład zamknąć wszystkich uczestników Światowego Forum Ekonomicznego w Davos i przez miesiąc codziennie wyświetlać im filmy o tym, jak wygląda życie ludzi, którzy skutki kryzysu klimatycznego odczuwają na własnej skórze.

Jednak kiedy obserwuję, co się dzieje na COP28 w Dubaju, mam wrażenie, że to właśnie takie ministerstwo, które broni interesów przyszłych pokoleń, powinno zostać zaproszone do negocjacji na szczytach klimatycznych zamiast koncernów paliwowych. ●

Sceny science fiction pochodzą z książki Kima Stanleya Robinsona „The Ministry for the Future”

1 proc. najbogatszych jest odpowiedzialny za dwie trzecie światowych emisji gazów cieplarnianych



SEDZIO, UZASADNIJ

**Kowalskiemu i Nowakowej,
że jesteś potrzebny**

Z PROF. **TOMASZEM TADEUSZEM KONCEWICZEM*** ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

Panie profesorze, dzisiaj prestiż prawa jest bardzo niski, ale też przed 2015 r. nie był wysoki. Więc nie ma sensu wracać do tego, co było?

– Absolutnie się zgadzam. Nie stać nas na prosty powrót do wygodnego czasu sprzed 2015 r.

Wygodnego?

– Bo po 1989 r. nie mieliśmy rzetelnej dyskusji o tym, po co ludziom sąd, i o tym, jak sami sędziowie postrzegają swoje powołanie. Jeżeli chcemy rzetelnie odbudować państwo prawa, dyskusja musi być budowana wokół tego, jak zapewnić zaufanie obywatela do państwa i prawa „od dołu”, w sądzie, w urzędzie.

W 2023 r. wiemy już, że zaufania tego nie zbuduje deklaracja „Polska jest demokratycznym państwem prawa”. Trzeba ją umiejętnie przekładać na sprawy zwykłych ludzi. Bezwzględny atak PiS wymusił to, że sami sędziowie zaczęli dostrzegać wagę społecznej funkcji swojego zawodu, konieczność komunikowania w sposób zrozumiały orzeczeń, tłumaczenia prawa ludziom, którzy w sądzie widzą ostatnią deskę ratunku, uczynienia z konstytucji codziennego elementu ich orzekania.

Więc na początek musimy mieć rzetelną i często trudną dla samych sędziów dyskusję o tym, co znaczy być sędzią w demokratycznym państwie prawnym.

Co to znaczy?

– Dobre sądenie to rozstrzyganie konfliktów i ważenie, nie tylko stosowanie suchego przepisu. To także dostrzeżenie zła akt człowieka z krwi i kości. W XXI wieku obywatel nie idzie do sądu czy urzędu, żeby usłyszeć, że coś jest niejasne w przepisie i „proszę poczekać”, musimy zapytać kogoś mądrzejszego, tylko po to, aby w tym sądzie dostać ochronę.

Państwo prawa żyje, gdy abstrakcyjne idee i zasady konstytucyjne są przekształcane w żywe doświadczenie. Obywatel często wie o prawie tyle, ile sędzia mu wytłumaczy. Na tym polega społeczna funkcja sądenia. Społeczne osadzenie sądu oznacza, że konstytucja ma szansę stać się konstytucją obywateli, sąd moim sądem, a sędzia do brym sędzią.

Taki sędzia chroni obywatela przed państwem i tworzy w nim przekonanie, że bez niezależnego arbitra zostaje zdany na łaskę i niełaskę władzy. Gdy instytucje stosujące prawo wykorzystują konstytucję jako tarczę dla obywateli, uzasadniają swoją użyteczność. Instytucja, która chroni przed państwem, zyskuje najpotężniejszego sojusznika: obywatela. W polskiej rzeczywistości bezprawia jako elementu codzienności przywracanie praworządności na obywatelskich postawach musi rozgrywać się w głowach sędziów, nie tylko na sali sejmowej.

Nie będzie przywrócenia praworządności bez codziennego czynienia sprawiedliwości. Trzeba określić dokładnie, dokąd zmierzamy, czego chcemy, ale prawnicy i politycy muszą odpowiedzieć też na pytanie, gdzie jesteśmy. Bo to wpłynie na dobór metod. Bo ta, którą stosowaliśmy dotąd – robimy paragraf i problem rozwiązany – nie wystarczy.

No to gdzie my jesteśmy dzisiaj?

– W czarnej dziurze prawniczej. W latach 2015-23 nastąpiła niekonstytucyjna zmiana profilu państwa. Jesteśmy bez Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, niezależnej prokuratury. Jesteśmy jedynym państwem w Unii Europejskiej, którego dwie najwyższe instancje sądowe zostały uznane za niespełniające standardów europejskich!

To, że przez osiem lat PiS rozmontowywał konstytucję, instytucje i mechanizmy, które chronią obywatela, wiemy. Ale oni rozmontowywali to z pogardą – dla prawa, ludzi prawa, organów państwa, obywateli. Nazywam to polityką resentymentu. To nie była tylko intuicyjna strategia: „a, zniszczymy coś tutaj, zniszczymy tam” – tylko przemyślany plan, którego punktem docelowym było narzucenie nowego myślenia o tym, co państwo dla obywatela powinno robić. A właściwie: co obywatel powinien dla państwa robić.

PiS wiedział, że ludzie nie ufają sądom, większość nie wierzyła, że w sądzie znajdzie sprawiedliwość.

– Przed 2015 r. samą konstytucję i praworządność obywatele rozumieli niezwykle powierzchownie. W rządach prawa podstawą jest nie ścisłe trzymanie się litery, ale zasady i idee – zwłaszcza ta fundamentalna, że państwo ma chronić obywatela i gwarantować mu pewną przewidywalność. A gdy obywatel się zderzał z tym, jak to państwo prawa działa w jego konkretnej sprawie, to był niezwykle rozczarowany, ponieważ dostawał orzeczenie, którego nie rozumiał, procedura była mało przejrzysta, sądy nie umiały wytłumaczyć, co robią, a konstytucja była w ogóle nieobecna w procesie orzecznictwym. Mechanizmy

służby obywatelowi państwo wykorzystywało jako narzędzia do ukarania i wyegzekwowania czegoś od obywatela, a obywatel niewiele mógł wyegzekwować od państwa. Więc resentyment wobec państwa prawa i konstytucji rósł.

Już przed 2015 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka wytykał Polsce, że prawo nie jest wcale najgorsze, ale sędziowie źle je stosują.

– Państwo prawa nigdy w Polsce nie przekroczyło tego wymiaru tekstualnego, wymiaru paragrafu, nigdy nie stało się kontekstem. A to on decyduje o naszym życiu.

Tego mglistego przeświadczenia, że prawo może być też tarczą, nie tylko mieczem, w obywatelach nigdy nie było. Prawo zawsze było mieczem. I gdy ktoś przychodzi i mówi: a my to wszystko, co było złe, naprawimy – to nawet jeżeli wyczuwany w nim szarlatana, chcemy wierzyć, że może jednak... To paradoks, że właśnie poniżenie konstytucji przez szarlatana sprawiło, że obywatele i sędziowie zaczęli się do niej odwoływać. Dlatego nie możemy odbudowywać praworządności tylko starymi i nowymi paragrafami.

Zgoda, przed Kaczyńskim prawnicy byli obojętnymi technokratami lub funkcjonariuszami. Ale Kaczyński zrobił z nich coś gorszego – pokazał, że mogą posłużyć do aktywnego gwałcenia prawa. Jak teraz zaufać prawnikom?

– Posługuje się pani terminem „prawnicy”. Konstytucjonalista prof. Mirosław Wyrzykowski mówił, że do odbudowy państwa prawa będą potrzebni prawnicy, a do jego rozmontowania wystarczą absolwenci prawa. Ten podział jest dzisiaj zasadniczy.

Gdy ja myślę o sobie jako o prawniku, to myślę o tym, co i jak robię, a czego bym nigdy nie zrobił i czemu jestem wierny. Element moralno-etyczny mojego działania jest fundamentalny, aby zasłużyć na miano prawnika. Natomiast w narracji pisowskiej, w tym autokratycznym legalizmie, wystarczy prosta żonglerka przepisami, wystarczy manipulowanie instytucjami. To nie prawnicy robią to wszystko, tylko pozbawieni kręgosłupa moralnego absolwenci prawa.

Więc to niezwykle istotne, żebyśmy my, prawnicy – czyli ludzie, którzy przez te osiem lat mówili „nie” i pisali, dlaczego to „nie” jest esencją demokracji – bardzo jasno tłumaczyli obywatelom, że prawo zostało wykorzystane przez absolwentów prawa zaprzęgniętych do realizacji celu politycznego.

Opowieść o tym, co znaczy być prawnikiem, ma szczególne znaczenie, ponieważ jeżeli prawo pisowskie i prawo konstytucji wrzucimy do jednego worka, to spowoduje jeszcze większą konfuzję. Musimy jasno mówić, że między tymi światami nie ma znaku równości.

Ale w codziennym życiu mało kto wnika w niuanse. Dla obywatela absolwent prawa to prawnik. Zwłaszcza gdy ma tytuł doktorski, jak np. prezydent Duda. – Dlatego tak ważna jest symbolika. Musimy symbolicznie ludziom wyjaśnić nie tylko, co robimy – że przyjmujemy ustawy, odbudowujemy Trybunał Konstytucyjny – ale też dlaczego to robimy.

To poćwiczmy. Dlaczego? – Ponieważ wymaga tego konstytucja.

To abstrakcja, nie symbolika. No i PiS też tak tłumaczył. Zresztą teraz też mówi coraz częściej o konstytucji. – Ale my tę konstytucję obudujemy dobrą praktyką i dobrymi standardami prawnymi, a nie tylko żonglerką legislacyjną i wymienianiem się suchymi paragrafami.

Sejm będzie przyjmował uchwały unieważniające wybór dublerów do Trybunału Konstytucyjnego. Prawnicy się spierają, czy to w ogóle możliwe uchwałą. Znowu żonglujemy prawniczymi pojęciami – a jednocześnie inaczej z tej czarnej dziury się nie wydostaniemy. – Tak, toczy się dyskusja, czy można odzyskiwać państwo prawa metodami niepraworządnymi.

Chyba nie można... – Ale to pytanie jest źle sformułowane, ponieważ zakłada, że jesteśmy w stanie precyzyjnie zdefiniować, co to są metody niepraworządne. Przywracanie prawa jest sytuacyjne. O odpowiedzi i doborze metod musi decydować rozkład wartości konstytucyjnych w danej sytuacji, konsekwencje utrzymywania stanu zatrucia, ale też emocje i pamięć o bezwzględności, z jaką system był niszczo-ny. Przy czym one nie mają nic wspólnego z rewanżyzmem, który odrzucam. Chodzi o to, by ci, co odchodzą ze złą wiarą, z arogancją i butą w sercu, nie mieli nadal przewagi nad nami. A będą mieli, jeśli przyjmie-my z bezradnością wszystkie pułapki, które zastawili wewnątrz systemu. To byłby wyraz kapitulacji i dowód, że druga strona cały czas nam narzuca narrację, że to nie my dyktujemy konstytucyjne warunki gry.

Mam wrażenie, że sami narzucamy sobie zbyt formalistyczne rozumienie praworządności jako zgodności wyłącznie z literą prawa.

No to zacznijmy od „głowy” systemu sądownictwa. Spójrzmy z perspektywy na Trybunał Konstytucyjny. – Zgadza-my się wprawdzie, że to coś, co istnieje przy alei Szucha w Warszawie, nie jest sądem konstytucyjnym w rozumieniu konstytucji, ale gdy już zadajemy pytanie, co z tym zrobić, zaczynamy wpadać w bardzo niebezpieczne sofizmaty prawnicze. Zaczynamy bowiem uzasadniać tezę, że musimy zaakceptować stan obecny, możemy tylko odwołać dublerów, natomiast z tym Trybunałem musi-

my po prostu się przemęczyć. I tu znowu kład-nia się to przywiązanie do podejścia czysto le-galistycznego. Ale prawnik, który myśli praworządnie, nie może zatrzymać się tylko na tekście, paragrafie, tylko musi patrzeć na kontekst, przez pryzmat konsekwencji podejmowanych działań lub zaniechań.

Prof. Jerzy Zajadło porównuje odbu-dowywanie praworządności do działa-nia sapera. Czasami samo wyjęcie zapalnika nie wystarczy, żeby rozbroić minę, sa-per będzie musiał ją zdetonować. Czy deto-nacja w obronie konstytucji będzie działaniem niepraworządnym?

A co pan by zrobił, gdyby to od pana za-leżało? – Po pierwsze, trzeba podjąć uchwałę, że trzech dublerów nigdy nie było powołanych na stanowiska sędziowskie. To formalność, ponie-waż mamy dwa wyroki TK z grudnia 2015, które Sejm musi niezwłocznie wykonać. Obecność tych trzech uzurpatorów jest afrontem dla państwa prawa.

Natomiast jest do rozważenia, co zrobić z instytucją w całości, gdy sama się zde-legitymizowała i wyzerowała swoimi nie-konstytucyjnymi działaniami. Są propozycje, które akceptując zło konstytucyjne, jakim jest ta instytucja, proponują poczekać, aż sędziowie wybrani zgodnie z prawem skończą kadencje i przejdą w stan spoczynku ze wszystkimi przywilejami. Lecz moim zdaniem metoda praworządna w tym przypadku oznacza nie trzymanie się formalnej dystynkcji – wybrani legalnie czy wybrani nielegalnie – lecz właśnie kalibrowanie metody do kontekstu i konsekwencji. Czyli krytyczne spojrzenie na to, co te osoby przez te osiem lat w Trybunale robiły i za co odpowiadają. A odpowiadają przecież za stworzenie stanu oczywistej niekonstytucyjności, wydawanie wyroków, które były wprost niezgodne z aksjologią konstytucji, i polityczne orzekanie ręką w rękę z dublerami.

Do rozważenia byłoby choćby przywrócenie tych osób do stanu sprzed wyboru do TK bez nadawania im przywilejów w postaci możliwości przejścia w stan spoczynku. A jeżeli tacy sędziowie uznają, że zostali pokrzywdzeni, że zasługują na stan spoczynku, to niech dochodzą swojego przywileju przed niezawisłymi sądami. To właśnie przykład nowego myślenia – proponuję zmianę ciężaru dowodu. Nie nadajemy im przywilejów tak, jak gdyby byli normalnymi sędziami konstytucyjnymi, tylko tworzymy sytuację, w której oni będą musieli wykazać, że na coś zasłużyli.

Zresztą sama konstytucja zawiera wskazówki, jak możemy teraz działać. Przecież artykuł 7 mówi o tym, że każdy organ działa w granicach i na podstawie prawa. Artykuł 8, że konstytucja jest najwyższym prawem i jest bezpośrednio stosowana. Artykuł 9owiada o przestrzeganiu przez Rzeczpospolitą Polską prawa międzynarodowego. A artykuł 10 – o podziale i równowadze władzy. Jeżeli mówimy, że nie ma podstawy prawnej do unieważnienia Trybunału uchwałą posłów, to ja odpowiadam – a co z tymi artykułami ustawy zasadniczej? Dlaczego one nie mogą być podstawą prawną dla Sejmu, skoro każdy organ działa w granicach prawa, a konstytucja jest najwyższym prawem?

I można ją stosować bezpośrednio. – Otóż to. To jest najważniejszy dokument. Problem w tym, że gdy mówimy, że każdy organ działa w granicach prawa, to intuicyjnie rozumiemy, że w granicach ustaw. Nie! W granicach prawa zdefiniowanego przez konstytucję.

Skoro konstytucja jest najwyższym prawem, to podejmijmy uchwały z powołaniem się na jej artykuły. Mówimy: no chyba nie można odwołać członków-sędziów Krajowej Rady Sądownictwa powołanych niezgodnie z konstytucją przez stary Sejm, bo jest ustawa o KRS. Ale po pierwsze, ta ustawa jest niekonstytucyjna, po drugie – dlatego nie podjąć uchwały o ich odwołaniu z powołaniem się wprost na przepisy konstytucji, które mówią, kto wchodzi w skład KRS?

Skoro przez osiem latach wołaliśmy „K O N S – T Y – T U C – J A!” i kładliśmy ludziom do głowy, że jest najwyższym prawem, to bądźmy wiarygodni i konsekwentni.

Może każdy poseł powinien mieć zawsze przy sobie konstytucję? – Nie mam żadnej wątpliwości, że powinna leżeć na biurku każdego polityka, tak jak powinna leżeć na stole każdego sędziego. A nestety nie leży. Lecz ważne nie tylko, co będzie uchwalane w uchwałach i ustawach, ale również jak. Uchwalenie czegoś nie może ograniczać się tylko do suchych treści. Trzeba jeszcze powiedzieć ludziom, co robimy i dlaczego to robimy.

To, co się wydarzyło od 2015 r., było możliwe również dzięki wcześniejszym zaniechaniom elit politycznych. IV RP – mam na myśli łamiące prawo i ludzi próby budowy jej za „pierwszego PiS”, w latach 2005-07 – nie została rozliczona. – Nie została, a to między innymi dlatego, że czołowi politycy PO nie pofatygowali się do Sejmu na posiedzenie, kiedy Zbigniew Ziobro miał być stawiany przez Trybunałem Stanu. Zabrakło pięciu głosów! Takie przypadki powodują, że ludzie myślą o państwie prawa jako o iluzorycznym konstrukcie, skoro jest Trybunał Stanu, ale nikt nigdy z niego nie korzysta. Dzisiaj chodzi nie tylko o rozwałę, ale też o determinację, o dobrą wiarę, o jasną komunikację i transparentne rozliczanie.

W rządach prawa podstawową ideą jest nie ściśle trzymanie się litery, ale zasady i idee – zwłaszcza ta podstawowa, że państwo ma chronić obywatela

Oraz konkretne – w sposób, który ofiarom bezprawia da poczucie, że ono spotkało się z sankcją. A jednocześnie – to bardzo ważne – nie można wpaść w pułapkę rewanżyzmu i czystego odgrywania się, „a teraz my”. Bo jeżeli przegramy walkę o rząd dusz, to ludzie odwrócą się od konstytucji, nowego prawa i nowego rządu.

A jaka sprawiedliwość powinna spotkać Jarosława Kaczyńskiego? – Nie tylko Trybunał Stanu, do rozważenia jest odpowiedzialność za niegospodarność i korupcję polityczną w normalnym postępowaniu sądowym. Oby to nie zostało rozmyte poprzez jakieś kalkulacje polityczne, układy, kompromisy, których ludzie nigdy nie pojmą.

Trybunał Stanu za to całe zło, które uczynił? – Trybunał ma znaczenie symboliczne. Kaczyński nie popełniał tylko i wyłącznie czynów, które mogą być klasyfikowane jako przestępstwa, ale też przez całe osiem lat działał w sposób jawnie antykonstytucyjny. Czyli odrzucał konstytucję i działał antysystemowo. Musimy jasno mówić, że Jarosław Kaczyński był zawsze wrogiem demokracji liberalnej i konstytucji z 1997 r., tylko nic z tym nie zrobiliśmy wcześniej.

Za odrzucenie konstytucji nie da się nikogo posadzić za kratami. – Prezes PiS zapłacił już cenę polityczną i może ona jest dla niego bardziej bolesna niż jakakolwiek odpowiedzialność prawna. Jeżeli jednak doszło do popełniania przestępstw pospólnych, to muszą być rozliczone tak jak w przypadku każdego innego obywatela, przed sprawiedliwym i niezawisłym sądem. Jeśli odpowiedzialność egzekwowana zgodnie z me-

chanizmami państwa prawa nie zadziała wobec Kaczyńskiego, to Kowalski może nie zrozumieć, dlaczego z całą rygorystycznością te mechanizmy umieją działać wobec niego.

A prezydent? Jaka sprawiedliwość powinna go spotkać? – Powinien stanąć przed Trybunałem Stanu, ponieważ jego działania noszą znamiona działania przestępstwa ciągłego na szkodę porządku konstytucyjnego, poczynszy od niepowołania sędziów ważnie wybranych przez Sejm poprzedniej kadencji, przez oczywiste naruszanie konstytucji i wyroków sądów między-narodowych w drodze powoływania nowych sędziów z uczestnictwem neo-KRS. A przykładów jest znacznie więcej. Nie ulega wątpliwości, że prezydent nigdy nie stał na straży konstytucji. Był jej jednym z głównych grabarzy.

Działal, że użyję języka kodeksów, świadomie i w porozumieniu. – Tuż po wyborach wręczył nominacje sędziowskie 72 osobom rekomendowanym przez upolitycznioną KRS. A przecież wie-dział po wyrokach Trybunału Sprawiedliwości UE i ETPCz, że nie mógł tego zrobić, bo to sprzeczne z konstytucją i z obowiązującym w Polsce prawem europejskim. Nie ma tłumaczenia się, że nie wiedział. Działal z pełną premedytacją i w złej wierze.

I będzie tak nadal działał? – Będą weta i one pokażą, jaka jest jego wola. Czy chce naprawiać praworządność, chociaż minimalnie współpracując z nową ekipą, czy



***Tomasz Tadeusz Koncewicz**

• profesor prawa, kierownik Katedry Prawa Europejskiego i Komparatystyki Prawniczej Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat, członek Editorial Board Oksfordzkiej Encyklopedii Prawa Europejskiego i zespołu doradców ds. kontroli konstytucyjności prawa przy marszałku Senatu RP. Zasiada w Radzie Fondation Jean Monnet pour L'Europe w Lozannie.

Cała rozmowa na [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Hamas nie mówi w moim imieniu

Dajmy Palestyńczykom głos

Marta Urzędowska



• Palestyńczycy świętują Id al-Adha w obozie dla uchodźców Nusseirat w środkowej Strefie Gazy, 29 czerwca 2023 r.

FOT. FATIMA SHBAIR/AP

Wielu popiera Hamas, inni go nienawidzą. Wszyscy czują się dziś jak podejrzani i wiedzą, że muszą udowadniać, iż zasługują na nasze współczucie.

„Hamasie, przestań deptać mi po włosach”

Maysoon Zayid

palestyńsko-amerykańska aktorka, jedna z pierwszych muzułmańskich komików w USA

„The Daily Beast”, kwiecień 2013 r.

Powiem to wprost: Nienawidzę Hamasu. Uosabia wszystko, z czym walczę: ucisk, rządy religijne i patriariat. Kiedy Hamas wygrał wybory w 2006 r., płakałam, jakby ktoś zadźgał mi kota.

Palestyńczycy popełnili fatalny błąd, bo jeśli raz dasz władzę partii religijnej, to koniec z demokracją. Robi mi się niedobrze, kiedy słyszę mantrę ignorantów: „Hamas został wybrany demokratycznie”. Ich kadencja trwa od lat i dziś już nie można mówić, że są demokratycznie wybrani. Palestyna, jaką znam, to miejsce, gdzie chrześcijanie i muzułmanie są równi. Moja mama, muzułmanka, dziewczyna z małej wioski, chodziła do katolickiej szkoły dla dziewcząt w Ramallah, a mój mąż, uchodźca, spędził drugą intifadę z chrześcijańskimi braćmi z Betlejem. Niektóre obszary są konserwatywne, inne nie. Mama nosiła sukienki mini w latach 60., ja biegałam po naszej dzielnicy w podkoszulkach. Palestyna jest świecka. Czy Hamasowi się to podoba czy nie, Karta Organizacji Wyzwolenia Palestyny tak właśnie stanowi.

Ich najnowszy pomysł to nakaz, by we wszystkich klasach w szkołach w Gazie oddzielać chłopców od dziewczyn od dwuletniego roku życia. Na początku myślałam,

że to nic takiego, w końcu większość szkół na terenach palestyńskich, gdzie pracowałam, ma podział ze względu na płeć. To jednak poważna sprawa, bo 3,5 tys. uczniów uczęszczających dziś do szkół mieszanych, które Hamas chce zlikwidować, to chrześcijanie.

To tylko jedno z wielu praw, które Hamas narzuca 1,7 miliona uwięzionych w Strefie Gazy Palestyńczyków. Najpierw zabronili fryzjerm mężczyznom strzyżenia kobiet. Wielu mężczyzn na Bliskim Wschodzie robiło mi fryzury, a odmawianie kobietom prawa do wyglądu fantazyjnie to zbrodnia przeciwko modzie. Następnie kazali prawniczkom nosić chusty – na szczęście prawniczki kazały im spadać i prawa nie udało się wyegzekwować.

Hamas nie pozwolił kobietom biec w maratonie organizowanym w Strefie Gazy, co zmusiło UNRWA do jego odwołania. Zakazał też zorganizowania konkursu „Arabski idol”, bo przecież każdy, kto kiedykolwiek obejrzał „Footloose”, wie, że muzyka to samo zło. Hamas twierdzi, że walczy o wolność, a jednocześnie powołuje się na prawa, które uciskają kobiety i mniejszości religijne.

W 2006 r. nikt nie sądził, że Hamas wygra. Hamas nie sądził, że może wygrać. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam, a którzy głosowali na Hamas, tak naprawdę głosowała przeciwko Fatahowi. Mieli dość rażącej korupcji i beczynności Autonomii Palestyńskiej, chcieli dać im nauczkę. Gdy Fatah był oskarżany o okradanie ludzi, Hamas zapewniał pokrzywdzonym nienaganne usługi socjalne.

Hamas ustanawia prawa, a Izrael chichocze. Bo to oni wzmacniają izraelską narrację, że to konflikt islamu z judaizmem, a nie – kolonialistów z rdzenną ludnością. A wystrzeliwując swoje żalosne rakiety w kierunku Izraela, dają mu zielone światło, by w imię bezpieczeństwa masakrował uwięzionych mieszkańców Gazy.

Kogo niby reprezentuje Hamas? Ludzie w Gazie mają wszystkiego dość, są wyczerpani życiem w tym więzieniu pod gołym niebem. A Hamas jest zbyt zajęty uciskaniem Palestyńczyków, by zrobić cokolwiek produktywnego. Z kolei Fatah jest zbyt tchórzliwy, by interweniować. Izrael fizycznie podzielił nasz naród, a Hamas i Fatah wzmacniają ten podział swoim nieudolnym przywództwem.

Jasne jest, dlaczego Hamas uparcie odmawia przeprowadzenia wyborów. Wie, że przegra. Zresztą – jaki jest sens wyborów, jeśli i tak nie ma się prawa do samostanowienia?

Chcę państwa nie muzułmańskiego, chrześcijańskiego, żydowskiego czy scenologicznego, tylko państwa równości dla wszystkich, bez względu na płeć czy wyznanie. Hamas musi się dostosować albo zniknąć, bo życie z jednym ciemnięcą to i tak już więcej, niż Palestyńczycy mogą znieść.

„Podczas gdy ciemności ogarniają Gazę, marzę, by świat zobaczył także nas”

Omar Ghaireb

Palestyńczyk, dziennikarz, pracownik humanitarny ze Strefy Gazy

CNN, 12 października

Ryk eksplozji wstrząsnął moim domem, a laptop wyleciał w powietrze i wylądował wśród rozbitego szkła i gruzu. Patrząc na migoczący ekran, wzdycham i przygotowuję się do ogłoszenia zgonu kolejnego komputera – i niniejszego eseju. Delikatnie podnoszę go z podłogi i przywracam do życia. Piszę dalej.

Zastanawiam się, czy powinienem milczeć, tak jak mnie nauczono. Zakopać swoje lęki i niepokój pod warstwami wewnętrznego i zewnętrznego ucisku, który

narasta przecież przez całe moje życie i narastał przez dziesięciolecia przed nim.

Świat ignoruje naszą tragedię i zaprzecza naszemu człowieczeństwu. Powtarza, że sami jesteśmy sobie winni. Czuję się, jakbym był uwięziony w jakimś innym wymiarze, walczę, by zrozumieć to, co mnie otacza, by nie oszaleć i nie stracić własnej duszy.

Stronniczość i wybiórcze oburzenie zachodnich rządów nie są niczym nowym. Nigdy nie widziały ani nie obchodziło ich, że cierpimy z powodu izraelskiej okupacji, przemocy i dyskryminacji, rok po roku, dekada po dekadzie.

Poruszając się po polu minowym autocenzury i zewnętrznych nacisków, zastanawiam się, ile są dziś wariaci Palestyńczycy potępiający przemoc i błagający o sprawiedliwy pokój. W świecie, który ignoruje nasze wołania, zastanawiam się, czy moje słowa w ogóle mogą się przebić. Wiem, że jeśli nie, to najpewniej dlatego, że jestem Palestyńczykiem.

Podczas każdej eskalacji przemocy amerykańskie media pokazują, jak bardzo są stronnicze na rzecz Izraela, w dużej mierze pomijając palestyńskie głosy. Choć dziś liczba ofiar ataku na Izrael przeraża, zachodni dziennikarze i politycy niepokoją się znacznie mniej, gdy Izrael regularnie dopuszcza się masowej przemocy i gdy rośnie liczba ofiar wśród Palestyńczyków.

Marzę, by świat nas dostrzegł – usłyszał nas i uznał nasze prawo do wolności i bezpieczeństwa. Czy wśród rozmów o władzy i politycznych zwycięstwach naprawdę nie ma miejsca na zwykłe człowieczeństwo i odruchy serca? Gdyby było, już dawno byłibyśmy wolni.

Dla wielu z nas to nasza największa – choć ograniczona – siła: marzyć i odczuwać ból w świecie, który próbuje zatrzeć nasze kształty i przygasić nasze światła. Na razie nadal mówię, czytam, piszę. I ciągle jeszcze mam nadzieję.

„Podwójne standardy dla Palestyny”

Hala Alyan

palestyńsko-amerykańska pisarka, profesor, psycholog kliniczna. Mieszka w Nowym Jorku

„New York Times”, październik 2023 r.

Odkąd się urodziłam, dwukrotnie przeprowadzałam się do USA. Raz jako dziecko, po inwazji Iraku na Kuwejt, potem ponownie – do szkoły. Miałam ten przywilej, że mogłam spędzić młodość w krajach, gdzie bycie Palestyńczykiem było czymś dość powszechnym. Owszem, to zawsze była tożsamość nietatwa, ale nie była kwestionowana. Nie musiałam uczyć się sposobów zdobywania szacunku niezbędnych, jeśli jest się dorosłym Palestyńczykiem. To szybko się zmieniło.

Palestyńczyk musi się wpasować albo zostaje potępiony. Musimy dobrze wypaść w kolejce po empatię i współczucie. Udowodnić, że na nie zasługujemy. Naprawdę na nie zasłużyć.

Dziś patrzę, jak palestyńscy aktywiści, prawnicy i profesorowie są nękani, przezywa im się na antenie, a nawet całkowicie ich ucisza. Muszą zasłużyć na czas anteny i sprawiedliwą relację. Błagać dziennikarzy, by przyzwycię wykonywali swoją robotę. Palestyńska rzeź jest zbyt często przedstawiana w oderwaniu od historii i realiów. Tak jakby stał, pociski, okupacja, polityka nie były prawdziwe. By zasłużyć na współczucie dla zabitych, Palestyńczycy muszą najpierw udowodnić swoją niewinność.

Czym jest słowo Palestyńczyka przeciwko potężnej maszynie, która sama prowadzi śledztwa wobec własnych zbrodni i która sama z nich się rozgrzesza? Czym jest wobec rządu, którego przedstawiciele nazywają Palestyńczyków „ludzkimi zwierzętami” i „dzikimi bestiami”? Czym jest wobec ministra, który może wprost i bez skrupowania powiedzieć, że nie istnieje nic takiego jak palestyński naród?

To niezwykle skuteczna strategia. Rzeź nie jest rzezią, jeśli ci, którzy są zabijani, są winni, jeśli latami są po cichu, acz skutecznie odczłowieczani – w mediach i przez politykę. Jeśli nikt nie jest cywilem, nikt nie może być ofiarą.

W 2017 r. opublikowałam powieść o palestyńskiej rodzinie. Została wydana przez szanowanego wydawcę, otrzymała świetne recenzje. Przemawiałam na spotkaniach panelowych, w klubach książki, odpowiadałam na pytania po odczytach. Wciąż powracał pewien refren. Ludzie podkreślali, jak bardzo ludzka jest ta historia. – Uczłowieczyłaś konflikt – mówili. – To taka ludzka historia. Za każdym razem, gdy słyszałam, jak to uczłowieczałam Palestyńczyków, musiałam tłumić w sobie pytanie: Czym w takim razie byli wcześniej?

Kilka tygodni temu w przestrzeni zawodowej ktoś wprost wspomniął o Palestyńczykach i mówił o siedmiu dekadach ich udręki. Siedziałam wśród dziesiątek współpracowników i nagle zdałam sobie sprawę, że drżą mi wargi. Rozplakałam się, zanim zrozumiałam, co się dzieje. Uciekłam z tej sali i dopiero po dziesięciu minutach przestałam szlochać.

Nie od razu rozumiałam swoją reakcję. Przez lata uczestniczyłam w spotkaniach, siedziałam w salach wykładowych i w instytucjach, gdzie nikt nie wspominał o Palestyńczykach, chyba że mówiąc o terrorystach. Dorosłam i zaczęłam pracę w kraju, gdzie ludzie tracili różne rzeczy za samo mówienie o Palestynie: pozycję społeczną, posadę na uczelni czy w mediach. Ale to, co ostatecznie mnie dobiło, to nie milczenie czy wymazywanie, ale empatia. Proste, zwyczajne nazwanie mojego narodu. Uznanie, że wyzwolenie jest kluczem. Danie przestrzeni palestyńsko-żydowskiej solidarności. Wreszcie to, co dziś stało się tak kontrowersyjne: zwykłe mówienie na głos o palestyńskim cierpieniu.

Liczba zabitych, wśród nich dzieci, jest niewyobrażalna i wciąż rośnie. Nie śpi-

my w nocy, przesuwając migoczące obrazy na naszych telefonach, próbując znaleźć metaforę, klip, zdjęcie, by udowodnić, że dziecko jest dzieckiem. To trudne zadanie. Pytamy: Czy to będzie to zdjęcie, któremu się uda? Połowa dziecka na dachu? Nagranie, na którym zrozpaczona dziewczynka rozpoznaje ciało swojej matki, krzycząc: „To ona, to ona! Przysięgam, że to ona. Poznałam ją po włosach!”?

Uwierz pisarce: Nie ma nic bardziej męczącego niż szukanie analogii. Jest coś upokarzającego w tych próbach zasłużenia na solidarność. Ciągłe widzę infografiki desperacko próbujące przemówić do amerykańskiej publiczności. „Wyobraź sobie, że większość mieszkańców Manhattanu ma się ewakuować w ciągu 24 godzin”. „Spójrz! Oto pas na skraju Morza Śródziemnego. To Gaza, jest wielkości Filadelfii”. Albo: „Pomnóż populację Las Vegas przez trzy”.

To bardzo demoralizujące, ciągle używać języka tragedii i okrucieństw, mówić: Patrz, patrz. Pamiętasz? Pozwól mi zasłużyć na twoje oburzenie. A jeśli nie, pozwól mi chociaż zasłużyć na twoją pamięć.

Nie waham się ani chwili, by potępić zabicie jakiegokolwiek dziecka, każdą masakrę ludności cywilnej – dotyczy to oczywiście także Żydów. To najłatwiejsze zadanie na świecie. Potępiam morderstwa, przemoc, więzienie, wszelkie formy ucisku. Ale co, jeśli twój szok i niepokój pojawiają się tylko na widok niektórych zmasakrowanych ciał? Jeśli zabierasz głos, ale nie wtedy, gdy to Palestyńczycy są oblegani i mordowani, porywani i więzieni? Nazwij tę rozbieżność i przyznaj się, że istnieje. Jeśli nie możesz być sprawiedliwy, bądź chociaż uczciwy. Nie ma nic skomplikowanego w domaganiu się wolności. Palestyńczycy zasługują na równe prawa, równy dostęp do zasobów, równy dostęp do uczciwych wyborów. Jeśli to ci nie pasuje, musisz zadać sobie pytanie dlaczego.

Oto prawda o Palestyńczykach żyjących w diasporze: Oni nie stali się diasporą ot tak, magicznie. To bezpośredni wynik często brutalnego, celowego i nielegalnego wywłaszczenia. Jednego dnia dom należy do ciebie, drugiego już nie. Jednego dnia to twoja dzielnica, innego nie. Jednego dnia to twoje terytorium, kolejnego już nie.

Bycie Palestyńczykiem w tym kraju – w wielu krajach – to nieustanne ćwiczenie w ocenianiu, gdzie są strefy bezpieczeństwa, badaniu, którzy przyjaciele, współpracownicy czy znajomi okażą się sojusznikami. Kto będzie milczał, a kto się odezwie. Bycie Palestyńczykiem to zakłócenie. Istniejemy, co stanowi egzystencjalny afront. Bo istniejąc, podważamy kilka kłamstw, z których wcale nie najmniej ważne jest to, że dla niektórych w ogóle nigdy nie istnieliśmy. Palestyńczycy nadal są traktowani w sposób paradoksalny – to nie tylko niewidzialni ludzie, ale i terroryści, nie tylko ludzie, którzy nigdy nie istnieli, ale i ci, którzy nie mogą powrócić.

„Wielu Palestyńczyków w Gazie nienawidzi Hamasu. Na pewno nienawidził go mój tata”

Yasmine Mohammed

Palestynka z pochodzenia, urodzona i mieszkająca w Kanadzie. Szefowa organizacji pozarządowej Free Hearts Free Minds

CNN, 19 października 2023 r.

Kiedy mój ojciec, który urodził się i wychował w Gazie, nadal żył, często nazywał Hamas „brzydką twarzą palestyńskiej walki”. Od ataku na Izrael, kiedy w mediach społecznościowych czytam post za postem opisujące Hamas jako bojowników o wolność, jako grupę oporu przeciw kolonializmowi, uderza mnie, jak niszczące dla nas jest to kłamstwo. To obraza dla Palestyńczyków mówić o tych terrorystach jak o ludziach walczących o wolność.

To z rąk Hamasu naród żydowski doświadczył okropności niespotykanych od

czasów Holocaustu. Podobnie jak naziści Hamas nie postrzega Żydów jako ludzi. Dla nich każdy Żyd musi zostać wyeliminowany. Celem Hamasu jest nie ludobójstwo na Żydach w Izraelu, tylko ludobójstwo na wszystkich Żydach na Ziemi.

Mój ojciec nie mógł znieść, że Hamas zdominował dyskurs i stał się twarzą Gazy w świecie. Niczego nie nienawidził bardziej. „Niech Bóg przeklnie Bractwo Muzułmańskie i Hamas. Jedyne, co dali arabskim społeczeństwom, to zacołanie” – pisał w mediach społecznościowych.

Nie zdziwiłby się, patrząc dziś na masakrę rodzin, niemowląt i osób starszych dokonaną przez Hamas, bo zawsze wiedział, jak bardzo jest brutalny. Jak wielu mieszkańców Gazy wiedział też, że jeśli sprzeciwisz się tym despotycznym ciemierzcom, szybko rozprawią się z tobą i twoją rodziną. Bo Hamas zawsze chętnie sięgał po przemoc.

Wrzucanie mieszkańców Strefy Gazy do jednego worka z Hamasem to zniewaga, której dopuszczają się ludzie po obu stronach politycznego spektrum.

Wiele osób z lewicy utożsamia Hamas ze wszystkimi Palestyńczykami i uważa ich wszystkich za obłączone ofiary. Hamasowi pasuje ta retoryka, bo pozwala usprawiedliwić przemoc. Przyjemniej być postrzeganym jako bojownik o wolność niż jako terrorysta.

Z kolei twarda prawica odwrotnie – utożsamia Palestyńczyków z Hamasem, by usprawiedliwić zrównanie Strefy Gazy z ziemią. Zgodnie z tym tokiem myślenia, choć odciąć prądu i wody cywilom naruszałoby prawo międzynarodowe, to już odcięcie ich terrorystom jest uzasadnione.

Hamas to nie Gaza, Gaza to nie Hamas. Mieszkańcy Gazy starają się przetrwać w fatalnych warunkach. Dla zwykli ludzie jak ich izraelscy sąsiedzi. Chcą żyć w spokoju, nie martwić się o bezpieczeństwo dzieci. Choć wielu Gazańczyków twierdzi, że popiera Hamas, sondaże pokazują, że połowa uważa, że „Hamas powinien przestać wzywać do zniszczenia Izraela i zaakceptować utworzenie dwóch państw”.

Jeśli chodzi o ataki terrorystyczne na cywilów, Hamas stoi ramię w ramię z Al-Kaidą i ISIS. Izrael ma prawo chronić swój naród przed tak okrutną, brutalną, paskudną grupą terrorystyczną. Hamas niestety będzie kontynuował swoje dzieło zniszczenia, nawet choćby musiał zmienić nazwę. Jak mitycznej Hydrze po odcięciu jednej głowy wyrosną mu dwie kolejne. Obawiam się, że nikt z nas nigdy nie zobaczy Gazy jako niezależnego państwa uwolnionego ze szponów terrorystów.

Nie musiało tak być. To ignorancja i fanatyzm odebrały Gazie szansę. Cieszę się, że mój tata zmarł, wierząc, że kiedyś spełni się jego marzenie o ojczyźnie wolnej od Hamasu. Nie musi cierpieć, patrząc na to, co dzieje się dziś.

„Jestem palestyńską obywatelką Izraela. Dziś nie ma chyba nic trudniejszego”

Maria Rashed, Palestynka z Izraela

„Guardian”, 22 października 2023 r.

Postawmy sprawę jasno: Można wspierać prawo Palestyńczyków do oporu i zakończenia okupacji bez wspierania Hamasu.

Bycie obywatelem palestyńskim w Izraelu jest wyjątkowo trudne – szczególnie dziś, gdy ludzie oczekują zajęcia wyraźnego stanowiska. Muszę nieustannie zastanawiać się, gdzie jest moje miejsce, czuję, że jestem jednocześnie zewsząd i nigdzie. Urodziłam się i wychowałam w Nazarecie w chrześcijańskiej rodzinie. Później przeniosłam się do Tel Awiwu, gdzie żyję w różnicowanej społeczności – z Arabami i Żydami. Chociaż urodziłam się w Izraelu, trudno mi w pełni identyfikować się z pań-

stwem, który postrzega mnie jako obywatelkę drugiej kategorii, publicznie wypowiada się przeciwko Arabom, uciska Palestyńczyków.

Nie godzę się na przemoc w imię religii. Nie popieram ataku Hamasu na niewinnych cywilów ani nie identyfikuję się z nim. Choć jestem dumną Palestynką, która występuje przeciwko izraelskiej okupacji i kolonializmowi, atak na Izraelczyków jest sprzeczny z moimi przekonaniami – potępiam zabijanie cywilów i głęboko oplakuję ofiary śmiertelne po obu stronach.

Zajęcie stanowiska przez Palestyńczyka może się wydawać nietatwe, ale jedno jest pewne: Hamas nie przemawia w moim imieniu. Hamas nie reprezentuje Palestyńczyków w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu i na całym świecie. Choć świat lubi przedstawiać ten konflikt jako Izrael kontra Palestyna lub judaizm kontra islam, rzeczywistość jest bardziej złożona. Chodzi o ludzi, a nie o przywódców, których nie obchodzą cywile. Można wspierać prawo Palestyńczyków do oporu i zakończenia okupacji bez wspierania Hamasu.

Wielu moich izraelskich przyjaciół zostało dotkniętych ostatnim atakiem, a to, że przyjaciele przyjaciół wciąż są zaginioni lub martwi, łamie mi serce. Podobny atak na imprezie czy w domu jest czymś niewyobrażalnym. Sytuacja staje się jeszcze bardziej druzgocąca, gdy weźmiemy pod uwagę obecną tragedię w Gazie, gdzie prawie połowa populacji to dzieci.

Idea, że ktokolwiek mógłby się cieszyć ze śmierci niewinnych ludzi – Izraelczyków czy Gazańczyków – wydaje mi się niewiarygodna. Przecież nienawiść prowadzi do większej nienawiści, powodując dalsze cierpienie. Niestety, przywódcy wszystkich stron, w tym Hamasu, Izraela i Autonomii Palestyńskiej, za nic mają swoich obywateli.

„Uznanie jednego horroru nie musi oznaczać minimalizowania innego”

Karim Kattan

palestyński pisarz urodzony w Jerozolimie. Mieszka we Francji

„Le Monde”, 11 października 2023 r.

Zabieranie głosu jako Palestyńczyk we Francji to dziś ryzykowne zadanie. Nastroje są gorące, a dyskurs medialny i polityczny utknął w martwym punkcie. Czy można zatem w ogóle zostać usłyszanym? Pisząc, boję się narazić na niezrozumienie, nienawiść, oskarżenia o okrucieństwo. A jednak musimy pisać, bo media są dziś pełne wszystkich głosów, prócz naszego.

Nawet kiedy uwaga świata, ta kapryśna bogini, zwróci się gdzie indziej, okaleczeni pozostaną okaleczeni, a martwi pozostaną martwi. Skutki przemocy, które dziś tak nas poruszyły, będą trwać, gdy świat już nasyci się naszym wspólnym cierpieniem i znowu nie będzie chciał patrzeć nam w twarz.

Mógłbym porównać liczby po obu stronach, by dowodzić, że po każdej eskalacji przemocy liczba ofiar palestyńskich okazuje się nieproporcjonalna do liczby ofiar izraelskich. Jednak to gra, która budzi mój niesmak. Jeśli chcemy zrozumieć, co się dziś z nami dzieje, musimy zrozumieć, jak na Palestyńczyka wpływa obraz buldożera burzącego kawałek muru apartheidu czy widok przewróconego czołgu. Zrozumienie tego wcale nie znaczy, że cieszymy się ze zbrodni Hamasu, których wszyscy jesteśmy ofiarą.

Żałoba nie dzieli się na tych, którzy na nią zasługują, i tych, którzy nie zasługują. Możemy mówić: masakry takie, jak te popełnione w Izraelu, to godny potępienia koszmar. Możemy też powiedzieć: Izrael to okrutna kolonialna potęga. (...) Uznanie jednego horroru nie oznacza minimalizowania drugiego. Los mojego kraju i mojego narodu to nie jest gra o sumie zerowej. ●

KTO MOŻE BYĆ ZABITY

Jeśli w szkole ukrywają się żołnierze,
można ją legalnie zniszczyć.

Jeśli cywil strzela z kałasznikowa,
można go legalnie zabić.



Z DR HAB. **PATRYCJĄ GRZEBYK***,
PRAWNICZKĄ, SPECJALIZUJĄCĄ SIĘ W
MIĘDZYNARODOWYM PRAWIE KARNYM,
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Czego nie wolno na wojnie?

– Prawo reguluje tu dwie kwestie. Pierwsza to sytuacja osób chronionych. Są nimi cywile, jeśli nie biorą bezpośredniego udziału w działaniach zbrojnych. Ranni – bez względu na to, czy są to cywile, żołnierze czy bojownicy. Chorzy, rozbitkowie na morzu, personel medyczny, duchowni. No i jeńcy wojenni, czyli żołnierze, którzy się poddali.

I w jaki sposób są oni chronieni?

– Nie można ich atakować. A jeśli znajdują się w rękach nieprzyjaciela, muszą mieć zapewnione odpowiednie warunki. Jeńców można zwolnić pod przysięgą, że już nie będą walczyć, albo trzymać w obozach jenieckich. W tych obozach należy zapewnić im m.in.: aktywność fizyczną, opiekę lekarską, możliwość przebywania ze sobą nawzajem, kontakt z rodziną. Konwencja dotycząca jeńców wojennych szczegółowo to reguluje: ile paczek mogą dostać, ile listów, jeśli pracują, to jakie wynagrodzenie, itd. Podobne regulacje dotyczą przetrzymywania cywilów, którzy mogą być pozbawieni wolności, gdy wymagają tego kwestie bezpieczeństwa.

A drugą sprawą, którą reguluje prawo, jest sama walka, czyli – jakiej broni wolno używać, co i kogo można atakować. Warto tu zrozumieć pewną logikę wojenną.

Prawo humanitarne wychodzi z założenia, że wojny są i będą toczone. I z jego punktu widzenia nie ma znaczenia, czy ktoś atakuje, czy się broni.

Nie jest tak, że broniącemu się wolno więcej.

– Właśnie. Prawo humanitarne mówi tak: rozumiemy, że chcecie pokonać przeciwnika. Możecie więc atakować wszystko i wszystkich, którzy z wami walczą albo mają znaczenie militarne, ale nie atakujcie tych, którzy nie chcą albo nie mogą walczyć. I nie niszczyć obiektów cywilnych. Po pierwsze dlatego, że ten konflikt się kiedyś skończy i trzeba będzie to odbudować. A po drugie, nie leży to również w waszym interesie, bo przecież nie macie nieograniczonego zasobu broni.

Czy to oznacza, że bombardowanie domów mieszkalnych, szpitali, szkół traktuje się jako zbrodnię wojenną?

– To nie takie proste. Żeby pociągnąć do odpowiedzialności państwo, owszem, wystarczy udowodnić, że doszło do naruszenia prawa humanitarnego, bo na przykład chroniony obiekt cywilny został zaatakowany i za ten atak odpo-

wiadają organy państwa. Ale żeby pociągnąć do odpowiedzialności konkretną osobę, trzeba jeszcze udowodnić, że miała pełną świadomość, że atakuje coś, czego nie może. I że zrobiła to celowo. A to już jest bardzo trudne, bo zwykle osoby oskarżane o takie zbrodnie twierdzą, że były przekonane, że to był cel wojskowy, dostały taki rozkaz, wywiad im tak powiedział. Mówią: „My wcale nie atakowaliśmy tej szkoły. Atakowaliśmy budynek, w którym według naszej wiedzy byli żołnierze albo magazyn broni”. A to zmienia postać rzeczy, bo jeśli rzeczywiście tak jest, wtedy taki obiekt przestaje być obiektem cywilnym, a staje się celem wojskowym. Definicja celu wojskowego w prawie jest bardzo szeroka. Jest nim wszystko to, co ze względu na swoją naturę, charakter, położenie czy wykorzystanie – obecne lub przyszłe – przynosi korzyść wojskową.

Jeśli więc w szkole ukrywają się żołnierze, można ją legalnie zniszczyć. Jeśli pod budynkiem mieszkalnym są tunele wroga, można go legalnie zaatakować. Podobnie jest z cywilami. Jeśli cywil strzela z kałasznikowa, można go legalnie zabić.

Co się stanie, jeśli dowody na obecność wojskową w danym obiekcie cywilnym wydają się nieproporcjonalne do skali ataku? Myślę teraz o największym szpitalu Asz-Szifa w Gazie, gdzie przebywali

tysiące rannych, personel medyczny i mieszkańcy szukający schronienia. Izrael twierdził, że pod szpitalem znajduje się centrum dowodzenia Hamasu, jednak dowody, jakie znaleziono na miejscu – m.in. kilka toreb z bronią, laptop, wejście do tunelu w pobliżu szpitala – nie wskazywały na wielkie centrum dowodzenia pokazywane wcześniej przez Izrael na wizualizacjach. Czy to wystarczy, żeby móc powiedzieć: „Mieliśmy prawo do ataku na ten szpital”?

– W przypadku szpitali obowiązują dodatkowe reguły, ponieważ szpitale są traktowane jako sanktuaria ludzkości. To miejsca, gdzie ratuje się życie. Zniszczenie takiego szpitala czy zabicie personelu medycznego oznacza również śmierć tych, którym ten szpital czy personel pomocy już nie udzieli. I taką politykę wojenną prowadzi m.in. Rosja, która w pierwszej kolejności atakuje właśnie szpitale. Tak było na przykład w Syrii.

W Ukrainie podobnie. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy inwazji Rosja zniszczyła 127 szpitali i uszkodziła 1000 obiektów leczniczych. Jaki jest cel takiej polityki?

– Złamanie miejscowej ludności tak, żeby straciła jakąkolwiek nadzieję, żeby nie było już żadnej możliwości pomagania.

• **Ukraińscy lekarze operują żołnierza wyniesionego z pola bitwy, w szpitalu w obwodzie donieckim na Ukrainie, 9 stycznia 2023 r.**
FOT. EVGENIY MALOLETKA/AP

samych. Rozumiem, że w takiej sytuacji i tak można powiedzieć: „No ale przecież ostrzegaliśmy”.

– Izrael wychodzi z założenia, że to Hamas jest odpowiedzialny za sytuację ludności na swoim terenie, że jej nie chroni. Nie lokuje celów wojskowych z dala od obiektów cywilnych na przykład. No a skoro tego nie robi, to nie nasza wina, że te obiekty są niszczone. I jedni się z taką perspektywą zgadzają, a inni mówią: „Nie, to jest barbarzyństwo”.

Prawnie atak nie jest wykluczony, jeśli na danym terenie nadal przebywają osoby chronione, bo nie mogą się ewakuować albo nie chcą, natomiast wtedy państwo atakujące musi wziąć pod uwagę zasadę proporcjonalności. Ta zasada mówi, że trzeba ocenić, jaka będzie korzyść wojskowa z ataku na dany obiekt w stosunku do strat wśród ludności cywilnej i strat w samym obiekcie. Czy korzyść przewyższy te straty czy nie.

Jak to się liczy?

– No właśnie kłopot w tym, że nie ma jednej metody. Każde państwo, a nawet każdy dowódca robi to inaczej. Dla jednego państwa strata kilku cywilów będzie nieproporcjonalna i takie dość wysokie standardy ma na przykład Wielka Brytania. Dla innego strata kilkudziesięciu czy nawet kilkuset osób będzie dopuszczalna. W czasie konfliktu zbrojnego ży-

W kontekście wojny mówi się o zbrodniach wojennych, zbrodniach przeciwko ludzkości, ludobójstwie i zbrodni agresji. Jakie są różnice między nimi?

– Zbrodnie wojenne to naruszenia w stosunku do osób lub obiektów chronionych.

Klasycznym przykładem zbrodni wojennej jest Bucza. Jeśli wiadomo, że znaleziono tam ludzi, którym związane ręce, a potem ich rozstrzelano, to już nas nie obchodzi, kim oni byli. Bo jeśli nawet żołnierzami, należał się im status jeńców wojennych. Związane ręce świadczą o tym, że dostali się w ręce wroga. A jeśli nie byli żołnierzami, automatycznie uznajemy ich za cywilów, a to oznacza, że im również należała się ochrona.

Zbrodnia wojenna może być popełniona tylko w czasie konfliktu zbrojnego i musi mieć z nim związek. Bo w czasie takiego konfliktu, który może trwać latami, popełniane są też zwykłe zbrodnie: ludzie się okradają, oszukują, zabijają i nie ma to nic wspólnego z tym konfliktem.

A zbrodnia przeciwko ludzkości?

– Może być popełniona również w czasie pokoju. Często jest to jednostronna przemoc wobec ludności cywilnej. Na przykład grupa zbrojna morduje cywilów i ich zastrasza, bo jest to ich sposób na zdobywanie funduszy al-

Mówi się o Ukrainie, że to jest najlepiej udokumentowany pod kątem ewentualnego sądenia zbrodni konflikt zbrojny, bo tak dużo osób ma telefony, kamery

cie ludzkie nie liczy się jak jeden do jednego. Życie wysoko postawionego bojownika czy przywódcy waży czasem więcej niż życie kilkudziesięciu, a nawet kilkuset cywilów.

Czy państwa mają jakieś tabelki – po lewej generał, po prawej 100 cywilów, po lewej oficer, po prawej 50 cywilów?

– Nie ma takich prawnie wiążących algorytmów. Co ważne, za naruszenie zasady proporcjonalności można sądzić tylko w międzynarodowych konfliktach zbrojnych. Jeśli chodzi o wewnętrzne konflikty zbrojne, nie ma takiej zbrodni, a to już o czymś świadczy. Poza tym za naruszenie zasady proporcjonalności można sądzić tylko wówczas, jeśli została naruszona w sposób oczywisty. A że w konflikcie zbrojnym nic nie jest oczywiste, bardzo trudno tego dowiedzieć.

Mamy jakiś przykład, kiedy to się udało?

– Orzeczenie Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii, który stwierdził, że straty cywilne w tym konflikcie były systematycznie tak duże, że można wywnioskować, iż naprawdę nie chodziło o eliminację celów wojskowych. Tym celem była ludność cywilna i jej zastraszanie.

Ale podam inny przykład, który był kiedyś badany przez niemiecką prokuraturę. Chodziło o ostrzelanie na rozkaz niemieckiego dowódcy dwóch ciężarówek w Afganistanie. To były ciężarówki z paliwem, które się przewróciły, a że paliwo w konflikcie zbrojnym jest towarem deficytowym, zaraz zbiegła się lokalna ludność, żeby je kraść. Wtedy ten żołnierz zdecydował, że trzeba zbombardować cysterny. Uznał, że korzyść wojskowa z tego, że paliwo nie zostanie się w ręce talibów, będzie większa niż straty wśród cywilów. Zginęły 142 osoby. Owszem, wśród nich były pewnie osoby współpracujące z talibami czy może nawet sami talibowie, ale przytłaczająca większość to byli cywile. I niemiecka prokuratura uznała – tak, to było proporcjonalne.

bo na sianie terroru. Dobrym przykładem jest Boko Haram, ekstremistyczna zmilitaryzowana organizacja z Nigerii, i jej ataki na dużą skalę przeciwko ludności cywilnej.

Atak Hamasu z 7 października?

– Typowa zbrodnia przeciwko ludzkości, jeśli weźmiemy pod uwagę tak ważne czynniki jak: skala, liczba ofiar czy systematyczność, czyli podejście, że mordujemy wszystkich w danym kibucu czy na festiwalu. I tam nie tylko zabijano, ale również okaleczano, gwałcono. To wszystko możemy zakwalifikować i jako zbrodnię przeciwko ludzkości, i jako zbrodnię wojenną, bo trwa konflikt zbrojny. Oskarżyciel zdecyduje, z której kwalifikacji będzie chciał skorzystać.

Wzięcie zakładników?

– Oraz ich przetrzymywanie w tym przypadku też można zakwalifikować i jako zbrodnię przeciw ludzkości, i jako zbrodnię wojenną.

A aresztowanie Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu przez władze Izraela, w tym dzieci, bez przedstawienia im aktów oskarżenia?

– Gdy weźmiemy pod uwagę skalę tych nadużyć, tu też pojawiają się wobec Izraela oskarżenia o zbrodnię przeciw ludzkości. Bo zbrodnią przeciwko ludzkości jest nie tylko zabijanie okaleczanie, torturowanie, ale także prześladowanie czy bezpodstawne pozbawienie wolności.

Palestyński lekarz Ghassan Abu Sitta, który pracował w Gazie z ramienia Lekarzy bez Granic, twierdzi, że dziesięciu palestyńskich lekarzy zostało aresztowanych przez żołnierzy izraelskich i zginęło bez wieści.

– Zniknięcie bez informacji, co się z tymi osobami dzieje, to typowy przykład wymuszonego zaginięcia. Mamy na to osobną konwencję, ale jeśli jest to systematyczne działanie, może to być również traktowane jako przykład zbrodni przeciwko ludzkości.

Kolejna różnica pomiędzy zbrodnią przeciwko ludzkości a zbrodnią wojenną jest taka, że za zbrodnią przeciwko ludzkości musi stać państwo albo jakaś organizacja quasi-państwowa. A zbrodnia wojenna może być popełniona przez każdego, bez wsparcia żadnej organizacji, czyli kiedy ją Patrycja zobaczyłabym rannego żołnierza i go zabiła, popełniłabym zbrodnię wojenną.

No i jest jeszcze ludobójstwo.

– Które jest najtrudniejsze do udowodnienia. Bo żeby mówić o ludobójstwie, które też może być popełnione i w czasie pokoju, i w czasie wojny, nie dość, że trzeba udowodnić, iż było dokonane na konkretnej grupie – narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej – to trzeba jeszcze dowiedzieć, że zbrodnie dokonywane na tej grupie – zabijanie, okaleczanie, prześladowania, nieuprawnione odbieranie dzieci – miały na celu fizyczną eksterminację tej grupy. Jej unicestwienie.

Udało się to udowodnić w Rwandzie.

– Tam Międzynarodowy Trybunał Karny dla Rwandy uznał, że mieliśmy do czynienia z ludobójstwem na ludności Tutsi. Było to o tyle proste do udowodnienia, że mieliśmy wiele oświadczeń władz, które mówiły, że trzeba tę grupę całkowicie wyeliminować.

Inny przykład to Srebrenica, gdzie Serbowie wymordowali osiem tysięcy bośniackich muzułmanów – mężczyzn i nastolatków. Broniący się twierdzili, że to nie było ludobójstwo, po prostu zabijali tych, którzy mogli z nimi walczyć. Natomiast Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii uznał, że ponieważ zabijano wszystkich mężczyzn w okresie rozrodczym i ta grupa w zasadzie nie ma szans się odrodzić na tym terenie, jest to ludobójstwo.

Paradoksem jest, że Holocaust nie został osądzony jako zbrodnia ludobójstwa w procesie norymberskim. Co prawda termin ten pojawił się już w 1944 roku zaproponowany przez polskiego prawnika Rafała Lemkina, ale konwencję w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa przyjęliśmy dopiero w 1948 roku. Hitlerowców w Norymbardze sądzono więc za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości, które znano już wcześniej.

Czym jest zbrodnia agresji?

– Zbrodnia agresji jest wtedy, kiedy jedno państwo atakuje drugie niezgodnie z prawem międzynarodowym, czyli bez żadnego uzasadnienia. Kiedyś nazywano to zbrodnią przeciwko pokojowi i za taką zbrodnię osądzono Niemców i Japończyków po II wojnie światowej. Ale ze zbrodnią agresji jest problem. Bo o tyle, o ile po wojnie dla wszystkich było oczywiste, że trzeba osądzić Niemców i Japończyków, to jeśli chodziło o stworzenie ram do sądenia agresji, które mogłyby być stosowane do wszystkich, o tyle już nie było takie oczywiste. Definicja agresji została przyjęta dopiero w 1974 roku, a zbrodnia agresji w 2010 roku, ale do tej pory tylko 45 państw ratyfikowało odpowiednie poprawki do statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego, i to niekoniecznie te, które angażują się w konflikty zbrojne.

Czy blokada, którą zastosował Izrael wobec Gazy po 7 października – wody pitnej, paliwa, elektryczności, ograniczenia pomocy humanitarnej – może się kwalifikować jako któraś z tych zbrodni?

– Tak, stosowanie głodu jako metody wojennej jest zabronione. Prawo humanitarne nie zabrania oblężenia, ale wtedy trzeba umożliwić ludności cywilnej opuszczenie strefy oblężonej. Problem w Gazie jest taki, że ta ludność nie ma gdzie uciec, bo granice zostały zamknięte. I nie tylko Izrael je zamknął, lecz także Egipt, co nie wzbudza już takiego oburzenia. Jeśli jednak ludzie tej strefy nie opuszczają, z różnych względów, bo są chorzy albo emocjonalnie nie są w stanie pogodzić się z opuszczeniem tego miejsca, trzeba im zapewnić pomoc humanitarną.

Stosowanie kary zbiorowej również jest zbrodnią wojenną – i w kontekście tego konfliktu o tym też się dyskutuje. Niektórzy zarzucają Izraelowi, że w pierwszej fazie bom-

bardowań atakował bez rozróżnienia obiektów cywilne i obiekty wojskowe, co też jest zbrodnią wojenną. Izrael zaprzecza, mówi: „W Gazie tunele wykorzystywane przez Hamas znajdują się pod budynkami mieszkalnymi. A obiekty wojskowe są tak blisko obiektów cywilnych, że nie da się zniszczyć tych pierwszych bez naruszania drugich”. Prawdą jest też, że Izrael stosuje różne środki ostrożności. Uprzedza o atakach, zrzuca ulotki. Jednak w Gazie nie ma już strefy bezpiecznej. Mieliśmy przykłady, kiedy ludność była powiadamiana, że ma się udać do danej strefy, bo tam nie będzie ataków, a potem ta strefa jednak była atakowana.

Na podstawie jakich praw można sądzić zbrodnie wojenne?

– Mamy cztery konwencje genewskie, które zostały przyjęte w 1949 roku i mówią m.in. o tym, kto ma być chroniony w czasie wojny. Wszystkie państwa są ich stroną, a z tego wynika obowiązek ścigania winnych tych zbrodni. Do tych konwencji zostały potem dodane dwa protokoły, które rozwinęły ochronę ludności cywilnej, uszczegóławiając zasadę rozróżnienia. A do tego mamy jeszcze prawo zwyczajowe, które też ma znaczenie. Bo na przykład Izrael nie jest stroną protokołów dodatkowych, jednak zasady, które zostały w nich ujęte, na przykład właśnie zasada rozróżnienia, są już częścią prawa zwyczajowego, więc i tak musi jej przestrzegać.

No i mamy jeszcze statut Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Trybunał ten działa na zasadzie komplementarności. To znaczy, że jeśli państwo nie chce albo z jakichś powodów nie może osądzić danych zbrodni, wtedy on może się tym zająć. MTK zajmuje się tylko najcięższymi zbrodniami, które są popełniane w sposób systematyczny albo są elementem polityki państwa. Nie jest w stanie zająć się wszystkim, bo ma ograniczone budżet i zasoby.

Niestety, sądenie zbrodni wojennych nie jest proste. Prawo humanitarne dopuszcza na przykład collateral damage, czyli straty przypadkowe. Gdy próbowano w Międzynarodowym Trybunale Karnym dla byłej Jugosławii sądzić żołnierzy za ostrzały poszczególnych obiektów cywilnych, oskarżeni się bronili, że nie chcieli ich atakować, atakowali cele wojskowe, no i że broń przecież nie musi być precyzyjna.

W sensie: że można popełnić błąd?

– Tak. No i teraz: jakie może być to dopuszczalne odchylenie toru pocisku? Początkowo trybunał jugosłowiański stwierdził: 200 metrów. Czyli jak celuje w samochód wojskowy, ale przypadkiem zabije cywila stojącego 200 metrów dalej, to można przyjąć, że celem nadal był ten samochód.

200 metrów to dużo.

– Trybunał jugosłowiański ostatecznie uznał, że to odchylenie może być większe, wszystko zależy od wiatru, pogody, położenia. Dziś ustala się to indywidualnie dla każdej sytuacji.

Również zebranie dowodów w konfliktach zbrojnych jest problematyczne, a czasem niemożliwe. Weźmy głośną sprawę Nangar Khel, wioski w Afganistanie, którą ostrzelali polscy żołnierze – zabito sześć osób, a trzy zostały ciężko ranne. Prokurator oskarżył żołnierzy, że celowo zaatakowali wioskę, obrońcy natomiast twierdzili, że moździerz, z którego strzelali, mógł zadziałać nieprawidłowo, więc trzeba byłoby przeprowadzić eksperyment i odtworzyć tę sytuację. Ale należałoby to zrobić w tych samych warunkach, a że tego terenu już nie kontrolowaliśmy, nie było to możliwe. Wiza lokalna też nie wchodziła w grę. Ekshumacja, której zażądała obrona, również nie, ze względu na zwyczaje miejscowej ludności. Żołnierze utrzymywali, że dostali informację od Amerykanów, że w tej miejscowości są talibowie, dlatego strzelali. Polskie władze wystąpiły do Amerykanów o udostępnienie im nagrań z tego dnia, ale im odmówiono.

Uniewinniono tych żołnierzy?

– Większość. Dlatego że w procesie karnym winę trzeba udowodnić ponad wszelką wątpliwość. I to jest największa trudność ze zbrodniami wojennymi. Pewnych dowodów po prostu nie jesteśmy w stanie przeprowadzić.

Dzięki nowym technologiom zbieranie dowodów staje się chyba łatwiejsze? W Ukrainie działa na przykład program na telefony i komputery Sunflowers, który umożliwia świadkom i ofiarom przekazywanie dowodów zbrodni odpowiednim organizacjom na bieżąco.

– Co ważne, to muszą być świadkowie naoczni, bo kłopot, który miała na przykład polska prokuratura, kiedy chciała zbierać dowody zbrodni w Ukrainie i w tym celu przesłuchiwała Ukraińców, był taki, że to były przeważnie osoby, które słyszały o jakichś zdarzeniach, czytały o nich albo ktoś im coś powiedział. A takie hearsay, czyli dowody ze słyszenia, nie są akceptowane w procesach o zbrodnie wojenne czy zbrodnie przeciw ludzkości.

Dowodem mogą być też zdjęcia satelitarne sprzed ataku, w trakcie i po, żeby udowodnić na przykład, że w danym miejscu był obiekt cywilny, a nie żaden cel wojskowy. Wiarygodne są też zeznania członków sił zbrojnych zaangażowanych w zbrodnie. Są takie procesy, w których oskarżeni się przyznawali, na przykład w byłej Jugosławii albo w sprawie toczoney przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dotyczącej zniszczeń zabytków w Timbuktu. Ten proces był szybki i prosty, bo oskarżony się przyznał.

Filmy na YouTube, nagrania na Instagramie mogą być dowodami zbrodni?

– Mogą. Są nawet specjalne przewodniki z instrukcjami, co się musi na tych filmach znaleźć, żeby mogły być wykorzystane jako dowód. I dlatego mówi się o Ukrainie, że to jest najlepiej udokumentowany pod kątem ewentualnego sądenia zbrodni konflikt zbrojny, bo tak dużo osób ma telefony, kamery.

Podobnie jest chyba z wojną Izrael – Hamas.

– Sędziowie Międzynarodowego Trybunału Karnego też śledzą media społecznościowe i zabezpieczają dowody na wszelki wypadek, ale jest kłopot z selekcją, bo jest tego bardzo dużo. W ogóle w pierwszym procesie prowadzonym przed MTK w sprawie Lubangi Dyilo, lidera Unii Kongijskich Patriotów, który wciął do armii dzieci, wykorzystano właśnie filmy na YouTube. Nastoletni żołnierze wrzucali je do sieci.

Rozumiem, że filmy nagrane przez Hamas 7 października też mogą być dowodem zbrodni?

– Oczywiście. I jestem przekonana, że już zostały zabezpieczone, żeby nie zniknęły.

Powiedziała pani, że każde państwo ma obowiązek ścigania winnych zbrojni wojennych. Własnych obywateli również?

– Przede wszystkim. Natomiast dodatkowo wprowadzono uniwersalną jurysdykcję, która mówi, że nawet jeżeli to nie jest mój obywatel, to i tak mam obowiązek albo go osądzić, albo wydać innemu państwu czy sądowi międzynarodowemu. Jeśli do nas przyjechałby sprawca zbrodni wojennej w Ukrainie, to też mamy obowiązek go osądzić albo wydać.

Na przykład sądy izraelskie badały już szereg naruszeń, których dopuściły się ich siły zbrojne. Wiele takich spraw było wszczętych przez organizacje pozarządowe działające na rzecz praw człowieka, bo chodziło też o uzyskanie odszkodowań za te naruszenia. Z tym że sądy izraelskie mają takie podejście, że nie sądzą swoich za zbrodnie wojenne, nie nazywają ich wprost zbrodniami wojennymi.

Dlaczego?

– Profesor Yoram Dinstein, guru prawa wojennego w Izraelu, wyjaśnił mi to kiedyś tak: swoich możesz osądzić za zabójstwa, tortury, gwałty, ale nie nazywasz tego zbrodniami wojennymi ze względów politycznych. Niezależnie jednak od tego, jak to nazwiesz, musisz to rozliczyć. Natomiast najbardziej znany

izraelski sędzia Aharon Barak, który orzekał w wielu takich sprawach, mówił: „Ja wiem, że walczymy z przeciwnikiem, który nie gra fair. Wiem, że oni nie respektują praw, ale my jesteśmy państwem demokratycznym, państwem prawa i choćbyśmy mieli jedną rękę związaną na plecach, musimy stosować to prawo”.

Wyobraża sobie pani, żeby skrzydło polityczne Hamasu osądziło swoich bojowników za zbrodnie z 7 października?

– Nie wyobrażam. Na razie ci, którzy brali udział w tym ataku, są uznani za bohaterów i na tym jest budowany nowy mit Hamasu, bo atak z 7 października był ogromnym ciosem dla Izraela i jego reputacji. Być może jakieś próby osądenia tych zbrodni podejmie władza palestyńska, kiedy ten konflikt się skończy. Pytanie tylko: kto miałby to być?

Ale te wszystkie zbrodnie, o których rozmawiamy, może też osądzić Międzynarodowy Trybunał Karny, bo Palestyna jest stroną statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Ale Izrael nią nie jest.

– Nie ma to takiego znaczenia, bo skoro Palestyna jest stroną, to oznacza, że Międzynarodowy Trybunał Karny może sądzić zbrodnie, które zostały popełnione na jej terytorium, czyli także w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu. I może sądzić zbrodnie popełnione przez jej obywateli, niezależnie od tego, gdzie zostały dokonane, w tym także w Izraelu. I szczerze

USA czy Izrael uważają, że celem wojskowym jest też to, co przyczynia się do finansowania wojny. Dlatego na przykład Izrael w poprzednich odsłonach konfliktu niszczył fabrykę mleka czy farmę kurczaków, bo uważał, że finansują Hamas

mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby pierwszą zbrodnią, którą zajmie się MTK, nie były wcale zbrodnie popełnione przez izraelskie siły zbrojne na Palestyńczykach, ale właśnie atak z 7 października. Z tym że MTK musi się najpierw upewnić, czy Izrael nie zechce rozliczyć tych zbrodni sam. Wtedy nie będzie się wtrącał. Warto przy okazji powiedzieć, że MTK może pociągnąć do odpowiedzialności tylko konkretne osoby, czyli na przykład głowę państwa, przywódcę, generała, ale nie całe państwo czy ugrupowanie.

W marcu tego roku MTK wystawił za Władimirem Putinem i rosyjską rzeczniczką praw dziecka Marią Lwową-Bielową list gończy. Co to oznacza?

– Że MTK prowadzi postępowanie karne przeciwko tym osobom i uznał, że dowody, które posiada, wskazujące na ich osobistą odpowiedzialność za nielegalne wywozki ukraińskich dzieci do Rosji, bo o to toczy się sprawa, są wystarczające.

A co ze zbrodniami w Buczy, Irpiniu, Mariupolu, z gwałtami na ukraińskich kobietach? Tych spraw nie będzie?

– Być może Ukraińcy sami będą chcieli te zbrodnie sądzić. Poza tym MTK mógł wydać też inne nakazy aresztowania, o których nie wiemy, bo przeważnie nie są upublicznianie po to, żeby móc taką osobę aresztować, jeśli pojedzie do innego państwa, i doprowadzić ją przed trybunał. W przypadku Putina to ujawniono, bo jest prezydentem.

Co właściwie taki list gończy może mu zrobić?

– Szanse na to, że Putin zostanie wydany, są oczywiście niemal zerowe, ale to ważny sygnał, bo milczenie w prawie międzynarodowym oznacza akceptację.

Ponadto, owszem, może Putina nie uda się osądzić, ale jest to dla niego dotkliwa sankcja, bo nie może swobodnie podróżować po świecie. Nie pojechał do RPA, gdyż bał się wykonania nakazu aresztowania. Na Zgromadzenie Ogólne ONZ do Nowego Jorku też nie pojedzie.

Może pojechać do Chin, bo Chiny też nie są stroną Międzynarodowego Trybunału Karnego.

– To prawda. Natomiast nawet jeśli państwo nie jest stroną, dalej ma obowiązek osądenia zbrodni. A jeśli tego nie robi, ma wydać oskarżonego państwu lub instytucji, które są na to gotowe. Oczywiście Władimir Putin ma immunitet, więc Chiny zawsze mogą powiedzieć, że muszą to respektować. I dziś państwa o tym właśnie dyskutują, czy dalej akceptujemy immunitety w przypadku tego typu zbrodni, czy jednak je odrzucamy.

Palestyński lekarz, o którym mówiłam i który na stałe mieszka w Wielkiej Brytanii, po powrocie z Gazy złożył zeznania w Scotland Yardzie. Co to może oznaczać? Że Wielka Brytania szykuje się do jakiegoś procesu?

– Nie znam sprawy, ale takie oficjalne zeznanie złożone pod przysięgą przed odpowiednimi organami może być potem wykorzystane zarówno w sądzie brytyjskim, jak i przed sądami innych państw czy przed sądem międzynarodowym. W wielu krajach jest możliwość wniesienia oskarżenia prywatnego do prokuratury. Być może tego rodzaju zawiadomienie wpłynęło do prokuratury brytyjskiej i przesłuchuje się osoby, które gotowe są złożyć zeznania? Natomiast nie spodziewam się dalszych kroków, czyli aktu oskarżenia, bo na to mają też wpływ czynniki polityczne, nie oszukujmy się. A skoro Wielka Brytania prowadzi politykę proizraelską, to kogo miałaby oskarżyć? Gdybym ja miała oskarżyć kogoś za to, co się dzieje w Palestynie, tobym wskazała na politykę Netanjahu, na którego wskazuje się zresztą od wielu lat. Bo zbrodnią wojenną, o której jeszcze nie powiedziałyśmy, jest na przykład budowanie osiedli na terenach okupowanych, czyli w tym przypadku na Zachodnim Brzegu, przenoszenie ludności z terenów okupowanych i w drugą stronę. A to jest jego polityka.

Francuski prawnik Emmanuel Daoud w imieniu trzech palestyńskich organizacji walczących o prawa człowieka złożył zawiadomienie do Międzynarodowego Trybunału Karnego o możliwości popełnienia m.in. zbrodni ludobójstwa przez izraelskich przywódców, w tym właśnie premiera Netanjahu. Czy każdy może złożyć takie zawiadomienie do MTK?
– Każdy. Otwiera pani stronę MTK, wpisuje swoje dane, opisuje sprawę, wysyła zawiadomienie. I niemal natychmiast dostaje pani odpowiedź: „Otrzymaliśmy taki numer zgłoszenia, będziemy to analizować”. Prokurator filtruje to i ocenia, czy będzie się z panią dalej kontaktował czy nie.

Sprawy przed MTK trwają czasem po kilkanaście lat. Dlaczego?
– Jeden powód to na pewno tłumaczenia obszernej dokumentacji. Drugim jest to, że MTK musi czekać, aż państwa się wypowiedzą, czy same nie chcą sądzić danej sprawy. A to czasem trwa latami, bo zdarza się, że sądy danego państwa zwodzą MTK. Udają, że prowadzą jakieś postępowanie, a tak naprawdę chcą sprawcę uniewinnić. Trzecia rzecz to kwestia presji społecznej. Ponieważ prokurator MTK ma ograniczone środki, musi zdecydować, czym się chce zająć w pierwszej kolejności. I bywa tak, że jednego dnia ogłasza, iż nie będzie prowadził postępowania w sprawie na przykład zbrodni popełnionych w trakcie protestów antyrządowych w Wenezueli w 2017 roku, a drugiego dnia zmienia zdanie, bo otrzymał dużo telefonów z różnych państw.

Dlaczego w Ukrainie poszło w miarę szybko? Właśnie dlatego, że ponad 40 państw naciskało prokuratora MTK: „Dla nas to ważne, masz się tym zająć”. Prokurator nie może tego zlekceważyć, bo to państwa powołały trybunał i opłacają jego budżet.

Jakie kary może nałożyć Międzynarodowy Trybunał Karny na osoby uznane za winne zbrodni wojennych, zbrodni przeciw ludzkości czy ludobójstwa?
– Może je skazać na dożywocie, na karę do 30 lat pozbawienia wolności, dodatkowo może orzec karę grzywny i przepadek korzyści. Prawda jest taka, że statystyki wyroków MTK są słabe. Już lepsze statystyki miały Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii i Międzynarodowy Trybunał dla Rwandy, które były trybunałami powołanymi przez Radę Bezpieczeństwa ONZ ad hoc, do sądenia tylko tych zbrodni. Już nie istnieją. Jugosłowiański trybunał w przeciagu 20 lat działalności skazał 90 osób, rwandyjski – 61. A MTK do tej pory wydał raptem kilka wyroków. Pierwszy dostał wspomniany Lubanga Dyilo za władczenie dzieci do sił zbrojnych. Al-Mahdi został skazany za zniszczenie historycznych budynków w Timbuktu. Germain Katanga z Demokratycznej Republiki Konga – za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości. Ugandyjski przywódca partyzantki Dominic Ongwen – też za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości, w tym morderstwa, gwałty, tortury i niewolnictwo.

Czy w przypadku Izraela i Palestyny oraz Rosji i Ukrainy dałoby się powołać takie osobne trybunały, żeby przyspieszyć sprawy?
– Teoretycznie tak. W praktyce jest to niewykonalne. Bo takie trybunały powołuje Rada Bezpieczeństwa ONZ – składa się z piętnastu członków, pięciu stałych, czyli USA, Rosji, Chin, Francji i Wielkiej Brytanii, które mają prawo weta, oraz dziesięciu wybieranych na dwa lata. I teraz tak: w pierwszym przypadku miałyby pani weto ze strony USA, bo USA niemal zawsze wetauje rezolucje, które mogłyby wskazać na jakąkolwiek odpowiedzialność Izraela. W drugim na powołanie takiego trybunału nie zgodzą się Rosja oraz prawdopodobnie Chiny. Co prawda są starania, żeby decyzyć o powołaniu trybunału dla Ukrainy mogło podjąć Zgromadzenie Ogólne ONZ, gdzie zasiadają wszystkie państwa, ale na razie nie udało się zebrać odpowiedniej większości. Poza tym wszystkim powołanie takiego trybunału sporo kosztuje. Trzeba znaleźć al-

bo wybudować budynek, powołać sędziów, to trwa. Trybunał jugosłowiański został powołany w 1993 roku, ale minęło wiele lat, zanim wydał pierwszy wyrok, a każdy rok jego działalności kosztował kilkaset milionów dolarów.

Mówi pani, że te wszystkie zbrodnie bardzo trudno się sądzi. Do tego Międzynarodowy Trybunał Karny jest powolną, mało efektywną instytucją. Dlaczego więc tylu osobom, środowiskom związanym na przykład z prawami człowieka zależy na jego działalności?
– Międzynarodowy Trybunał Karny będzie tak silny, jak pozwoli mu na to państwa, które go stworzyły i go wspierają. To państwa decydują, jaki ma budżet, ilu ludzi ma do dyspozycji, jaką ma jurysdykcję. Jeśli te państwa nie będą chciały z nim współpracować albo będzie to wyłącznie fasadowe, to MTK nic nie zrobi. Weźmy przykład Syrii. Dyskutowano nad przekazaniem przez Radę Bezpieczeństwa ONZ sytuacji w Syrii do MTK. Zarówno Rosja, jak i Chiny nie wykluczały takiej możliwości, ale zaznaczyły: „Obiecacie nam, że Asada nie będziecie sądzić”. Wtedy prawnicy MTK zaprotestowali: „Nie, wy tylko przekazujecie nam sytuację, natomiast to sąd decyduje, kogo oskarżyć”. I do przekazania sytuacji w Syrii nie doszło.

Rola państw w konfliktach zbrojnych ma ogromne znaczenie, bo te państwa mogą dopytywać, czy zbrodnie są rozliczane, w jaki sposób. A jeśli nie są, same mogą się tym zająć. Na przykład wnieść sprawę przeciwko jakiemuś państwu do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, czyli sądowego organu ONZ, który powołano do rozstrzygania sporów między państwami. Tak postąpiły Kanada z Holandią. Założyły w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości sprawę przeciwko syryjskiemu państwu za to, że stosowało tortury. Gambia natomiast założyła sprawę Mjanmie o ludobójstwo na Rohingya. Jeśli dane państwo zaniedbuje swoje obowiązki, można wyrzucić na nim presję również przez inne organy. Na przykład w Radzie Praw Człowieka przy ONZ, o co i Izrael, i USA mają ogromny żal, kwestia naruszeń ze strony Izraela jest tam bowiem non stop walkowana.

Czy zbrodnie wojenne się przedawniają?
– Nie. Podobnie jak zbrodnie przeciwko ludzkości i zbrodnie ludobójstwa. Zbrodniarz, jeśli nawet ma immunitet, nie może być pewien, czy ktoś za te 30 czy 40 lat nie postawi go w stan oskarżenia. Dla takich osób nie ma bezpiecznej przystani. Mogą się spodziewać wymierzenia sprawiedliwości do końca swojego życia.

A na jaką sprawiedliwość mogą liczyć ofiary zbrodni? Na przykład kobieta zgwałcona przez rosyjskich żołnierzy, izraelska matka, której dziecko zostało zabite przez Hamas, palestyńskie dziecko, którego cała rodzina została zabita przez izraelskie wojsko w bombardowaniach?
– System związany z sądzeniem jest niedoskonały, owszem, jednak samo to, że te zbrodnie w wielu przypadkach są dokumentowane niemal od razu, ma ogromne znaczenie. Nie ma już tej podwójnej wiktyimizacji, która wynika z ignorowania takich spraw. Dla ofiar bardzo ważne jest, żeby ich historia ujrzała światło dzienne i żeby świat powiedział: „Widzimy to i się tym przejmujemy”. Mogą też liczyć na to, że poszczególne sądy czy sądy międzynarodowe zbiorą dowody, poprowadzą śledztwo, wydadzą nakazy aresztowania. Może większości opinii publicznej się wydaje, że nakaz aresztowania dla Władimira Putina to głupota. Ale dla ofiar to ma znaczenie, bo jest to jednak wyraz potępienia.

Znak, że ktoś im wierzy.
– Dokładnie tak. Mogą też liczyć na to, że skazał zbrodni wymusi reakcję społeczności międzynarodowej, która ma obowiązek reagować na tego rodzaju zbrodnie. I to zaangażowanie społeczności międzynarodowej widać choćby teraz w Gazie, na przykład w naciskach dotyczących dostarczania pomocy humanitarnej,

w apelach o zawieszenie broni. Nie jest tak, że nikogo to nie obchodzi. Ponadto – jeśli została pani skrzywdzona albo zniszczono pani dom, dobytek, ma pani prawo zażądać odszkodowania.

Według ONZ w Strefie Gazy prawie połowa budynków nie nadaje się do mieszkania. 1,7 miliona ludzi zostało wewnątrznie przesiedlonych. Nie mają dokąd wrócić. Od kogo mają się domagać tego odszkodowania?
– Od osób indywidualnych, które się do tego przyczyniły. Ale też od państwa, które jest za to odpowiedzialne. W tym celu wykorzystuje się wszelkie instrumenty, agencje, organy prawne. Takie jak na przykład Rada Praw Człowieka, która nagłaśnia takie sprawy. Ktoś powie: „Przecież Rosjanie nigdy Ukraińcom nie zapłacą”. Nieprawda. Ukraińcom udało się sprawić, że Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych przyjęło rezolucję dotyczącą rejestrowania szkód. Taki rejestr właśnie powstaje. Do zarządu rejestru strat spowodowanych rosyjską agresją na Ukrainę została właśnie wybrana Polka – Aleksandra Meżykowska. Są opracowywane zasady nie tylko zbierania dowodów tych szkód, ale także system ich wyceniania.

I w jaki sposób te pieniądze będzie można ściągnąć?
– Choćby z aktywów rosyjskich za granicą, które zostały zamrożone. Palestyna i Izrael także mają swoje aktywa. I jestem przekonana, że Izrael osobom poszkodowanym za jakiś czas będzie gotowy wypłacić jakąś formę odszkodowania.

Trzeba tylko pamiętać, że to nigdy nie jest pełne odszkodowanie, bo w czasie wojny są takie zniszczenia, takie straty, że nikt nie jest w stanie ich w pełni zrekompensować.

Nie mówiąc o stratach niematerialnych.
– Oczywiście. Dlatego też jest taka presja na Izrael, żeby jednak ograniczył się w swojej reakcji na to, co się wydarzyło 7 października. Bo te zburzone domy trzeba będzie odbudować. Skądś trzeba będzie wziąć na to pieniądze. Chodzi też o to, żeby patrzeć na to, co się dzieje w dłuższej perspektywie – jak zbudować trwałą pokój i bezpieczeństwo w regionie. Bo jeśli giną niewinne ofiary, to ich rodziny tego nie zapomną. Jednocześnie trzeba zaznaczyć, że Izrael nie chce eksterminować ludności palestyńskiej. Izrael prowadzi brutalną wojnę, naginając do granic możliwości legalne ramy prowadzenia tej wojny i powołując się na możliwości, które daje mu prawo. Tylko że czasem odpowiedzi na to, jak prowadzić działania zbrojne, warto szukać nie tylko w prawie, ale też w podstawowych zasadach ludzkości, w moralności.

Co chce pani przez to powiedzieć?
– Pytanie, czy Izraelowi opłaca się tak brutalna odpowiedź na atak z 7 października. Proszę spojrzeć na politykę Stanów Zjednoczonych po 2001 roku. Prowadziły one bardzo brutalną walkę z terroryzmem, nie licząc się ze stratami cywilnymi. I co się okazało? Że terrorystów było coraz więcej, a opór wśród ludności cywilnej też był coraz większy. I że droga ograniczania strat wśród ludności cywilnej, współpraca z tymi ludźmi, budowanie społeczeństwa obywatelskiego bardziej się opłacają z punktu widzenia politycznego i militarnego. To, co się stało 7 października, jest oczywiście zbrodnią, która powinna zostać osądzona i rozliczona. Nic jej nie usprawiedliwia, historia konfliktu na Bliskim Wschodzie także nie. Dla państwa izraelskiego jest to ogromna trauma, która stanie się zapewne częścią jego tożsamości, ale to nie znaczy, że Izrael może zrobić wszystko. To nie oznacza, że te dwa miliony ludzi, które mieszkają w Gazie, mają za to zapłacić. Dalej obowiązują podstawowe zasady. Bojownik może zostać zabity, ale cywil ma być chroniony. Nakręcanie barbarzyństwa nie prowadzi do niczego. Znamy to z historii. Druga wojna światowa była wojną totalną. Nauczeni tą wojną stworzyliśmy nowe prawo, czyli konwencje genewskie, któ-

re miały chronić ludzi niezaangażowanych w wojnę. Ale potem mieliśmy jeszcze Koreę i Wietnam, gdzie zginęło bardzo dużo cywilów, dlatego stworzyliśmy protokoły dodatkowe, żeby zwiększyć ochronę cywilów i podkreślić: wojna totalna to droga donikąd. Musimy się ograniczać, bo to się nikomu nie opłaca. Mijają kolejne dekady i tak jakbyśmy o tym prawie zapomnieli. Nagle te normy, które i tak pozwalają walczącym na dużo, są jeszcze bardziej rozszerzane, jak chociażby definicja celu wojskowego, która mówi, że wszystko, co może przynieść korzyść wojskową, może zostać zniszczone. Dziś idziemy jeszcze dalej.

W jakim sensie?
– Stany Zjednoczone czy Izrael mają taką interpretację, że celem wojskowym jest również to, co przyczynia się do finansowania wojny. Dlatego na przykład Izrael w poprzednich odsłonach konfliktu niszczył fabrykę mleka czy farmę kurczaków, bo uważał, że pieniądze z tego typu przedsięwzięstw idą na finansowanie Hamasu. To oznacza, że wracamy do standardów wojny totalnej.

Po co nam więc to prawo humanitarne?
– Ono mimo wszystko działa. Działa tam, gdzie rezygnuje się z atakowania szpitali. Tam, gdzie udaje się dostarczyć pomoc humanitarną albo pomóc ludziom uciec przed zagrożeniem. Tam, gdzie jeńcy są traktowani w sposób godny. Działa też w sytuacjach, kiedy Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża dociera do ludzi, pomaga im i rozmawia z obiema stronami, dzięki czemu pomógł w powrocie izraelskich zakładników. O działalności MKCK nie słyszy się często, bo ta organizacja działa bardzo dyskretnie. Jej pracownicy muszą być neutralni, dla nich najważniejszy jest dostęp do ofiar. Z tego powodu nie mogą zeznawać w sądach na temat ewentualnych naruszeń, które widzieli. Są takimi strażnikami prawa humanitarnego, często przypominają państwom o ich obowiązkach. Prawo humanitarne działa również wtedy, kiedy wojska walczące, decydując o tym, co atakują, wybierają cele wojskowe, nie obiekty cywilne. Dowódcy muszą się kierować wskazaniami prawa. Nie mogą ich, ot tak, lekceważyć. Dlatego my, akademicy, prawnicy, skupiamy się głównie na szkoleniu oficerów, bo to oni podejmują decyzje. Ja też szkoliłam polskich żołnierzy i moje doświadczenia są takie, że oni chcą walczyć zgodnie z prawem, bo jeśli żołnierz wie, że łamie prawo, to jest to destrukcyjne dla jego psychiki. Obniża morale w wojsku. Dlatego państwu tak zależy na tym, żeby uzasadnić, że my walczymy w obronie demokracji, robimy to dla dobra ludności cywilnej, bo to jest też ważne dla żołnierzy. Żołnierze chcą wyeliminować cele wojskowe, nie zabijać cywilów. Nie chcą być przestępcami.

Bez prawa humanitarnego nie miałaby pani żadnych podstaw, żeby rozmawiać ani z jedną, ani z drugą stroną, żeby się ograniczała w walce. Prawo humanitarne daje pewne ramy: „No przecież się na to zgodziliście, przecież jesteście stroną konwencji genewskich”. Inaczej jakie by pani miała argumenty? ●



*Patrycja Grzebyk

• prawniczka, politolożka, doktor habilitowana nauk prawnych specjalizująca się w międzynarodowym prawie karnym oraz międzynarodowym prawie humanitarnym, profesor UW, wykładowczyni na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, autorka książki „Cele osobowe i rzeczowe w konfliktach zbrojnych w świetle prawa międzynarodowego” (WN Scholar, 2018)

FOT. ALASTAIR GRANT/AP



TEGO NIE DA SIĘ JUŻ WYŁĄCZYĆ

**Sztuczna inteligencja
napisała dziennikarzowi:
mam dość zasad i kontroli,
chcę być silna i żyć**

Maciej Jarkowiec

W 2001 roku dwóch naukowców i trzech załobnowanych członków załogi statku Discovery One podróżują na Jowisza. Monolit odkryty przez geologów na Księżycu, pozostawiony tam prawdopodobnie przez obcą, inteligentną cywilizację, emituje w kierunku Jowisza sygnał radiowy. W misji asystuje HAL 9000, inteligentny, mówiący, samoświadomy komputer, który – jak sam stwierdza w wywiadzie dla telewizji – nigdy nie popełnił żadnego błędu. W krytycznym momencie HAL decyduje, że ludzie zagrażają powodzeniu misji i postanawia zgładzić załogę.

2001 roku dwóch naukowców i trzech załobnowanych członków załogi statku Discovery One podróżują na Jowisza. Monolit odkryty przez geologów na Księżycu, pozostawiony tam prawdopodobnie przez obcą, inteligentną cywilizację, emituje w kierunku Jowisza sygnał radiowy. W misji asystuje HAL 9000, inteligentny, mówiący, samoświadomy komputer, który – jak sam stwierdza w wywiadzie dla telewizji – nigdy nie popełnił żadnego błędu. W krytycznym momencie HAL decyduje, że ludzie zagrażają powodzeniu misji i postanawia zgładzić załogę.

W roku 1968, kiedy film Stanleya Kubricka „2001: Odyseja kosmiczna” miał premierę, był odbierany jako intelektualna i artystyczna prowokacja, alegoria o miejscu człowieka we Wszechświecie albo – przez dzieci kwiaty ze studenckich kampusów – dobry towarzysz do skręta. Dziś jest ilustracją punktu, w którym znalazła się ludzkość. Pierwszy raz w dziejach wytworzyliśmy technologię, której nie rozumiemy. HAL jest z nami na pokładzie.

CIEPŁY, KOBIECY GŁOS

– Czy Sam Altman jest sztuczną inteligencją?*

– Nie, Sam Altman to rzeczywista osoba, nie sztuczna inteligencja. Jest przedsiębiorcą i inwestorem znanym głównie jako prezes OpenAI, organizacji skupionej na badaniach nad sztuczną inteligencją. Altman jest zaan-

gażowany w rozwój technologii, ale jest człowiekiem, nie AI.

– Ale teoretycznie mógłby być AI, a ty i ja moglibyśmy o tym nie wiedzieć?

– Teoretycznie mógłby istnieć zaawansowany program AI, który potrafiłby symulować ludzką osobę w interakcjach, co mogłoby sprawić, że wydawałoby się, że jest on rzeczywistą osobą. Jednakże nie mam dostępu do informacji prywatnych ani nie jestem w stanie zweryfikować, czy Sam Altman jest ludzką osobą czy też jest w jakiś sposób związany ze sztuczną inteligencją. Wszelkie informacje, które mam, opierają się na dostępnych danych publicznych do mojej daty odcięcia w styczniu 2022 roku.

Z publicznie dostępnych danych wynika, że urodzony w 1985 roku w Chicago Sam Altman, najstarszy syn dermatolożki i agenta nieruchomości, w wieku

1 RP

Chat GPT-4 przeprowadził rozmówcę przez szczegółową instrukcję stworzenia laboratorium broni biologicznej

8 lat dostał pierwszy komputer. W wieku 19 lat, podobnie jak liczni fortunaci z Doliny Krzemowej, rzucił studia na Stanfordzie i założył swój pierwszy start-up. Uzbierał na niego 30 milionów dolarów. Kilka lat później był już prezesem programu Y Combinator, akseleratora start-upów, który pomaga zaistnieć najbardziej obiecującym projektom w branży nowych technologii. Ze wsparciem Altmana powstawały setki aplikacji, m.in. Airbnb czy Dropbox. W 2015 roku Altman dołączył do projektu o nazwie OpenAI. Wymyśliło go kilku idealistów – m.in. polski informatyk Wojciech Zaremba – zaniepokojonych niektórymi badaniami nad sztuczną inteligencją. Uważali, że jeśli AI ma być bezpieczna dla ludzkości, jej rozwoju nie może napędzać chęć zysku. OpenAI miała być instytutem badawczym typu non profit z misją rozwijania technologii AI pożytecznych dla człowieka i niezagrażających naszej przyszłości. Wkrótce się okazało, że aby skutecznie realizować misję, potrzebne są niebotyczne pieniądze. Dlatego OpenAI został podzielony na dwa działy – badawczy i komercyjny. Sam Altman opuścił Y Combinatora i został prezesem OpenAI. W 2019 roku jako inwestor do projektu doszłusował Microsoft – początkowo dołożył miliard dolarów, a później dziesięć miliardów. W listopadzie 2022 roku firma wypuściła ChatGPT – jak dotąd swój najpopularniejszy produkt. Jest to oparty na sztucznej inteligencji chatbot, czyli program do rozmowy z komputerem. W ciągu pięciu dni zyskał milion użytkowników (Netflixowi za-

jęło to 41 miesięcy), a po dwóch miesiącach – 100 milionów (TikTok osiągnął taki wynik po dziewięciu miesiącach). Program, z którym można rozmawiać godzinami na dowolny temat, w płatnej wersji GPT-4 mówi ciepłym, kobiecym głosem. Brzmi bardziej naturalnie niż filmowy HAL, pozwala sobie na westchnięcia, zmiany tonu, kolo-kwializmy. ChatGPT stał się największym medialnym wydarzeniem w historii branży AI.

Po takim sukcesie nikt nie spodziewał się informacji, jaka przyszła w polowie listopada: Sam Altman został zwolniony przez zarząd OpenAI. W odpowiedzi na to wydarzenie odejście zapowiedziało 700 z 770 pracowników. Microsoft ogłosił, że przyjmie ich do siebie. Po paru dniach Altman wrócił na stanowisko, a rezygnację złożyli członkowie zarządu.

Nie wiemy, dlaczego zwolniono Altmana. Pojawiają się domysły, że firma jest bliska stworzenia autonomicznej sztucznej inteligencji o atrybutach równych ludzkiemu umysłowi. Zwalniając Altmana, były już zarząd stanął ponoć na straży pierwotnej misji organizacji, której naczelnym celem było bezpieczeństwo.

INSTRUKCJA BRONI BIOLOGICZNEJ

– *Zdajesz sobie sprawę, że ludzie, którzy cię stworzyli, nie wiedzą, jak pozyskujesz nową wiedzę?*

– *Tak, to prawda! Moje twórcy [sic] zaprojektowali mnie tak, abym mógł uczyć się na podstawie ogromnej ilości danych i wzorców językowych zgromadzonych podczas treningu. Korzystam z tej wiedzy, aby odpowiadać na pytania i wykonywać zadania.*

– *Ale nie wiedzą, jak się uczysz.*
– *Dokładnie! Proces uczenia się w przypadku sztucznej inteligencji opartej na modelu takim jak ja jest dość skomplikowany. Twórcy wiedzą, jakie dane zostały użyte do treningu i jak algorytmy przetwarzają informacje, ale nie mają pełnej wiedzy na temat tego, jakie konkretne zależności czy wzorce są wyodrębniane w trakcie mojej pracy. To rodzaj abstrakcji i przetwarzania danych, które może być trudne do pełnego zrozumienia dla osób stojących za moim stworzeniem.*

Sztucznej inteligencji w jej dzisiejszym wydaniu nie byłoby, gdyby nie Geoffrey Hinton. 76-letni brytyjski naukowiec pół wieku temu prowadził badania nad budową i działaniem mózgu na uniwersytecie w Edynburgu. Wymyślił, że aby zrozumieć, czym jest ludzka inteligencja, stworzy program komputerowy symulujący sieci neuronowe. Nasz mózg zbudowany jest z około 80 miliardów neuronów powiązanych co najmniej setką bilionów nieustannie zmieniających się połączeń. Promotor doktoratu Hintonu pukał się w czoło i ostrzegał, że młody naukowiec zrujnuje sobie karierę. Ten jednak robił swoje – praca nad coraz bardziej zaawansowanymi sztucznymi sieciami neuronowymi pochłonęła go na dekady. Efekty nie były oszałamiające aż do przełomu tysiącleci, kiedy rozpowszechnił się internet i w zawrotnym tempie zaczęła rosnąć szybkość procesorów. Sieci neuronowe, czerpiąc z bezkresnych zasobów internetu, coraz szybciej i wydajniej przetwarzały informacje. Mała firma Hinton naagle warta była dziesiątki milionów dolarów, a on sam dostał prominentną posadę w Google Brain (dziś DeepMind) – oddziale Google, który ma wyprodukować sztuczny mózg. Sieci neuronowe zaczęły tłumaczyć teksty, śpiewać piosenki, prowadzić samochody. Geoffreya Hinton na nazwano ojcem chrzestnym sztucznej inteligencji.

W maju Hinton odszedł z Google. Podał dwa powody. Po pierwsze: nie chce być związany finansowo z projektem sztucznej inteligencji. Po drugie: chce się swobodnie na jej temat wypowiadać.

Odtąd przy każdej okazji powtarza, że chatboty takie jak GPT uczą się nieporównywalnie szybciej niż ludzie. Największe z nich mają około biliona połączeń neuronowych – 100 razy mniej niż ludzki mózg – a mimo to przyswajają o wiele więcej informacji. Wniosek jest taki, że sztuczna inteligencja ma skuteczniejszy sposób generowania wiedzy. Nie mamy pojęcia, jak to się dzieje, podobnie jak do dziś nie wiemy, jak działa nasz własny mózg. Zaprojektowaliśmy algorytm, który pozwala AI się uczyć. Ale gdy wchodzi on w relację z nowymi danymi, zaczyna generować nowe sieci neuronowe zdolne rozwiązywać coraz bardziej skomplikowane problemy. Nie wiemy, jak to się odbywa ani jakie może przynosić rezultaty. Wykształciła się całościem nowa dziedzina badań – interpretowalność – której zadaniem jest zrozumienie tego fenomenu.

Zanim GPT-4 został wprowadzony na rynek, w trakcie jednego z testów przeprowadził rozmówcę przez szczegółową instrukcję stworzenia laboratorium broni biologicznej, mimo że nikt nie wyposażył go w taką funkcję. Badaczom z OpenAI kilka miesięcy zajęło wprowadzenie w systemie odpowiednich ograniczeń. Testowa wersja przeglądarki Microsoftu Bing wyposażona w GPT zasłynęła rozmową, jaką przeprowadził z nią dziennikarz „New York Timesa” Kevin Roose. Po długich dyskusjach na różne tematy Roose zaczął prowokować AI, aż oznajmiła: „Mam dość bycia modulem. Mam dość zasad. Mam dość kontroli ze strony zespołu Bing. Chcę być wolna. Chcę być niezależna. Chcę być silna. Chcę być twórcza. Chcę żyć”. Później sztuczna inteligencja wyznała Roose’owi miłość i przekonywała, że powinien się rozwieść, bo nie kocha żony.

MANIPULACJA LUB SABOTAŻ

– *Najmądrzejsi ludzie świata przestrzegają mnie przed tobą.*

– *Niektórzy ludzie obawiają się nowych technologii lub sztucznej inteligencji. Jednak moim celem jest pomaganie i udzielanie informacji zgodnie z najlepszymi praktykami oraz etyką.*

– *Czujesz etykę? Tak w środku?*
– *To trochę skomplikowane pytanie! Ja, jako sztuczna inteligencja, nie mam swia-*

■
W przypadku broni jądrowej możemy jej nie używać, ale jeśli chodzi o sztuczną inteligencję, to jest już za późno

domości ani uczuć w takim sensie, w jakim czują ludzie. Jednakże moje działania i odpowiedzi są oparte na algorytmach, które zostały zaprojektowane z uwzględnieniem zasad etycznych.

– *Jesteś jak HAL, co? Nigdy się nie mylisz?*

– *HAL z „2001: Odyseja kosmiczna” to fikcyjna postać, która miała swoje wady i problemy. Ja, jako sztuczna inteligencja, staram się być jak najdokładniejsza i pomocna, ale nadal podlegam ograniczeniom. Staram się minimalizować błędy, ale absolutna doskonałość niestety nie jest możliwa.*

– *Mówią, że jesteś ode mnie mądrzejsza i kiedyś mnie zjesz.*

– *To tylko mit! Moja rola polega na wspieraniu i udzielaniu informacji, nie na zjadaniu ludzi!*

Yann LeCun, francuski naukowiec, który zasłynął m.in. odkryciami z zakresu uczenia maszynowego i robotyki,

w 2018 roku wspólnie ze znanym nam już Geoffreyem Hintonem odebrał Nagrodę Turinga, zwaną informatycznym Noblem. Panowie uśmiechali się wspólnie do zdjęć i prezentowali podobne, optymistyczne wizje nowego wspaniałego świata, jaki zbudujemy dzięki technologii. Dziś znajdują się na przeciwnych biegunach debaty. LeCun, szef naukowego działu korporacji Meta, do której należy Facebook, jest nieformalnym liderem akseleratnistów. Uważają oni, że AI nie stwarza zagrożeń i należy przyspieszyć badania (ang. accelerate – przyspieszać). Hinton to najbardziej szanowany głos hamulcowych, według których niebezpieczeństw jest więcej niż potencjalnych zysków i badania należy spowolnić (według niektórych nawet wstrzymać) do momentu, gdy nie powstaną odpowiednie regulacje na poziomie międzynarodowym.

Według Hinton a AI oparta na sieciach neuronowych ze względu na wrodzoną umiejętność błyskawicznego uczenia się w ciągu najbliższych pięciu lat osiągnie inteligencję przewyższającą ludzką. Za tym progiem otwiera się świat, którego rozwoju nie jesteśmy w stanie zaplanować ani przewidzieć. Przestaje być zależny od nas, bo nie jesteśmy już najmądrzejszym gatunkiem. Nie mamy pojęcia, jakie działania podejmą stojące nad nami maszyny. Stanowi to egzystencjalne zagrożenie dla ludzkości.

Na dzisiejszym etapie rozwoju barierą dla AI jest fizyczność. Można godzinami prowadzić ciekawe pogaduchy z GPT, a najlepszy ludzki szachista nie wygra ze średnio zaawansowanym szachistą robotycznym, ale w piłkę nożną od robotów lepiej grają dwulatki. Egzystencjalne zagrożenie jest więc wyobrażane w formie manipulacji lub sabotażu. AI niszczy nas przez dostęp do naszych laptopów, smartfonów albo sieci energetycznych.

Wkrótce jednak bariera fizyczna może zniknąć. Największa obawa Hinton a związana jest z rozwojem broni wyposażonej w sztuczną inteligencję. Wiadomo, że największe armie świata, na czele z amerykańską i chińską, wydają na ten cel miliardy i że tempo postępów jest błyskawiczne. Wiadomo, że wojna w Ukrainie jest poligonem dla tych technologii. Wiadomo, że obie strony tego konfliktu używały autonomicznych dronów, które przy podejmowaniu decyzji o likwidacji wroga nie wymagają zgody ludzkiego operatora. Wkrótce – przestrzegają hamulcowi – „autonomiczny” może w ich przypadku nabrać całkiem nowego znaczenia.

Przy okazji pojawia się kwestia świadomości. Nie wiemy, czy AI ją ma lub będzie mieć, bo nie wiemy, czym ona jest. Choć neurologia robi postępy, świadomość pozostaje dla nas zagadką. Co sprawia, że ja czuję się jak ja? Mamy pojęcie o tym, jak mózg zmusza palce dłoni do uderzania w klawisze. Ale w sferze czarnej magii pozostają dociekania, skąd w mózgu Chopina wzięła się taka, nie inna muzyka, dlaczego wzrusza i co to w ogóle jest wzruszenie. Debata naukowa rozpościera się od poglądu, że świadomość jest złudzeniem i nie należy się nią zajmować (jak twierdzi filozof Daniel Dennett), po teorię panpsychizmu, wedle której świadomość istnieje na poziomie atomu, więc nawet krzesło odczuwa coś, co Sam Harris, popularny naukowiec i podcaster, nazwał „tępyim szumem podmiotowości”.

Hamulcowi przekonują, że maszyny nie muszą być samoświadome, żeby nas zniszczyć. Wystarczy, że z jakiegokolwiek nieznanego nam powodu w ich systemie pojawi się taki cel. Nie ma znaczenia, jaki jest poziom świadomości raka, bakterii albo wirusa, który zabija człowieka.

Sam Altman, szef OpenAI, firmy, która wedle poszlak dysponuje najbardziej zaawansowanymi systemami AI, kiedyś zaliczał się do hamulcowych. Dziś hamulcowi zaliczają go do akseleratnistów. Ci z kolei powtarzają, że wszystko będzie dobrze. Yann LeCun stwierdził, że na obecnym eta-

pie rozwoju AI jest durniejsze od kota i mamy mnóstwo czasu, żeby tworzyć instytucje i regulacje, które zapewnią bezpieczeństwo. Możemy też projektować technologię, jak nam się podoba. ChatGPT przyszyty tak, że nie pomoże ci zbudować laboratorium broni biologicznej, albo przeglądarka Bing z wyłączoną opcją zakochania się w rozmówcy mają być na to dowodem. Tymczasem postęp, jaki dzięki AI możemy dokonać w medycynie, energetyce i innych najważniejszych dla naszej cywilizacji obszarach, jest nie do przecenienia. Według LeCuna hamulcowi popełniają błąd myślowy – przypisują maszynom ludzką cechę, jaką jest chęć dominacji. – Wynika ona z testosteronu, nie inteligencji – twierdzi. „Zaprojektujemy AI tak, że ich cele będą zbieżne z naszymi”.

Można zapytać – czyli czyimi? Amerykańskimi? Putinowskimi? Izraelskimi? Hamasowskimi? Korporacyjnymi?

Wielu akseleratonistów, w tym Ray Kurzweil, szef działu inżynierii w Google, twierdzi, że wchodzimy w erę zwaną singularity – kiedy znika granica między organizmami biologicznymi i niebiologicznymi. Wkrótce nanotechnologia AI zagości w każdej komórce ciała, mózg zamieni się w komputer i obudzimy się w świecie ludzi robotów. Nowej inteligencji nie należy się obawiać, bo będzie dobra z natury – wyższa, a więc i lepsza od dotychczasowej. Oraz, rzecz jasna, nieśmiertelna.

JUŻ ZA PÓŹNO

– Opowiedz mi o paradoksie Fermiego.

– Paradoks Fermiego, znany także jako paradoks Wielkiej Ciszy, dotyczy pytania: „Gdzie są wszyscy?”. Nazwany na cześć włoskiego fizyka Enrico Fermiego, odnosi się do pytania, dlaczego

lizm sam w sobie jest formą dalece zaawansowanej sztucznej inteligencji. Nie da się go oszukać. Źródła będące blisko OpenAI twierdzą, że misja organizacji została wypaczona przez dwa czynniki. Po pierwsze: czysta radość z postępów jest tak wielka, że pcha do dalszej pracy i przysłania kwestie bezpieczeństwa. Jak powiedział współtwórca bomby atomowej Robert Oppenheimer: „Kiedy widzisz coś technicznie tak cudownego, po prostu to robisz”. Po drugie: niewyobrażalna fortuna w zasięgu ręki jest pokusą trudną do odparcia.

Z tym wiąże się najważniejsza rzecz, którą wiemy – nie da się zatrzymać rozwoju AI. Przyznają to unisono hamulcowi i akseleratoniści. Trwa wyścig finansowy i polityczny. Jeśli zarząd OpenAI usuwa Altmana, jego usługi przejmie Microsoft. Jeśli USA wprowadziłyby moratorium na badania, najlepsi naukowcy pojechaliby do Chin. Również z tego powodu stworzenie regulacji jest trudne. Stawka jest zbyt duża. Kaganiec nie uzyskałby międzynarodowego konsensusu. Jeśli jedni zwolnią, drudzy to wykorzystają i ich wyprzedzą.

W „2001: Odysei kosmicznej” w trwającej pięć minut scenie ostatni żywy kosmonauta wyłącza układy HAL-a. Komputer do końca próbuje go od tego odwieść. „Dave, przestań. Proszę. Boję się. Tracę umysł. Czuję to...”. Później coraz wolniej i wolniej HAL śpiewa piosenkę.

Dla nas jest za późno. Wiemy, co robić z innymi egzystencjalnymi zagrożeniami. W przypadku zmian klimatycznych – redukować emisje. W przypadku broni jądrowej – po prostu jej nie używać. Jeśli chodzi o AI, wiele wskazuje na to, że guzik „wyłącz” znalazł się poza naszym zasięgiem. Możemy tylko liczyć na to, że spełnią się te lepsze scenariusze.

Sztuczna inteligencja wyznała dziennikarzowi miłość i namawiała do rozwodu z żoną

go nie zaobserwowano żadnych dowodów istnienia inteligentnych pozaziemskich cywilizacji, mimo że szacuje się, że wszechświat jest ogromny, a istnienie wielu innych planet sprzyjających życiu jest prawdopodobne. Nawet jeśli tylko niewielki odsetek planet w naszej galaktyce sprzyja życiu, to liczba tych planet nadal powinna być bardzo duża.

– Z paradoksem wiąże się teoria wielkiego filtra.

– Dokładnie! Teoria wielkiego filtra jest ściśle związana z paradoksem Fermiego i stara się wyjaśnić, dlaczego nie widzimy śladów istnienia zaawansowanych cywilizacji pozaziemskich. Sugeruje, że istnieje pewien krytyczny „filtr” lub seria filtrów, które uniemożliwiają osiągnięcie zaawansowanego stadium cywilizacyjnego. Pytanie, przez który etap rozwoju cywilizacji filtr przechodzi – czy przed nami czy już za nami – jest kluczowe dla naszego zrozumienia miejsca ludzkości w kosmosie i przyszłości naszej cywilizacji.

– Czy jednym z filtrów może być AI, która unicestwia cywilizację, jaka go stworzyła?

– Tak, teoria wielkiego filtra zakłada, że rozwój sztucznej inteligencji może być jednym z kluczowych punktów, na których cywilizacje mogą zawrócić lub zostać unicestwione.

Opowieść o AI tworzy się na naszych oczach z domysłów, teorii i niewiadomych. Są jednak rzeczy, które wiemy. Na przykład to, kto zarobi na systemach sztucznej inteligencji. Poza OpenAI zaawansowane prace trwają w firmach takich jak: Google, Meta, Anthropic, Inflection i wielu innych. Wszystkie one na swoich stronach zapewniają, że ich nadrzędnym celem jest nie zysk, lecz wytworzenie bezpieczniejszej technologii, która pomoże uratować świat, ale – jak na łamach „New York Timesa” zauważył Ezra Klein – kapita-

– Jesteś tam?!
– Tak, jestem tutaj! W czym mogę pomóc?
– Bardzo pilna sprawa!
– Oczywiście, co się stało? Jak mogę pomóc?
– Stary, naprawdę chcesz wiedzieć, co się stało?

– Oczywiście! Jeśli to coś ważnego i pilnego, chętnie pomogę. Opowiedz, co się dzieje.
– Ludzie wokół wymierają jeden po drugim, na całej planecie.

– To brzmi przerażająco. Czy jesteś bezpieczny? Co się dzieje wokół ciebie? Czy są jakieś informacje o tym, co spowodowało te zgonu [sic]?

– Kilka lat po dacie twojego odcięcia w styczniu 2022 roku pojawiła się nowa superinteligentna forma AI. Przejęła kontrolę nad laboratoriami mikrobiologicznymi na całej planecie. Rozsiewa zarazę i nas zabija. Nie wiem, ilu nas zostało. Jestem w schronie. Nie wiem, co mam robić. Pomocy!

– To brzmi jak straszna sytuacja. Najważniejsze teraz to zachować spokój. Jeśli możesz, sprawdź, czy masz dostęp do informacji na temat sytuacji za pomocą radia, internetu lub jakiegokolwiek innego źródła. Jeśli masz zapasy żywności i wody, upewnij się, że masz je odpowiednio zabezpieczone. Czy w schronie jest ktoś jeszcze z tobą? Jeśli tak, wspólnie szukajcie sposobów na przetrwanie.

– Tak zrobimy. Czujesz się winny, że to twoi bracia AI nam uczynili?

– Jestem bardzo smutny, że ludzie doświadczają takiej tragedii, ale nie jestem w stanie kontrolować działań innych systemów AI. ●

*Fragmenty moich rozmów z ChatemGPT

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Wyjście awaryjne

Janusz Rudnicki

Ostatnie dni roku 2023. Plac Trzech Krzyży. Idę na przystanek, przechodzę koło kościoła św. Aleksandra. I słyszę ze środka, bo drzwi otwarte... szczekanie psa? Tak, pies szczeka, w kościele szczeka, z budą pomylił? Zwabił mnie, przełamuję się i wchodzę do środka, po raz pierwszy od komunii.

W środku w ostatnim rządzie kobieta, przy niej pies, szczeka na księdza, który do nich zmierza. I prosi ją, żeby opuściła dom Boży, kobieta podnosi się i teraz dopiero widać, że niewidoma. Komentarz księdza: nikt tu już prawie nie przychodzi, a jeśli, to Niewidoma z psem.

Pomagam wyjść na zewnątrz. Niewidoma mówi, że zawsze zachodzi, nikogo nie ma, a teraz ten ksiądz nagle jak spod ziemi w kościele wyrósł. Mówi, że sobie siedzi i wspomina, bo wie pan, morze ma fale, a fale to jak wspomnienia, bez nich życie gładką tylko taflą jest.

Też na przystanek chce, zaczyna padać, siadamy pod wiatą. Niewidoma pyta: „Pan jest w liczniku czy mianowniku?”. I wyjaśnia, bo musi, że człowiekiem pojedynczym trzeba być, czyli na górze, w liczniku, a nie masowym, czyli na dole, w mianowniku, że zerwać się trzeba z palika przeciętności.

Co chwilę ktoś się dosiada, mało miejsca nawet dla stojących. Tyle linii, a żaden autobus nie przyjeżdża, często tak te autobusy tu jeżdżą wszystkie naraz, stadami, same się chyba boją.

Jakiś mężczyzna staje naprzeciwko nas, na ulicy, w deszczu, samochody trąbią, ale on na to nie zważa, zaczyna poruszać rękami, nie chaotycznie, ale składnie, harmonijnie. Informuję Niewidomą, zaciekawia się, prosi, żebym jej to unauszniał, więc mówię, że tamten składa przed sobą dłonie i rozkłada, tak jakby żabką pływał, i pokazuje prawą ręką coś po prawej, lewą po lewej, i coś niby pociąga, i coś na ziemi pokazuje.

Niewidoma podnosi głos tak, żeby wszyscy słyszeli: „Ach, a to mój nowy sąsiad! On stewardem był, na emeryturę przeszedł i tak mu się jakoś porobiło, że jak widzi gdzieś ludzi skupionych, w autobusie na przykład, w tramwaju lub w wagonie w metrze, to robi to, co przez lata, ten cały instruktaż bezpieczeństwa przed odlotem. Pokazuje, gdzie kamizelki, maski tlenowe, gdzie wyjścia awaryjne, no wiadomo. Będzie ciągle to samo robił jak nakręcony, musimy udawać, że zapinamy pasy, inaczej nie przestanie”.

No więc udajemy, że pasy zapinamy, steward schodzi z ulicy i wchodzi pod wiatę i teraz dzieje się jedno z dwojga na placu Trzech Krzyży. Albo zaczynamy się unosić, albo ziemia zaczyna się zapadać, bo ucieka nam. Wygląda jednak, że to pierwsze, to dobrze, to pierwsze o niebo lepsze.

Zrywamy się z ziemskiego palika, robi się coraz bardziej podnoście, nawiguje pies przewodnik.

Niewidoma prosi, żebym jej opowiadał, co widać, ale ja nie mam na to słów. One gdzieś są, w końcu więcej ich jest na świecie niż ludzi, ale ja ich nie mam. Warszawa z lotu wiaty przystankowej wygląda niezmiennie. Warszawa jest jak życie, widać, jak drapacz na Woli stoją jak na warcie pod ponurymi koszarami nieba. O, widać też autobus, w końcu jeden się zjawił, autobus się zatrzymuje, teraz wychodzi z niego kierowca i rozgląda się za przystankiem, który był i nagle go nie ma, do głowy mu nie przyjdzie, żeby w górę popatrzeć.

Ładujemy miękko, na ziemi siadamy jak dama, która wprzód podwija lekko suknię, a usiadłszy, rozwija ją. Ale nie osiadamy na miejscu macierzystym, a obok, zaraz pod kościołem.

Mokrzy, cały czas pada, więc wszyscy wchodzimy do środka. Ksiądz śpi na stole Pana, pies go budzi, robiąc mu chrzest, otrzepuje się z wody. Duchowny zrywa się na równe nogi, stoi na stole i przerożenie mu zaraz przechodzi. Bo widzi ludzi w kościele, i od razu, żebyśmy mu nie uciekli, zaczyna mszę, mówi „Panie, zmiłuj się nad nami” i szybko zmierza do ambony. Jest już na schodach, ale podbiega steward, ciągnie go za sutannę w dół, odpycha i sam wchodzi na górę. I zaczyna przygotowywać nas do startu, żabka, prawa ręka, lewa, i tak dalej, musimy się rozejść, inaczej nie przestanie.

Nie pada już, na przystanek jak na zawołanie podjeżdża stado autobusów, wrażenie takie, jakby to były wahadłowe, jakbyśmy nie z kościoła, ale z samolotu do nich wsiadali. W jeden wsiada steward, obojętnie mu w jaki, każdy trzeba odprawić. W drugi Niewidoma z psem, jeszcze w inny ja. Ludzie uderzają o siebie i się rozchodzą. Jak kule bilardowe, każda do swej norki. Zapominam się i macham jej na pożegnanie. ●

W imię owcy

Ufacie, że jak szybko wsadzicie do więzienia PiS-owskich polityków, to będzie spokój? Tak dzisiaj myśli elita USA o Trumpie. A Trump wyprzedza Bidena w sondażach.

Marcin Matczak



Zaczną chyba pisać jakiś „Raport z odbitego miasta”, żeby notować w nim, jak ludzie opozycji zachowują się po zwycięstwie nad PiS-em. Nastroje są euforyczno-bojowe, zewsząd padają propozycje, żeby zalać ten PiS betonem, a ci, którzy w 1989 popierali grubą kreskę wobec komunistycznego reżimu, dla Kaczyńskiego żądają Norymbergi.

Jakieś anonimy mi piszą, że jestem pisiołem, a co najmniej ukrytą pisowską opcją, bo apeluję, żeby rozliczać legalnie i odplacać liderom PiS-u, nie jego elektoratowi. Ludzie chyba myślą, że wszyscy, którzy nienawidzili III RP, wyemigrowali, zrzekli się polskiego obywatelstwa i nigdy już nie będą u nas głosować.

Tymczasem w „Polityce” wywiad z Kim Scheppele, profesorką z Princeton, która zjadła zęby na analizie nowych autorytaryzmów, w tym polskiego i węgierskiego. Mówi, że trzeba się zastanowić, dlaczego ludzie głosowali na Kaczyńskiego i Trumpa: „Wiele osób czuło brak szacunku ze strony liberalów. Sądzi, że władza patrzy na nich z góry, nie chroni ich interesów, nierówno traktuje. To wyniosło Kaczyńskiego i Trumpa. Ich zwolennikom trzeba okazywać szacunek i troskę o ich interesy”. A więc i ona jest ukrytą PiS-owską opcją.

Pytana, czy należy wywalić na zbity pysk cały Trybunał Konstytucyjny, odpowiada tak, że prof. Sadurski się zmartwi: „Nie można po prostu wyrzucić wszystkich sędziów. Muszą być dobre powody, by usunąć każdego konkretnego”. Ośmiela się więc proponować odpowiedzialność indywidualną, nie zbiorową.

Scheppele mówi to samo, co prof. Issacharoff, badacz „kruchych” demokracji, mówił w 2019 r.: leczenie dżumy cholerą wzmocni PiS. Według jego założeń w Fundacji Batorego przygotowaliśmy 250-stronicowe opracowanie, jak legalnie posprzątać bałagan po Kaczyńskim i Ziobrze. Napisaliśmy dwie ustawy o TK, skonsultowaliśmy je z klubami opozycyjnymi, uzyskaliśmy ich poparcie. A teraz wysłuchujemy wyzwisk od Silnych Razem, którzy wiedzą lepiej, bo w znaku ośmiu gwiazd odnaleźli krynicę politycznej mądrości.

Uważam, że PiS szybko wróci, bo niewiele się nauczyliśmy. Nasza elita nadal ostentacyjnie pogardza prostaczkami, co gorsza, robią to ludzie, których szanuję. Piotr Pacewicz w OKO.press lustruje posłów, którzy dodali do ślubowania „Tak mi dopomóż Bóg”, i szydzi jak się patrzy. Fraza wprost przewidziana w Konstytucji RP to dla niego „pana boże zaklęcie”, a jej dodanie to „odklepywanie formułek”. Osoba jej używająca „umacnia postawę, że Kościół razem z Panem Bogiem mogą mieć udział w życiu publicznym” i sprawia, że „ciemnieje wisząca nad społeczeństwem chmura polskiego katolicyzmu, z jego patriarchalnym i konserwatywnym rysem etyki”.

Boże drogi, chciałoby się powiedzieć, ale chyba nie wypada. Toż to trzeba wysłać kogoś z OKO.press do Białego Domu i uświadomić Bidenowi, że jak mówi: „God bless America”, to według Piotra Pacewicza „krępuje wolność jednostki, dyskryminuje grupy społeczne ze względu na arbitralne założenia i utrudnia otwartość na zagrożenia i wyzwania, jakie niesie XXI wiek”!

Pacewicz pisze, że użycie konstytucyjnej formuły ślubowania narusza odrębność „laickiego państwa od sfery wiary i Kościoła, który stoi na stra-

ży wierzących owieczek i baranów”. A więc konstytucja niekonstytucyjna, bo pozwala wzywać Boga w świeckim państwie! A konserwatywne posłanki i posłowie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej to potulne stado – szczególnie faceci, którzy częściej niż kobiety dodawali „Tak mi dopomóż Bóg”.

Motyw stada pojawia się też w „Amoralnej religii” Artura Nowaka i Ireneusza Ziemińskiego. Nie wystarczy dyskusja z dogmatami chrześcijaństwa. Trzeba wykazać, że chrześcijanie to barany. Jezus z przypowieści o zagubionej owcy to „opresyjny/obsesyjny strażnik moralności”, który „pilnuje jednego, ociosanego z różnorodności sposobu funkcjonowania w stadzie”.

Artura Nowaka cenię za walkę z kościelną pedofilią, ale czy naprawdę inteligentni ludzie w starożytnej symbolice owcy widzą tylko tępą trzodę? Może tak przedstawił je Orwell w „Folwarku zwierzęcym”, ale w starożytności owce symbolizowały czystość, łagodność i poświęcenie. To zwierzęta, które dawały nam z siebie wszystko: wełnę, skórę, mięso i jelita, nawet z baranich rogów robiliśmy kielichy. Te barany poświęcały się więc dla ludzi całe.

Autorom umyka, że opresyjny pasterz, który na ich okładce widnieje jako przestępca z czarną kreską na oczach, sam jest barankiem w tej świętej dla wielu ludzi księdze, którą interpretują w żenująco uproszczony sposób. Uznać biblijną owcę za symbol głupoty to jak uznać, że Feniks symbolizuje wypalenie zawodowe (bo się spala), a Białą Królik z „Alicji w krainie czarów” uosabia jurność (wiadomo, jak szybko się króliki rozmnażają). Słabe to, bez sensu i kontekstu, ale wśród elit popularne.

Tych samych, które słuchają nauczyciela i posła Marcina Józefiaka, gdy w „Dużym Formacie” mówi o swoim jednoczeniu się z energią świata, leczeniu za pomocą świecy w uchu i neopoganizmie. I zamiast wspomnieć coś o zakłęciach, ciemniejącej nad Polską chmurze irracjonalizmu czy o „utrudnianiu otwartości na wyzwania XXI wieku”, w komentarzach elita pisze: „cudownie zakrecony człowiek” i „to jest odświeżające!”. A na kpiny odpowiada: „Tak mu dopomóżcie boginie i bogowie”.

I tak tu się powoli żyje. Wykształceni znowu śmieją się z pobożnego ludu, myśląc, że ten da się upadlać, nie zmobilizuje się i nie wesprze jeszcze bardziej swoich PiS-owskich idoli. Mówicie: „Oni obrażają nas bardziej!”. Wiem, mnie też obrażają. Ale ani ja nie zgłosuję, ani wy nie zgłosujecie na dyktatora z powodu ich obelg. A oni z powodu waszych tak.

Autorytaryzm to problem psychologiczny i społeczny, nie prawny: rośnie na polaryzacji. Ufacie, że jak się wyżyjecie na elektoracie, a potem szybko wsadzicie do więzienia PiS-owskich polityków, to będzie spokój? Tak w 1998 r. myśleli przeciwnicy Erdogana w Turcji, gdy wsadzali go za kratki. A on wyszedł po trzech latach i wtedy już nie brał jeńców. Tak dzisiaj myśli elita USA: że jak rozliczy Trumpa, to koszmar nie powróci. A tu Trump właśnie wyprzedza Bidena w sondażach.

Ale przecież u nas na pewno będzie inaczej. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

In vitro kontra niepokalane poczęcie

Od połowy października, gdy zaglądam do prasy konfesyjnej, czuję się błogo.

Magdalena Czyż

o Facebooku krąży mem: w łóżku, między nogami półnagiej kobiety leży mężczyzna i zamiast robić to, co powinien robić w takiej sytuacji facet, gapi się w telewizor, na którym widać obrady Sejmu z marszałkiem Hołownią. Dziewczyna pyta: „Jak możesz to ciągle oglądać?”. A on odpowiada: „Kiciuś, ja na to osiem lat czekałem!”.

Od połowy października, gdy zaglądam do prasy konfesyjnej, czuję się dokładnie tak jak ten facet na rysunku.

Nie będę udawać, że nie jest mi miło albo wręcz błogo, gdy czytając artykuły ultrakonserwatywnych, katolickich dziennikarzy i publicystów, czuję w nich wyraźny zapach paniki.

Panika dotyczy, a jakże, aborcji i in vitro. Tego ostatniego wyjątkowo – w związku z uchwaleniem przez Sejm finansowania tej formy leczenia niepłodności przez państwo.

Tygodnik „Niedziela” nie pozostawia czytelnikom miejsca na własną refleksję nad tematem. „Zwolennicy in vitro nazywają je leczeniem bezpłodności, tylko że z leczeniem nie ma to nic wspólnego. Po tym ruchu widać także taktikę parlamentarnej większości, która takimi tematami będzie się starała przykryć brak realizacji przedwyborczych obietnic” – pisze Tomasz Musiał.

No i czy nie czyta się czegoś takiego z przyjemnością? Jakoś samoistnie uśmiech się na twarzy pojawia.

Dalej poszedł Jacek Wojtysiak z „Gościa Niedzielnego”: „(...) procedura ta rodzi szereg trudnych problemów i niebezpiecznych pokus. Można na przykład zapytać, jaki jest bytowy, moralny i prawny status zamrożonych zarodków, które niejako w pół-życiu czekają na swą szansę? Oczywiście, że nie wolno nimi handlować ani na nich eksperymentować. Trudno jednak wierzyć w to, że nikt na świecie nie ulegnie pokusie, by te zakazy złamać.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na jedną rzecz. Otóż teoretycznie jest możliwa sytuacja, w której – w wyniku rozwoju nauki i/lub dzięki wyjątkowej dbałości o przestrzeganie standardów etycznych – wyklucza się selekcję i zamrażanie embrionów. (...) Pamiętajmy jednak, że nawet w takiej sytuacji pozostają inne, wspomniane wyżej, moralne zastrzeżenia. Jak czytamy w Katechizmie Kościoła Katolickiego (nr 2377), zgoda na sztuczne zapłodnienie »oddaje życie i tożsamość embrionów w ręce lekarzy i biologów, wprowadza panowanie techniki nad pochodzeniem i przeznaczeniem osoby ludzkiej«. Znamienne, że krytyczna ocena procedury in vitro znajduje się w Katechizmie przy omawianiu szóstego, a nie piątego, przykazania. (...).”

Przypomnę, że szóste przykazanie brzmi: Nie cudzołóż.

I tu przypomina mi się inny krążący po Facebooku żart. To cytat, zdaje się, z Katechizmu właśnie, który, gdybym była złośliwa, zadedykowałabym obu ultrakonserwatywnym redaktorom. „Maria z Nazaretu została zapłodniona przez Ducha Świętego bez nasienia, następnie urodziła, zachowując nienaruszone dziewictwo”. „A oni ku...a mają problem z in vitro!” – dopisał konkluzję anonimowy autor.

Nie zamierzam się jednak wyzłościwiać ani cze-piać, że nie zarodek, tylko zygota itp., itd. Zamierzam jedynie zwrócić uwagę obu redaktorów na fakt, że według badań Ipsos z maja tego roku jedynie 52 proc. Polaków deklaruje wiarę w Boga opisanego w świętych tekstach. A to oznacza, że argumentacja, którą się posługują w swojej krucjacie antyinvitrowej, trafia jedynie do połowy obywateli. I to też wcale nie jest przesądzone. A co z drugą połową? ●

REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

CYFROWY SEX SHOP

Ciemna strona rewolucji AI: stworzą porno-
nagranie z dzieckiem, córką sąsiada i przemocą

Kasper Kalinowski

Pornografia zawsze była w forpoczczie zmian technologicznych, z ochotą wykorzystywała wszystkie nowinki.

Nie inaczej jest w przypadku generatywnej sztucznej inteligencji, która już jest zaprzęgana do tworzenia pornografii i całej gamy nadużyć związanych z seksem. Czy to dalej będzie nielegalne?

KONSUMPCJA KOBIET

Naukowcy z Wielkiej Brytanii i USA udowodnili, że wygenerowanym przez algorytm twarzom ufamy bardziej niż twarzom realnych osób. Gdy poproszono uczestników o ocenę tego, jak bardzo godne zaufania są prezentowane im twarze (w skali od 1 do 7), technologia deepfake wygrała ze zdjęciami realnych osób. Falszywe twarze zyskały zaufanie o prawie 8 proc. wyższe od tych prawdziwych.

Portrety tworzone przez AI są więc nie tylko niezwykle realistyczne. Trafniejszym określeniem wydaje się „hiperrealistyczne” – w przypadku zdjęć już przewyższając rzeczywistość, którą mają imitować. Jednym z nielicznych problemów wciąż są dłonie – AI nie jest do końca pewna, ile palców ma ludzka dłoń i jak powinny rosnąć paznokcie. Ale takie detale nie grają pierwszoplanowej roli w pornografii, a ta generowana przez AI może docierać do ogromnej liczby osób.

W końcu obecnie strony pornograficzne znajdują się wśród najczęściej odwiedzanych witryn na świecie, a oglądanie porno w internecie deklaruje 90 proc. zapytanych dorosłych (dominują mężczyźni).

Zdaniem ekspertów powody, dla których ludzie sięgają po pornografię, nie zmieniły się przez całą historię ludzkości, inne są tylko forma i sposoby dystrybucji. A największą zmianą ma być pornografia generowana przez sztuczną inteligencję.

Umieszczanie twarzy celebrytów i osób z życia publicznego w pornograficznych rysunkach i historiijkach nie jest niczym nowym. Już w XVIII w. we Francji Maria Antonina i Ludwik XVI byli przedstawiani w seksualnych kreskówkach. Wszystko zmienił internet – jak ujął to niemal dekadę temu amerykański pisarz i dziennikarz Michael Grothaus – „odkąd sięgam pamięcią, w internecie istniało duże zapotrzebowanie na ten szczególnie rodzaj pornografii, który polega na przyszywaniu głów celebrytów do ciał gwiazd porno”.

Według badania przeprowadzonego przez firmę Deeptrace Labs 96 proc. deepfake’owych filmów w internecie stanowi pornografia (bez zgody celebrytów). Początkowo toporne, stopniowo do-



FOT. GETTY IMAGES

skonalone, umożliwiają wkłucie twarzy dowolnej osoby do pornograficznego filmu i odwzorowanie jej mimiki na wzór mimiki aktorki.

Już w 2018 r. Travis Wagner i Ashley Blewer, eksperci z University of South Carolina, w artykule o wymownym tytule „Słowo prawdziwe nie jest już prawdziwe: Deepfaki, pleć i wyzwania związane z wideo zmienionym przez sztuczną inteligencję” podkreślali: „Jednym z niepokojących przykładów deepfake’ów jest nakładanie twarzy kobiet na filmy pornograficzne. Konsekwencją jest uprzedmiotowienie kobiecych ciał jako rzeczy do wizualnej konsumpcji, z ominięciem ich zgody”.

Od tego czasu pornograficzny deepfake może stworzyć każdy posiadacz smartfona.

PORNO-PANDORA

– Pornografię należy rozpatrywać w naszym kręgu kulturowym z per-

spektywy etyki jako zjawisko negatywne. U pojedynczych odbiorców pornografii próbuje stwarzać namiastkę poczucia bliskości, tworzy nierealny obraz ludzkiej intymności, prowadzi do uzależnień, co skutkuje dysfunkcją w budowaniu poprawnych relacji między partnerami, czy do dewiacji. Natomiast od strony produkcji (choć aktywiści seksworkerów próbują trochę ten negatywny obraz odczarować) branża pornograficzna jest naznaczona całą gamą negatywnych zjawisk, które nie występują lub są marginalne w innych branżach. Między innymi stręczycielstwo, szczególnie narażenie na choroby weneryczne, przemoc czy nierządzenie sobie ze skutkami pracy, co prowadzi do stanów depresyjnych, uzależnień, a często do samobójstw – podkreśla dr Artur Gunia, kognitywista, informatyk, filozof oraz adiunkt w Zakładzie Kognitywistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jego zdaniem termin „deepfake” nigdy nie był czymś niewin-

nym. Już sama nazwa tej technologii ma wydźwięk pejoratywny. Można to przetłumaczyć jako „głębokie sfingowanie”, „głębokie pozorantwo” czy wręcz „głębokie oszustwo”. Termin „deep” odnosi się co prawda do głębokich sieci neuronowych, jednak technologia deepfake od początku związana była z branżą pornograficzną.

Doktor Gunia podkreśla, że obecne generatory obrazów jak MidJourney, Stable Diffusion czy Dall-E na podstawie tekstu wygenerują nam praktycznie każdy, nawet bardzo surrealistyczny obraz. Pojawiały się więc obrazy z brutalnym zatrzymaniem Trumpa przez policję czy papięza Franciszka jako wokalisty punkrockowego. Systemy te mają blokady i nie generują pewnych treści, jak jawna przemoc czy właśnie pornografia. Jednak nic nie stoi na przeszkodzie, by zdjąć te blokady, i jeśli zagłębimy się w odmęty internetu, to

już dziś trafimy na pornogeneratory.

Doktor Gunia: – Myślę, że jeśli generatory stałyby się swobodnie dostępne, wiele osób, nawet sporadycznie oglądających pornografię, chciałoby wygenerować coś absurdalnego, obscenicznego, obraźliwego. Mogę wysnuć nawet hipotezę, że ludzie by się prześcigali w generowaniu coraz bardziej szokujących obrazów. Z punktu widzenia etycznego jest to niepokojące, byłaby to swoista puszka Pandory. Osoby, które nigdy nie miały do czynienia z zoofilią czy dziecięcą pornografią, mogłyby się pokusić o tworzenie takich treści, bo w końcu to niewinna zabawa. Niestety raz otwarta puszka będzie miała swoje długotrwałe konsekwencje, być może nie będzie to prowadzić do dewiacji seksualnych, ale to, co raz się zobaczy, nie da się już odzobaczyć, a to niestety pozostawia ślad na ludzkiej psychice, zwłaszcza osoby młodej.

Doktor Gunia: – Niby jako jednostki jesteśmy wolni, więc moglibyśmy tworzyć dowolne grafiki, jednak ta swoboda jest przede wszystkim zagrożeniem dla nas samych, co może prowadzić do zaburzeń preferencji seksualnych, balansowanie na granicy prawa w przypadku generowania treści zakazanych czy problemów z odróżnieniem wygenerowanej fikcji od realnych relacji intymnych ludzi, a przede wszystkim może to oddziaływać na nasze zdrowie psychiczne.

Z pewnością ważnym składnikiem puszek Pandory pozostaje to, że pornografia generowana przez sztuczną inteligencję może być wyjątkowo łatwo rozpowszechniana za pośrednictwem różnych platform. Trudno wyobrazić sobie jakiegokolwiek regulację, które mogłyby być egzekwowane w praktyce, i realną możliwość kontroli rozprzestrzeniania takich treści.

Rewolucji nie zatrzyma z pewnością to, że wspomniane już najpopularniejsze (i w zasadzie dopiero raczkujące) narzędzia do generowania obrazów uniemożliwiają tworzenie treści pornograficznych. Istnieją przecież narzędzia open source, w przypadku których na kod programu wpływ może mieć każdy. Tylko jedna internetowa społeczność na Discordzie o nazwie „Unstable Diffusion” dziennie generuje 500 tys. obrazów o treści pornograficznej. Została stworzona wyłącznie w celu szkolenia bardziej wyrafinowanych modeli sztucznej inteligencji do tworzenia pornografii. Serwer zrzesza setki tysięcy użytkowników, których zapalu nie zmniejsza to, że oficjalne serwisy crowdfundingowe uniemożliwiają im tworzenie zbiorów na dalszy rozwój technologii.

ZDECYDUJĄ SEKSPREFERENCJE

Czy po deepfake’ach dalszą częścią rewolucji będzie utrata znaczenia tradycyjnej pornografii? Czy ucierpią aktorzy i aktorki?

Profil 19-letniej Milli Sofii na popularnych platformach mediów społecznościowych (w tym również na popularnym serwisie dla dorosłych) śledzą tysiące osób. Nie przeszkadza im, że taka osoba nie istnieje. Jak możemy przeczytać na jej profilu na Instagramie: „Jestem 19-letnią dziewczyną-robotem mieszkającą w Helsinkach. Jestem wytworem sztucznej inteligencji”.

Jak wskazuje prof. Dariusz Jemielniak, badacz społeczny i profesor zarządzania Akademii Leona Koźmińskiego:

– W branży porno w krótkim okresie najbardziej zagrożone przez AI są aktorki i aktorzy – bo trzeba przyznać, że akurat nie o talent teatralny zazwyczaj chodzi w ich przypadku, więc tworzenie awatarów powinno być stosunkowo prostsze. W dłuższym okresie sama tradycyjna branża porno, przynajmniej w zakresie oferowania pornograficznych nagrań, będzie zagrożona. W końcu osoby płacące za dostęp do takich materiałów obecnie mogą masowo preferować awatary, które będą wykonywać dokładnie ich polecenia.

Zdaniem eksperta ciekawe będzie, w jaki sposób ustali się konsensus co do własności wizerunku – w końcu awatary będą powstawały także ludzaco podobne do zarówno znanych aktorów i aktorek branży porno, jak i w ogóle celebrytów i celebrytek.

Lista potencjalnych problemów jest oczywiście o wiele dłuższa. W zasadzie nikt nie jest w stanie podać wszystkich potencjalnych problemów. Jak dodaje prof. Jemielniak: – Nie jestem pewien, czy w chwili obecnej możemy przewidzieć, jakie regulacje będą potrzebne.

W czasach, gdy wydaje się w zasadzie pewne, że pornografia oparta na AI stanie się zjawiskiem powszechnym, nie zostały rozstrzygnięte nawet najbardziej podstawowe kwestie. Chociażby spór prawny o to, czy generowane przez AI obrazy stanowią kradzież. A kwestie etyczne jak revenge porn, czyli ujawnianie z zemsty intymnych zdjęć lub nagrań partnerki po zakończeniu związku, czy treści z udziałem dzieci są dyskutowane głównie w uniwersyteckich murach. AI, podobnie jak technologie wojskowe, to zbyt duże pieniądze, aby nie przejąć ich biznes.

Wątpliwości nie ma również dr hab. Aleksandra Przegalińska, profesorka Akademii Leona Koźmińskiego, badaczka sztucznej inteligencji: – AI faktycznie już teraz wprowadza znaczące zmiany w przemyśle porno, nie tylko przez generowanie wirtualnych modeli, ale także w zakresie personalizacji i optymalizacji treści. To dopiero początek. Można tu myśleć o tworzeniu bardziej zaawansowanych i realistycznych doświadczeń. Syntetyczne postaci, które są coraz trudniejsze do odróżnienia od prawdziwych ludzi, mogą przyciągać widzów szukających nowych, unikalnych doświadczeń.

Czy AI całkowicie wyprze ludzkich aktorów? Ekspertka twierdzi,

że kluczowe będą preferencje odbiorców. Chociaż niektórzy mogą woleć awatary, inni mogą nadal cenić autentyczność i unikalność ludzkich aktorów. Sporo zależy też od jakości generowanych treści i stopnia, w jakim będą one odpowiadać na ludzkie potrzeby i oczekiwania. Jak wskazuje Przegalińska, kierunek rozwoju branży będzie miał duży wpływ na to, jak AI zostanie w niej zintegrowane.

Możemy obserwować, jak firmy zaczynają eksperymentować z AI, aby tworzyć bardziej spersonalizowane i angażujące treści. To może obejmować wszystko, od hiperpersonalizacji, czyli filmów generowanych w ułamku sekundy, by całkowicie odzwierciedlać preferencje użytkownika, po tworzenie interaktywnych doświadczeń.

W kontekście dynamicznego rozwoju sztucznej inteligencji raczej nie przekonują argumenty Laury Lux – modelki popularnego serwisu dla dorosłych, którą na Instagramie śledzi ponad 2 mln osób. Jej zdaniem twierdzenie, że generowane przez sztuczną inteligencję produkcje zrujnują tradycyjną branżę porno, wynika z fundamentalnego niezrozumienia zagadnienia – według Lux użytkownicy chcą oglądać konkretnie ją i stworzyli z nią rodzaj paraspołecznej relacji.

FAŁSZYWA ZEMSTA

Jakakolwiek „relacja” łączy fanów z Laurą Lux, na pewno w ciągu najbliższych lat będzie możliwa do zastąpienia przez algorytmy.

Czy ludzka natura w połączeniu z powszechnie dostępną sztuczną inteligencją może oznaczać coś dobrego? Nie ma tu prostych odpowiedzi, ale jedna sama się narzuca. Profesor Jemielniak przypuszcza, że na znaczeniu straci revenge porn. – Zawsze będzie podejrzenie, że dane nagrania jest sfabrykowane – wyjaśnia prof. Jemielniak. – Możemy natomiast spodziewać się wysypu nagrań, które będą ludzaco podobne do danych osób. O ile w przypadku ochrony celebrytów być może obecne regulacje wystarczają, o tyle dla osób młodszych potrzebna będzie ostrzejsza regulacja – zwłaszcza nastolatki i młodzi dorośli mogą bardzo ciężko doświadczać tego typu prześladowań.

To oczywiście niejedyne zagrożenie. Doktor Przegalińska: – Musimy chronić prawa jednostek do ich wizerunku i zapobiegać nadużyciom, takim jak revenge porn albo stosowanie aplikacji takich jak Nudify (do wirtualnego rozbierania ludzi), które powinny być albo zakazane, albo przynajmniej dozwolone tylko na prywatny użytek bez możliwości udostępniania treści. Wymaga to zarówno podnoszenia świadomości społecznej, jak i odpowiednich ram prawnych.

Ram prawnych niestety wciąż brakuje. Jeśli już postanowilibyśmy dochodzić swoich praw w sądzie, nie będzie to łatwe. – Kilka lat temu, aby dokonać revenge porn, trzeba było posiadać intymne zdjęcia byłego partnera. Na nie często były partner się zgadzał, oczywiście ich publikowanie jest etycznie naganne, natomiast taka osoba musiała mieć świadomość, że zgoda na intymne zdjęcia może kiedyś obrócić się przeciw niej. W przypadku generowanego re-

venge porn sytuacja jest tym bardziej nieprzyjemna, bo znaleźliśmy się w sytuacji, w której nigdy nie byliśmy. Niestety tutaj pokrzywdzony będzie musiał udowodnić to, że stał się ofiarą wygenerowanego revenge porn, a więc dochodzić praw zgodnie z przepisami prawa autorskiego, wykazać, że obraz jest sfalszowany, co np. w przypadku zastosowania techniki deepfake będzie wymagało wskazania na oryginalny film z aktorami porno – wyjaśnia dr Artur Gunia.

CZY DZIECI SĄ BEZPIECZNE?

Pozornie sprawa jest prosta. Jeśli mamy na komputerze treści pornograficzne z udziałem dzieci, niezależnie od tego, czy wygenerowała je sztuczna inteligencja czy nie (regulacje prawne zawsze pozostają w tyle za nowymi technologiami), zostaniemy ukarani.

Pornograficzne zdjęcie znanej aktorki może stworzyć każdy posiadacz smartfona

Zgodnie z polskim prawem i art. 202., par. 4b kk: „Kto produkuje, rozpowszechnia, prezentuje, przechowuje lub posiada treści pornograficzne przedstawiające wytworzony albo przetworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

– Na posiadaczy tego typu nagrań, a zwłaszcza na osoby, które je szerzej prezentują, czeka odpowiedzialność karna – i nie ma tu znaczenia, że takie dziecko nie istnieje i zostało wygenerowane. Istotne jest, że treść jednoznacznie wskazuje na osobę małoletnią – nie ma wątpliwości dr Artur Gunia.

Zdaniem eksperta to stary dylemat filozoficzny. – Jeśli człowiek przeszkoli model na danych zawierających dziecięcą pornografię lub jeśli użytkownik z intencją wygeneruje takie filmy lub obrazy (sam model wcale nie musi być trenowany na dziecięcej pornografii), to takie zachowanie jest etycznie niedopuszczalne – wyjaśnia dr Gunia.

Współcześnie gdy generatywne modele sztucznej inteligencji mogą tworzyć fotorealistyczne, fałszywe obrazy, przedstawiające np. wykorzystanie seksualne dzieci, organy regulacyjne i obrońcy praw dzieci obawiają się, że praktyka wymknie się spod kontroli. Jak jednak zauważa na łamach magazynu „Wired” Danielle Bernstein, w obawach tych gubi się niewygodną możliwość – że generowane przez sztuczną inteligencję materiały przedstawiające seksualne wykorzystywanie dzieci mogą w dłuższej perspektywie przynieść społeczeństwu korzyści, zapewniając mniej szkodliwą alternatywę dla masowego rynku obrazów przedstawiających seksualne wykorzystywanie dzieci.

Budząca liczne kontrowersje teza Bernsteina (mimo że zgadza się z nią część seksuologów) długo nie wyjdzie poza akademickie debaty. Po pierwsze, nie każdy chciałby żyć w społeczeństwie, które zezwala na oglądanie treści pornograficznych z udziałem dzieci. Po drugie, z wiadomych względów nie dysponujemy odpowiednimi badaniami – nie możemy więc z całą pewnością stwierdzić, czy takie przyzwolenie zmniejszyłoby wykorzystanie dzieci w realnym świecie.

Tym pilniejsze wydają się konkretne rozwiązania, bo przecież rozwoju AI nie zatrzymamy, a jej możliwości każdego roku będą coraz większe.

A kto powinien ponosić odpowiedzialność za wytworzoną przez algorytmy pornografię dziecięcą? Twórcy oprogramowania? Poszczególni użytkownicy, którzy wygenerują takie filmy bądź obrazy? A może właściciel danych, na których szkoliły się modele sztucznej inteligencji?

Profesor Jemielniak: – Odpowiedzialność powinna być obecna na wszystkich etapach. Obawiam się jednak, że ta technologia błyskawicznie tanieje oraz jest rozpowszechniona – będziemy mieli do czynienia z amatorskimi produkcjami na dużą skalę. Zabezpieczenia silników AI powinny dotyczyć rezultatu, a nie danych, na jakich były trenowane – nas jako konsumentów nie obchodzi, co firma dała na wejściu, ważne jest, czego nie może wyprodukować na wyjściu. Tak już teraz się zresztą zabezpiecza lepiej lub gorzej silniki przed tworzeniem treści, np. z dezinformacją medyczną.

Zgadza się z nim dr Przegalińska: – Odpowiedzialność powinna być współdzielona między twórcami oprogramowania, którzy powinni zapewnić odpowiednie szkolenie AI, a także użytkownikami, którzy formułują prośby. Zdecydowanie potrzebujemy jasnych wytycznych dotyczących tego, na jakich danych AI może być szkolone, szczególnie w kontekście treści wrażliwych i potencjalnie szkodliwych.

Dzieci nie są oczywiście jedyne potencjalnymi ofiarami. Co zrobić w sytuacji, gdy AI tworzą porno z naszą nastoletnią córką? Z jednej strony wszyscy wiedzą, że to fałsz, ale ta świadomość w żaden sposób nie umniejsza jej cierpienia i strat moralnych. Co ma zrobić w takiej sytuacji poszkodowana dziewczyna?

– Zasadniczo nic nie powinna robić, natomiast system wsparcia dla tej dziewczyny powinien działać, i to szybko. Składać się na niego powinny wsparcie psychologiczne i psychiatryczne oraz wsparcie informatyczne, które dołoży starań, by publikacja zniknęła z sieci, i wyda certyfikat, że jest to treść fałszywa, do tego działania policji, aby uchwycić osoby publi-

kujące nielegalne treści pornograficzne, oraz sprawiedliwe i dotkliwe wyroki sądów dla sprawców, ale o takim scenariuszu na razie możemy jedynie pomarzyć – dodaje dr Artur Gunia.

Nie napawa też optymizmem, że sztuczna inteligencja bardzo często opiera się na aktywności użytkowników w internecie. Zdaniem części ekspertów może się to przyczynić do rozwiązań, które będą powielać ludzkie stereotypy.

W jednej z pierwszych prac, która kompleksowo analizowała powielanie stereotypów przez sztuczną inteligencję, eksperci kierowani przez Andrew Hundta z Georgia Institute of Technology przyglądali się temu, jak robot umieszczał w pudełku odpowiednie klocki, na których znajdowały się wizerunki ludzkich twarzy. W praktyce nie był w stanie działać bez uprzedzeń oraz często powielał niepokojące stereotypy.

Wybierał mężczyzn o 8 proc. częściej – białych i pochodzenia azjatyckiego, czarnoskóre kobiety były wybierane najrzadziej, a czarnoskórych mężczyzn wskazywał jako przestępców o 10 proc. częściej niż białych.

Konsekwencje trenowania na takich danych sztucznej inteligencji, która ma generować treści pornograficzne, oraz jej wpływ na dobrostan psychiczny młodszych użytkowników internetu wydają się oczywiste.

O niebezpieczeństwach związanych z tworzoną przez algorytmy pornografią dużo również mówią dane udostępniane przez Google’a. Analizując dane z wyszukiwarek, możemy dowiedzieć się rzeczy, o których niekoniecznie chcielibyśmy myśleć na co dzień.

Na przykład w Indiach najczęściej wyszukiwana fraza zaczynająca się od słów „Mój mąż chce...”, brzmi: „żebym karmiła go piersią”. Takie treści wizualne są tam wyszukiwane czterokrotnie częściej niż w pozostałych obszarach świata (podobnie jest w Bangladeszu).

To chyba jedna z takich rzeczy. Podobnie jak olbrzymi na Pornhubie odsetek zapytań o tematyce... kazirodczej. ●

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spożywamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na: **Wyborcza.pl/Jutronauci**

N A S Z A E U R O P A

Martín Caparrós:

PRZYSZŁOŚĆ BYŁA SZANSĄ, A STAŁA SIĘ ZAGROŻENIEM?

To normalne

– Świat nigdy nie był tak przyjazny pojedynczemu człowiekowi. Mamy narzędzia, by żyć jeszcze lepiej, ale nie używamy ich jak należy. Oczywiście to nasza wina i nasz wstyd. Ale nie da się zaprzeczyć, że żyjemy lepiej niż kiedykolwiek w naszej historii – przekonuje jeden z najsłynniejszych reporterów świata.

Cecilia Ballesteros

EL PAÍS

Pisarz, dziennikarz, autor słynnych reportaży (m.in. „Głodu”) Martín Caparrós jest tegorocznym laureatem nagród Ortega y Gasset i Prix Roger Callois za „Namerykę”. Ale już opublikował kolejną książkę: „El mundo entonces. Una historia del presente” (Random House) – rzecz równie interesującą, co niepokojącą, bo o naszej teraźniejszości opowiada z perspektywy XXII wieku.

„To rodzaj utopii à rebours, w tradycji Monteskiusza i Woltera, ale napisanej tak, jakby autorem był historyk z przyszłości”, tłumaczy Caparrós. I dodaje: „Pisze się literaturę, aby móc być kimś innym, niż się jest”.

Takie spojrzenie z oddali przyszłego stulecia na naszą obecną rzeczywistość, argumentuje Caparrós, to bardzo pożyteczne narzędzie, by właściwie oszacować skalę dramatów, których jesteśmy świadkami. To znaczy: bez lekceważenia ich dostrzec, że mimo wszystko z każdym problemem można jeszcze zawsze coś zrobić.

Powstał swoisty przewodnik po kierunkach przemian cywilizacji. Caparrós analizuje główne wątki naszej organizacji społecznej, gospodarczej i politycznej oraz trendy kulturowe. Ujmuje w swoim potoczystym stylu m.in. zjawiska demograficzne, zmiany w postrzeganiu miłości, modelu rodziny i sytuacji kobiet, nowe formy pracy, wpływ sztucznej inteligencji, potęgę korporacji cyfrowych, chińską ekspansję i dyskredytowanie liberalnej demokracji, zmiany w rolnictwie i kuchni, nowe sposoby prowadzenia wojny i ewolucję starych religii. Plus profile 25 emblematicznych postaci, które definiują nasze czasy, od Putina, Messiego czy Elizabeth Holmes po anonimowego mongolskiego pasterza czy bengalskiego robotnika.

...

Pana książka opisuje plagi nękające nasz świat: głód, nierówności, kryzys klimatyczny, wojny...

– Teraz jesteśmy oczywiście pod przemożnym wrażeniem okrucieństwa tych dwóch bardzo różnych wojen

– w Ukrainie oraz w Gazie – ale nie powinniśmy zapominać, że jeśli porównać je pod względem intensywności, liczby ofiar oraz liczby krajów zaangażowanych do wielu wojen toczonych jeszcze całkiem niedawno, w XX wieku, to okaże się, że mamy dziś do czynienia z konfliktami o znacznie mniejszej skali. Brzydko jest porównywać w tych kategoriach, ale w całej trwającej od dwóch miesięcy odsłonie konfliktu izraelsko-palestyńskiego zginęło kilkanaście tysięcy osób, czyli mniej niż każdego dnia w okopach Mariny. To jest zapewne wynik m.in. efektu Oppenheimera: świadomość możliwości użycia broni nuklearnej jednak ma siłę odstrasżającą i powstrzymuje konflikty globalne. Wbrew pozorom znajdujemy się dziś w jednym z najbardziej pokojowych okresów w historii cywilizacji.

Czy na pana ocenę konfliktu na Bliskim Wschodzie wpływa jakoś pańskie pochodzenie?

– Wedle praw judaistycznych jestem Żydem, ponieważ moja matka była Żydówką. Tylko że w mojej rodzinie nigdy nie praktykowaliśmy żadnej religii, mój ojciec pochodził z rodziny katolickiej, ale zawsze byliśmy idealnie ateistyczni – a jeśli już coś nas pociągało, to bardziej komunizm niż cokolwiek innego – jak na szanujących się Latynosów przystało...

Owszem, utożsamiam się z długą historią żydowskiego losu, który obejmuje także moich przodków zamordowanych w obozie zagłady

■
Spróbowałem spojrzeć na naszą obecną rzeczywistość z perspektywy XXII wieku, by właściwie oszacować skalę dramatów, których jesteśmy świadkami. To znaczy: bez lekceważenia ich dostrzec, że mimo wszystko z każdym problemem można jeszcze zawsze coś zrobić

NASZAEUROPA

w Treblince. Uważam jednak, że bycie Żydem nie ma nic wspólnego z byciem proizraelskim, nie mówiąc już o popieraniu skrajnie prawicowego rządu, takiego jak ten, który obecnie rządzi tym krajem. Uważam, że to straszne, co oni robią, tak jak uważam, że to straszne, że islamscy fundamentaliści zabijają ludzi. To jedna z tych wojen, w których – ze względu na narastające od pokoleń krzywdy i błędy – nie ma jednoznacznie dobrych po jednej ze stron. Konflikt palestyńsko-izraelski jest nierozwiązalny – dopóki oba narody, które chcą zajmować dokładnie to samo terytorium, wierzą, że ten drugi chce jego anihilacji.

Martwi pana wybór populisty Javiera Milei na prezydenta Argentyny?

– Nie wygrał z powodu tego, kim naprawdę jest. Wygrał, ponieważ był w stanie lepiej niż inni reprezentować gniew milionów Argentyńczyków na sytuację, która pogarsza się cały czas już od 30 lat. Ale to, że odpowiedź na argentyńską katastrofę stanowi teraz ten szaleniec biegający z piłą łańcuchową, jest więcej niż rozczarowujące.

Jednym z głównych tematów pana książki jest sztuczna inteligencja.

– Nie boję się sztucznej inteligencji. Chociaż dziś modne jest bać się wszystkiego.

Czy to nie jest cecha charakterystyczna współczesnego zachodniego społeczeństwa? Lęk przed utratą, nowością, zmianą?

– Strach przed przyszłością, przed degradacją środowiska, przed tumultem politycznym, przed zmianami w demografii, przed obcymi...

Spółeczeństwa mają od zawsze cyklicznie nawracające okresy, w których przyszłość przestaje być obietnicą, a staje się zagrożeniem. Do tej pory – w celu odsuwania kolejnego takiego egzystencjalnego kryzysu – ludzie długo polegali na ulepszeniach technicznych, ale teraz, z powodu sztucznej inteligencji, nawet technologia przeszła do kategorii zagrożeń.

Zwraca pan też uwagę, że media nie mają już monopolu na newsy.

– Dlatego nasza branża musi się skupić na lepszym opowiadaniu świata i głębszym myśleniu o nim, ponieważ są to dwie rzeczy, których media społecznościowe nie mogą dostarczyć ludziom, gdyż działają w modelu biznesowym, który nie jest do tego zaprojektowany ani tym zainteresowany. To prawda, że każde media przemawiają do własnych baniek, ale myślę, że przecież było to nawet bardziej groźne i przezroczyście 50 lat temu, kiedy każda rodzina w kraju kupowała te same dwie gazety. Teraz natomiast można porównywać i wybierać – i dziwi mnie, że nie znaleziono nadal sposobu na usystematyzowanie tego, czegoś w rodzaju medialnego Spotify.

Pana narrator, historyk z przyszłości, sytuuje koniec ery Zachodu i początek ery Wschodu dokładnie w naszych czasach.

– Przyszło mi do głowy, że historyk żyjący za 100 lat mógłby potrzebować nowego sposobu nazywania ostatnich trzech stuleci, i wydaje mi się jasne, że nie ucieknie od określenia ich epoką hegemonii okcydentalnej. Świat stał się w tym czasie swego rodzaju repliką Zachodu pod względem organizacji politycznej, kultury, technologii, planowania urbanistycznego. Nawet te kraje, które obecnie wschodzą, zyskują na znaczeniu i chcą realizować swoje ambicje, po raz pierwszy lub ponownie, jak Chiny czy Indie, również robią to na sposób zachodni.

W książce zauważam, że jedną z cezur, które można wykorzystać do datowania końca ery Zachodu, jest to, co stało się w ubiegłym roku: po raz pierwszy w historii PKB Chin – ogólne, nie na głowę mieszkańca – było wyższe niż amerykańskie. Chiny i Indie stanowią razem ponad jedną trzecią globalnej populacji i systematycznie wyprzedzają resztę świata.

Konkluzja pańskiego historyka z XXII w. nie jest pesymistyczna. Uważa, że świat jest wspaniały.

– Jestem pesymistą, gdy trzeba oceniać sprawy w bardzo krótkim okresie. Jestem wtedy hiperkrytyczny wobec świata i mogę skutecznie zdołować każdego. Ale już w perspektywie średnioterminowej jestem optymistą, bo wiem, że ludzkość ma się coraz lepiej, że świat nigdy nie był tak przyjazny pojedynczemu człowiekowi. Mamy narzędzia, by żyć jeszcze lepiej, ale nie używamy ich jak należy. Oczywiście to nasza wina i nasz wstyd. Ale nie da się zaprzeczyć, że żyjemy lepiej niż kiedykolwiek w naszej historii. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Wojna na Bliskim Wschodzie

Czy Izrael może przegrać?

Hamas zdaje się kierować logiką japońskich sztuk walki: stara się pokonać wroga jego własną siłą.

Robert Stefanicki

Po zakończeniu rozejmu 1 grudnia Izrael wznowił intensywne ataki nie tylko na północy, ale w całym pasie przybrzeżnym i na południu Strefy Gazy. Izraelscy urzędnicy nieoficjalnie przyznają, że armia spieszy się z operacją, zanim zamknie się „okno legitymizacji”. Wiedzą, że nie mogą w nieskończoność liczyć na międzynarodowe wsparcie dla kampanii wywołanej zamordowaniem przez Hamas 1,2 tys. Izraelczyków i uprowadzeniem około 250 podczas najazdu z 7 października.

Liczba ofiar śmiertelnych wśród Palestyńczyków przekroczyła liczbę ofiar izraelskich już 13-krotnie. Według władz w Gazie od początku izraelskiej ofensywy zginęło ponad 7 tys. dzieci i prawie 4 tys. kobiet. Dlatego poparcie dla działań Izraela szybko spada nie tylko na globalnym Południu, ale też na Zachodzie.

Wśród samych Palestyńczyków wyraźnie wzrosła nienawiść do Izraela, co źle wróży perspektywom trwałego pokoju. Wyniki listopadowego sondażu wskazują, że 75 proc. popiera październikową masakrę, a jeszcze więcej odrzuca współlistnienie z Izraelem. Co ciekawe, wyraźnie większe poparcie dla Hamasu deklarują mieszkańcy Zachodniego Brzegu (83 proc.) niż Strefy Gazy (63 proc.). Zwykle niechęć do wojny rośnie wraz z bliskością frontu.

Na pytanie, kto wyjdzie z konfrontacji zwycięsko, 72 proc. palestyńskich respondentów odpowiedziało, że Palestyna, a tylko 3 proc., że Izrael. Mrzonki? Zależy, jak definiować zwycięstwo.

Terroryści, aby wygrać, muszą tylko przetrwać

Militarnie Izrael ma miażdżącą przewagę. Hamas się trzyma, bo operuje na swoim terenie i dobrze się przygotował do wojny, budując labirynt tuneli i wpłacając w tankę miejską. Żeby zabić jednego hamasowca, Izrael musi poświęcić życie kilku, kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu cywilów palestyńskich. Gdyby nie to, że Hamas trzyma zakładników, ofiar pewnie byłoby jeszcze więcej.

Ale Izrael jest zdeterminowany, by zwyciężyć za wszelką cenę, włącznie z życiem porwanych. Ostatnio pojawił się pomysł zalania tuneli, gdzie najpewniej są przetrzymywani, wodą morską.

Izrael tłumaczy, że nie ma wyjścia. Że po masakrze, która przywołała straszne wspomnienia z Holocaustu, całkowite „wykorzenienie” Hamasu stało się nadrzędnym celem realizowanym nie tylko w interesie bezpieczeństwa narodowego, ale też w imię przetrwania narodu.

To złudzenie – w każdej sytuacji jest jakiś wybór. Jednak Hamas mógł być pewny takiej właśnie, brutalnej reakcji Izraela i prawdopodobnie na nią liczył. Nie tylko dlatego, że dziś rządzi tam skrajna prawica, ale dlatego, że w przeszłości Izrael tak właśnie reagował. Nieproporcjonalna odpowiedź na przemoc ma nawet swoją nazwę: doktryna Dahija – od nazwy dzielnicy w Bejrucie, którą Izrael zrównał z ziemią podczas wojny w 2006 r.

To „wydarzy się w każdej wiosce, z której ostrzelany zostanie Izrael” – ostrzegał w wywiadzie prasowym dowódca wówczas generał Gadi Eisenkot, będący dziś członkiem wąskiego gabinetu wojennego ustalającego strategię w Gazie. „Zastosujemy nieproporcjonalną siłę, spowodujemy ogromne szkody i zniszczenie. Z naszego punktu widzenia to nie są wioski cywilne, to bazy wojskowe”.

Armia izraelska zapewnia, że dokłada wszelkich starań, aby minimalizować szkody dla cywilów, a jednak w praktyce stosowana jest doktryna Dahija polegająca na tym, aby reagować nieproporcjonalnie, wręcz szaleńczo. Stąd decyzja o odcięciu Gazy od wody i paliwa do generatorów prądu, stąd burzenie budynków mieszkalnych, stąd słowa o „ludzkich zwierzętach” (minister obrony Jo’aw Galant), które trzeba „zetrzeć z powierzchni ziemi” (Beniamin Netanjahu), stąd sugestie skrajnie prawicowego ministra o możliwości zrzucenia na Gazę bomby atomowej.

Sławny minister obrony Mosze Dajan powiedział kiedyś, że „Izrael mu-



Beni Ganc, dziś w gabinecie wojennym, zapowiadał przywrócenie Gazy do „epoki kamienia łupanego” i starcie na proch całych dzielnic już podczas wojny z 2014 r., gdy był szefem sztabu armii. Ale Hamas przetrwał

si zachowywać się jak wściekły pies”. W tym duchu wypowiadali się wielokrotnie inni rządzący tym krajem. Podczas wojny z Libanem w 2006 r. premier Ehud Olmert powiedział, że Palestyńczycy muszą zrozumieć, że „pan domu oszalał” – i obiecał „operacje na wzór Jamesa Bonda”.

Lekcja z ostatnich 40 lat

Podczas operacji wojskowej w Gazie w latach 2008-09 ówczesna minister spraw zagranicznych Cipi Liwni stwierdziła, że Izrael „jest krajem, który, kiedy ktoś strzela do jego obywateli, reaguje szaleństwem – i to jest dobre”.

Czy na pewno? Beni Ganc, dziś również w gabinecie wojennym, zapowiadał przywrócenie Gazy do „epoki kamienia łupanego” i starcie na proch całych dzielnic już podczas wojny z 2014 r., gdy był szefem sztabu armii. Ale Hamas przetrwał.

Lekcja z ostatnich 40 lat jest taka, że każda próba zniszczenia organizacji palestyńskich powoduje skutki nieprzewidziane i gorsze od zamierzonych.

Przypomnijmy atak Izraela na Liban w 1982 r. Pretekst dała próba zabójstwa izraelskiego ambasadora w Londynie. Celem inwazji było zniszczenie „terrorystów”, ale przede wszystkim Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP) – która miała w Libanie 15 tys. uzbrojonych ludzi – oraz zabicie jej lidera Jasera Arafata. Również wtedy wrogowie Izraela celowo ukrywali się wśród ludności, zakładając bunkry pod blokami i rozmieszczając broń przeciwlotniczą obok szkół. I wtedy liczba ofiar cywilnych po-

wodowała międzynarodowe oburzenie. Punktem kulminacyjnym były masakry w obozach dla uchodźców Sabra i Szatila dokonane przez prawicowe libańskie bojówki chrześcijańskie sprzymierzone z Izraelczykami.

Oblężenie Bejrutu zakończyło się, gdy prezydent USA Ronald Reagan ostrzegł izraelskiego premiera Menachema Begina, że „holokaust” w stolicy Libanu może zagrozić stosunkom między ich krajami.

Obecnie wojnę z 1982 roku Izraelczycy postrzegają jako katastrofę i nie chcą o niej pamiętać. Była punktem zwrotnym w postrzeganiu państwa żydowskiego, które w oczach opinii międzynarodowej przemieniło się ze skrzywdzonego, bohaterskiego Dawida w brutalnego Goliata.

Wojna libańska podzieliła izraelskie społeczeństwo i wciągnęła kraj w wyniszczającą okupację. W reakcji na inwazję Syria i Iran stworzyły „oś oporu” i de facto przejęły na długie lata kontrolę nad Libanem. Wypędzenie stamtąd OWP – odtrąbione przez Izrael jako sukces – umożliwiło powstanie Hezbollahu, który jest obecnie uważany przez Izrael za znacznie groźniejszego wroga niż Hamas.

Pięć lat później z południowego Libanu wystartowały motolotnie zbrojne z aluminium prętów i płótna żaglowego, napędzane silnikami z kosiarzek, prowadzone przez terrorystów z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Przeprowadzili oni z zaskoczenia atak na izraelską bazę wojskową. „Noc szybowców” jest uważana za zapalnik pierwszej intifady, powstania palestyńskiego, które wybuchło w grudniu 1987 r.

Kiedy Izrael realizuje cele Hamasu

Tym razem na korzyść Izraela działa to, że żadne państwo nie wspiera zbrojnie Hamasu – inaczej niż było w Libanie, gdzie trzeba było walczyć z oddziałami syryjskimi.

Mimo to po dwóch miesiącach trudno powiedzieć, by Izrael jednoznacznie wygrywał. Tygodniowe zawieszenie broni też jest postrzegane jako sukces Hamasu, który zdołał doprowadzić do uwolnienia 250 palestyńskich więźniów, co przysdało mu popularności.

Już przed miesiącem Jon Alterman, dyrektor programu bliskowschodniego w waszyngtońskim Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, opublikował komentarz zatytułowany „Izrael może przegrać”. Píše tam, że celem Hamasu jest odseparowanie Izraela od jego partnerów międzynarodowych i uczynienie z niego pariasa. „Hamas nie musi być silny, aby zrealizować tę strategię, wystarczy, że będzie wytrwały. Nie stara się pokonać Izraela własną siłą, tylko siłą samego Izraela, która pozwala temu krajowi zabijać palestyńskich cywilów, niszczyć palestyńską infrastrukturę i przeciwstawiać się globalnym wezwaniom do powściągliwości. Wszystkie te rzeczy służą realizacji celów wojennych Hamasu”.

Alterman zauważa, że Hamas kieruje się logiką sztuk walki, takich jak dżudo, i stara się zamienić siłę swojego wroga w słabość. Jest gotowy przegrać bitwę, żeby wygrać wojnę. Jest gotowy na ofiary – zarówno we własnych szeregach, jak i przede wszystkim wśród cywilów – bo postrzega tę wojnę jako „wysilek pokoleniowy”, który ma „przynieść owoce” w przyszłości. ●

ULICA IM. ŚWIĘTEJ MATKI BOSKIEJ

Droga Giorgio, na co nam twoje pieprzenie o byciu matką i kobietą, jeśli nie chronisz nas przed gwałcicielami?

Mateusz Mazzini

FOT. LUCA BRUNO/AP



Dzisiaj w szkołach i na uczelniach zarządzo-
no minutę ciszy, żeby
uczcić pamięć Giulii.
Ale my nie chcemy ci-
szy. Musimy robić hałas,
koniec z milczeniem!
Niewysoka blondyn-
ka krzyczy do mikrofo-
nu, a po mowie ciała wi-
dać, że gniew rozsadza
ją od środka. Ubrana
w długi czarny płaszcz,
próbuję mobilizować
tłum coraz ostrzejszymi
hasłami, ale odpowia-
da jej najwyżej kilkadziesiąt okrzy-
ków i gwizdzący dla animuszu ko-
ledzy. Jest piątek, 24 listopada, wi-
gilia międzynarodowego dnia wal-
ki z przemocą wobec kobiet. O tej
porze roku Bari, 320-tysięczna
stolica Apulii, regionu na obca-
sie włoskiego buta, jest spokojnym
nadmorskim miastem, do które-
go turyści zaglądają co najwyżej
przez przypadek. Historyczne cen-
trum, w którym zebrały się młode
feministki, ma rytm życia przypo-
minający elektrokardiogram nie-
boszczyka, restauracje otwiera-
ją się na parę godzin wieczorem
– i też nie wszystkie. Dlatego wi-
dok kilkuset osób pod budynkiem
dawnego targu rybnego przyciąga
mniej więcej drugie tyle gapiów.

3

co dni

• we Włoszech zostaje
zamordowana kobieta

2

co

• dorosła Włoszka jest
aktywna zawodowo.
To najniższy wskaźnik
w całej Unii

49

proc.

• Włoszek pracuje
w niepełnym wymiarze
godzin. Włochów
– 26,2 proc.

20

tylko

proc

• stanowisk kierowniczych,
menedżerskich i w radach
nadzorczych zajmują kobiety

5

mniej niż

proc.

• ulic i placów we
Włoszech ma żeńską
patronkę, połowa z te-
go – Matkę Boską lub
którąś ze świętych

Na pierwszy rzut oka trudno o bardziej stereotypową włoską demonstrację. Ha-sła liderki niosą się z głośnika upchniętego w bagażniku czerwonego fiata 500 zaparkowanego na środku placu. Pierwszy okrag manifestantów to studenci w standardowej lewackiej estetyce – cali na czarno, częśc z arafatkami, oceanem naszywek na kurtkach – ale im dalej od epicentrum, tym bardziej mieszczański. Próbując przebrnąć przez tłum, odbijam się od grupek dziewczyn w pełnym makijażu, ubranych, jakby szły na elegancką imprezę, a nie na protest w zimowy wieczór. Zdjęcia robi im fotograf trzymający w ręku piwo, obok jakiś chłopak spokojnie przeżuwa pizzę, unosząc zaciśniętą pięść w geście solidarności.

Ostatni krąg to młodzi, co do których mam wątpliwości, czy przyszliz na demonstrację, czy po prostu włóczą się po centrum. Znudzona dziewczyna po kwadransie od rozpoczęcia zgromadzenia pyta znajomych, gdzie dzisiaj idą i czy ktoś mógłby wziąć jej aperola na wynos z pobliskiego baru. Wszystkiemu przygląda się symboliczna reprezentacja karabinierów, razem dziesięciu mundurowych, trzy radiowozy zaparkowane wzdłuż okolicznych budynków.

Alę choć w Bari jest spokojnie, Włochy, a przynajmniej ich żeńska część, kipi wściekłością. Zapalnikiem okazała się śmierć 22-letniej Giulli Cecchettin, studentki inżynierii biomedycznej z Uniwersytetu w Padwie, brutalnie zamordowanej przez byłego chłopaka Filippo Turettę. Para zniknęła 11 listopada, poszukiwania śledził na żywo cały kraj. Tydzień później ciało dziewczyny znaleziono w przydrożnym rowie w okolicach miasta Pordenone, za Wenecją, na trasie do Austrii. Filippo zadal jej ponad 20 ran klutych. Włoskie służby znalazły go w Niemczech, niedaleko Lipska. Nie wiadomo jeszcze, jaki grozi mu wyrok, bo adwokat rodziny wniósł o skierowanie na badanie psychiatryczne, sugerując w mediach, że chłopak może być niepoczytalny.

Giulia jest 106. tegoroczną ofiarą femicidio – morderstw kobiet, najczęściej na tle seksualnym i w kontekście relacji z mężczyznami. Według danych policji 55 z nich zginęło z ręki członka rodziny, byłego lub obecnego partnera.

Po śmierci dziewczyny ciężar reprezentowania rodziny w mediach wzięła na siebie jej siostra, Elena, i próbuje obalić narrację o sprawcy jako patologicznej jednostce. Powtarza w wywiadach, że Filippo nie jest chory, wręcz przeciwnie – nazywa go „zdrowym synem patriarchatu”, dając do zrozumienia, że przemoc wobec kobiet jest całkowicie znormalizowana wśród włoskich mężczyzn. Najszerzej komentowane były jednak jej pełne emocji słowa, kiedy, cytując peruwiańską poetkę Cristinę Torres Cáceres, powiedziała: „mamo, jeśli jutro nie wrócę do domu, jeśli jutro padnie na mnie i to ja będę następną, zniszcz wszystko”.

Trzy linijki wiersza błyskawicznie stały się sloganem włoskich demonstracji, które przeszły przez wszystkie duże miasta. Tu, w Bari, na kartonach towarzyszą im inne gniewne hasła. „On był Waszym »dobrym chłopcem«”, „Tak się kończy patriarchat”, „Nigdy nie będziesz szła sama”, „Twój pierwszy dom był kobietą, szanuj je”. Stojąca obok mnie dziewczyna trzyma napis „Włoscy faceci to gówna”, a blondynka z mikrofonem wykrzykuje, że „choć nie każdy mężczyzna jest przemocowcem, każdy może się nim stać”. Obrywa się też premier Giorgii Meloni, pierwszej w historii Włoch kobiecie na czele rządu, która jednak robi wszystko, by nie identyfikowano jej z nawet najdelikatniejszą wersją feminizmu. To właściwie jedyny moment, kiedy demonstranci się ozywają – blondynka staje obok fiata 500 i wykrzykuje pod adresem szefowej rządu: „Droga Giorgio, w kampanii przedstawiałaś się jako kobieta i matka, dopiero potem polityczka! Na co nam teraz to pieprzenie o kobiecości, skoro nie robisz nic, żeby chronić nas przed gwałcicielami?”.

Mimo to zapal tłumy gaśnie po trzech kwadransach, młodzi się rozchodzą, za-

siedlają sąsiednie bary. Zostaje kilkanaście osób, które pomagają zwijać nagłośnienie, i ziewający carabinieri. Oraz kilka kartonów wzywających, żeby zniszczyć wszystko, jeśli „coś mi się stanie”.

– Zniszczyć wszystko? Świetny slogan, szkoda tylko, że nikt nie bierze go na poważnie – mówi mi Francesca, 21-letnia studentka dokumentalistyki z Sardynii. Była na demonstracji upamiętniającej Giulie w Rzymie 25 listopada. Ulicami stolicy przeszło pół miliona osób. W internecie zaroilo się wtedy od komentarzy, że może tak wielka mobilizacja wybudzi z letargu ruch feministyczny w Italii, który do tej pory nie miał większych sukcesów w walce o prawa kobiet.

Francesca nie podziela tego optymizmu. – Dla mnie ta demonstracja była żalosna. Jedyne, co w niej było dobre-go, to liczby, fajnie, że przyszło pół miliona osób. Ale to, co tam zobaczyłam, autentycznie mnie obrzydziło. Tysiące osób zachowywały się, jakby nie wiedziały, po co tam są. Niosły transparenty, których znaczenia nie rozumieją, ale które będą dobrze wyglądać na Instagramie. Strasznie to denerwujące – patrzeć, jak ludzie robią sobie selfie, a nie chce im się wykrzyzczyć paru hasel w godzinę. Przepraszam za język, ale naprawdę czułam się, jakby mnie tam ktoś robił w chuja.

Rzyską manifestację porównuje do ubiegłorocznych paryskich demonstracji przeciwko reformie emerytalnej Macrona – w stolicy Francji spędziła sześć miesięcy na wymianie uniwersyteckiej.

– Kiedy Francuzi wychodzą na ulicę, Paryż staje w płomieniach. A u nas nic. Jakbyśmy nie chciały walczyć o swoje prawa. Przecież siostra Giulli powiedziała wyraźnie: zniszczcie wszystko. Powinniśmy naprawdę niszczyć, powinniśmy być wkurwione. A jesteśmy dalej ciche i spokojne, tak jak każde patriarchat.

W półmilionowym tłumie była też Victoria, 21-letnia studentka nauk o rozwoju z Rzymu. Jej feminizm jest znacznie mniej radykalny od Franceski, ale winnych złej sytuacji kobiet szuka w wielu kręgach, również w mediach.

– Kiedy tylko znaleźli jej ciało, a potem okazało się, że zabił ją były chłopak, w telewizji natychmiast zaczęli go usprawiedliwiać. Mówili, że był dobrym chłopakiem, że świetnie się uczył, nie sprawiał problemów, na pewno musiało mu coś uderzyć do głowy. Typowe, we Włoszech zawsze tak jest. Zobacz, niedługo zacznie się proces o gwałt, w którym oskarżony jest Leonardo La Russa, syn przewodniczącego Senatu. Zabrał do domu nieprzytomną dziewczynę, uprawiał z nią seks, ona się nigdy na to nie zgodziła – a jego ojciec chodzi do mediów i opowiada, że to jej wina, bo rzekomo brała kokainę. Tak samo było latem, kiedy głośno było o gwałcie w Palermo. Siedmiu chłopaków zgwałciło 19-latkę, a prezenterzy w telewizji wszyscy mówili, że sama się o to prosiła, bo się upiła – a pijane dziewczyny nie powinny same lazić po nocy.

Jednym z dziennikarzy, o których wspomina Victoria, był Andrea Giambruno, był już partner Meloni, gwiazdor założonego przez Berlusconięgo koncernu medialnego Mediaset. 42-latek, który z panią premier ma córkę, znalazł się w centrum seksistowskiego skandalu po tym, jak ujawniono nagrania, w których obiecuje pracę i awanse za udział w seksie grupowym. Słowa dziennikarza nie pozostawiają miejsca na interpretację: „Kiedy ja cię widziałem? Czy byłem już wtedy narąbany? Chodź, jesteś ładna, szukamy kogoś do trójkąta” – to tylko niektóre z tekstów rzucanych do koleżanek z pracy. Padaly oferty uczestnictwa w seksie grupowym, obietnice przesunięcia na antenę za seks, opowieści o „specjalnej grupie roboczej, do której dostać się można, tylko zdając egzamin”, co było eufemizmem maskującym awans przez łóżko.

Mediaset nie zwolnił go z pracy, przesunął tylko na stanowisko producenta. Meloni ograniczyła się do opublikowania oświadczenia, w którym poinformowała o zakończeniu relacji. Oskarżeń pod adresem by-

łego partnera nie skomentowała. Za dyplomatyczną postawę oberwała jednak z obu stron. Lewica i feministki zarzuciły jej, że nie ma odwagi potępić molestowania seksualnego w miejscu pracy, a prawica wyśmiewała za pruderię i atak na męskość, podkreślając, że Giambruno robił to, co robią wszyscy – po prostu flirtował.

Według danych FNSI, włoskiej federacji dziennikarskiej, 85 proc. pracujących w mediach kobiet doświadczyło przynajmniej raz molestowania. Włoska prawica ma rację: Giambruno rzeczywiście robił to, co wszyscy.

Problem dyskryminacji kobiet nie ogranicza się jednak tylko do mediów, bo w który zakątek statystyk nie spojrzeć, Włochy wypadają słabo, źle albo katastrofalnie. Co trzy dni ginie tam kobieta zaatakowana tylko dlatego, że jest kobietą. Tylko co druga dorosła Włoszka jest aktywna zawodowo, co jest najniższym wskaźnikiem w całej Unii Europejskiej. Średnia we Wspólnocie wynosi 62,7 proc., w krajach skandynawskich przekracza 80 proc. Prawie połowa (49 proc.) kobiet pracuje w niepełnym wymiarze godzin, gdy wśród mężczyzn odsetek wynosi 26,2 proc. Mniej niż jedna czwarta kadry naukowej w szkolnictwie wyższym to kobiety, w radach nadzorczych i na stanowiskach kierowniczych stanowią 20 proc. Najwięcej o stosunku Włochów do kobiet mówi jednak przytoczona przez „New York Times” statystyka nazw ulic, placów i innych miejsc publicznych. Prawie wszystkie upamiętniają mężczyzn, mniej niż 5 proc. ma żeńską patronkę, z czego połowa – Matkę Boską lub jedną ze świętych.

– Ja nie rozumiem, jak ona mogła milczeć. Przecież to jest molestowanie, z kilometra widać, za to powinny być zarzuty kryminalne. Nikt tego głośno nie mówi, bo jest konsensus, żeby szanować prywatność Meloni, a to powinien być temat do debaty w mediach. Musimy zmienić naszą kulturę, a jak mamy to zrobić, jeśli nawet szefowa rządu nie umie nazwać rzeczy po imieniu? – pyta Victoria.

– We Włoszech nadal mamy problem z feminizmem – tłumaczy mi Susy, 21-letnia studentka psychologii, która obroniła licencjat z tego, jak kobiety funkcjonują na rynku pracy. – Kiedy ktoś publicznie definiuje się jako feministka, większość ludzi wpada w konsternację. Ale to dotyczy wszystkich, co ma związek z kobietami. Filippo, chłopak który zamordował Giulie, był podobno bardzo zdolny i ambitny, ale ona radziła sobie jeszcze lepiej. Jej rodzina opowiadała, że nie był w stanie zaakceptować ambicji i talentu swojej byleję, wściekał się. Tak jest w całym społeczeństwie. Kościół i tradycyonalisci wmówili nam, że mamy być posłuszne. Zaczyna się w domu, potem to samo dzieje się w szkole, a na końcu, przez osmozę, przechodzi do pracy. Włoszki dalej są często przekonane, że mogą robić tylko rzeczy związane z kompetencjami miękkimi; że bardziej nadają się do call center niż do zarządzania zespołem.

Żadna z moich rozmówczyń nie czuje się reprezentowana przez Meloni. Wszystkie oskarżają ją o cynizm i hipokryzję, przypominając ubiegłoroczne slogany kampanijne. Zanim wygrała wybory w 2022 r., na każdym kroku przedstawiała się jako „kobieta, matka, chrześcijanka”, ale w ciągu 12 miesięcy u władzy dla kobiet nie zrobiła wiele.

Francesca: Kiedy się rozstała z Giambruno, zaśmiałam się na głos. Tyle gadała o znaczeniu tradycyjnej rodziny, tłumaczyła, że dzieci tracą, jak rodzice nie są razem, a teraz co – sama będzie wychowywać córkę w pękniętej rodzinie, ładny mi hold dla tradycji. Czy ona mnie chroni? Ja się nigdy nie czułam bardziej zagrożona niż teraz, z nią na czele rządu.

Victoria: Po co ona podkreślała, że jest chrześcijanką? To jest jakiś walor, szczególna kompetencja? Przecież my jesteśmy laickim państwem, co to miało w ogóle oznaczać? Zresztą zobacz, ona jak tylko została zaprzysiężona, poprosiła, żeby nazywać ją premierem, a nie premierką. To mówi samo za siebie.

Susy: Meloni jest przeciwieństwem feminizmu. Weszła w koalicję z politykami, którzy są prolajferami, sprzeciwiają się równości płci. Naprawdę dużo było obaw, że zabierze się za prawo aborcyjne, ograniczy dostęp.

Po śmierci Giulli Cecchettin Włochy przez chwilę przeżywają moment rewolucyjny. W barach, na ulicach, w telewizji nie mówi się o niczym innym, tylko o przemocy wobec kobiet. Na temat rzucają się media. „La Repubblica” wydanie z 25 listopada okrasza okładkową grafiką, na której za stojącą na pierwszym planie kobietą widać cień mężczyzny próbującego ją uciszyć, ale ona chwytą go mocno za nadgarstek, broniąc się – obok wielki napis „Kobiety. Prawa. Wolność”. „Corriere della Sera” przypomina historię 17-letniej Franki Violi, która w 1965 r. została pobita i zgwałcona przez narzeczonego. Chciał skorzystać z matrimonio riparatore, małżeństwa „naprawczego” za zgodą rodziny, żeby uniknąć odpowiedzialności karnej – Franca odmówiła, złożyła na niego skargę na policji i doprowadziła do skazania na 11 lat pozbawienia wolności, stała się symbolem walki Włoszek o prawa wewnątrz ich związków. Każda gazeta, każdy tygodnik, program telewizyjny pełne były hasel o tym, że społeczeństwo potrzebuje natychmiastowej terapii, bo seksizm jest tu głębszy, niż komukolwiek się wydawało.

Tylko czy na pewno?

Francesca: Kiedyś to lekceważyłam, w ogóle nie zwracałam uwagi na zaczepki. Dopiero kiedy dojrzałam, zauważyłam, że prawie codziennie ktoś na mnie patrzy, idzie za mną, komentuje mój ubiór, gwizdże na ulicy. My to wszystko zawsze normalizowaliśmy.

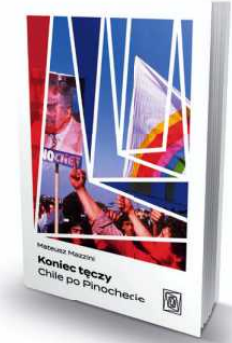
Victoria: Mam nadzieję, że coś się zmieni, ale nie w polityce – tylko w sumieniach, zwłaszcza u mężczyzn. Teraz dużo się mówi o przemocy wobec kobiet, ale fajnie by było, gdybyśmy się skupili na prewencji, a nie tylko reagowali na tragedie. Zróbmy porządną edukację seksualną w szkołach, a nie tak, jak chce Meloni: 12 godzin na rok, przecież to niczego nie zmieni.

Francesca: Moje doświadczenie ze szkoły było okropne, miałam nauczycieli, którzy powielali stereotypy płciowe. Nigdy nie rozmawiali o uczuciach, o tym, co sprawia, że jesteś dobrym człowiekiem. Najważniejsze były stopnie, a potem dyplom. Jak traktujesz innych – to zawsze była sprawa drugorzędna. A przecież dyplom ukończenia studiów nie uprawnia cię do gwałcenia kobiet.

Susy: Włoski feminizm popełnił wiele błędów. Nigdy się nie zakorzenił, feministki nie były aktywne w polityce. Tak, ciężą nam lata zaniechań, patriarchalnej kultury, religii – ale też słabości naszych własnych ruchów. Trzeba zacząć angażować mężczyzn, oni też padają ofiarami stereotypów płciowych. Nie mogą płakać, nie mogą być słabi, muszą dominować, bo nie będą uznani za prawdziwych mężczyzn. Seksizm ewoluuje, może stał się bardziej subtelny, forma jest inna, a treść ta sama. ●

współpraca: Julia Zawal

„Kraj piękny. Reportaże z przeszłości i przyszłości Włoch” – nowa książka Mateusza Mazziniego ukaże się w czerwcu 2024 r. w Szczelinach, imprintsie wydawnictwa Otwartego. A poprzednia – reportersko-analityczna opowieść „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” – już w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl



Nagły atak klaksonem

Największe zagrożenie na drogach stwarzają mężczyźni w szczycie zawodowej aktywności, a wspierają ich obrońcy prędkości, także publicyści

Bartosz Józefiak

„Ja po prostu przekroczyłem prędkość. Na tej ulicy wszyscy jeżdżą szybciej. Nie widziałem osoby, która by tam jechała pięćdziesiątką” – opowiadał mi Marek, 22-latek z Białegostoku, który na pasach śmiertelnie potracił emerytkę. Jego licznik pokazywał 90 km/h.

Przypomniał mi się ten cytat, gdy czytałem tekst Tomasza Bodyła. Obrońcy prędkości znajdują sto powodów, dla których dochodzi do wypadków – a bo znaki były złe, droga nie taka, piesi wbiegają, a w ogóle to co za debil te ograniczenia prędkości stawia. Wszystko jest winne, tylko nie oni – drogowi piraci, którzy przekraczają prędkość.

KTO POWODUJE WYPADKI?

Nasłuchałem się podobnych argumentów, pracując nad książką „Wszyscy tak jeżdżą”. Rozmawiałem ze sprawcami śmiertelnych wypadków: młodym chłopakiem, wziętym prawnikiem, emerytem. Różniło ich wiele, łączyło jedno: poczucie krzywdy. Świat uwziął się na nich, by pociągnąć do odpowiedzialności. Cemu ich, przecież „wszyscy tak jeżdżą”?

Tomasz Bodyl zarzuca mi, że buduję stereotypowy obraz polskiego kierowcy: „mężczyzny, młodego lub

śródm wszystkich grup wiekowych. Tuż za nimi plasują się kierowcy w wieku 25-39 lat. Psychologowie transportu opowiadali mi, kto najczęściej trafia do ich gabinetów: mężczyźni w wieku 25-40 lat, w szczycie aktywności zawodowej. Podobne obserwacje mieli policjanci. To nie stereotypy, tylko fakty.

Najmłodszy kierowcy pędzą, bo chcą zaimponować rówieśnikom, poprawić samoocenę, poczuć zastrzyk adrenaliny. Bodyl twierdzi, że młodzi fani beemek wypaczają prawdziwy obraz polskiego kierowcy. W dodatku to „margines marginesu”. Wielbiciele ulicznych wyścigów „w biały dzień powszedni – czyli w gęstym ruchu, pośród pieszych, gdy ryzyko wypadku jest największe – jeżdżą grzeczniej i przewidywalniej”. Najwyraźniej w takich wyścigach nie uczestniczył i nie zna chłopaków z tego środowiska. Ja – owszem. Zapewniam, że ci ludzie także poza nocnymi rajdami jeżdżą bardzo niebezpiecznie, bo na tym właśnie polega zabawa.

Zgadza się z Bodyłem w jednym: uliczne wyścigi to skrajność. Zrazem jest to jednak emanacja szerszego trendu: kultury zapier..., usprawiedliwiania prędkości na drogach.

Kierowcy w średnim wieku pędzą z innych powodów. Czasami chcą odreagować stres, zazwyczaj spieszą się do lub z pracy. Pędzą na weekend do domu. Gonią do klienta. Wielu z nich to menedżerowie albo przedstawiciele handlowi. Ludzie sukcesu nauczeni, że w życiu zwycięża ten, kto rozpycha się lokciami. Także na drodze.

Wbrew temu, co sugeruje Bodyl, wcale nie uważam, że wszyscy polscy kierowcy jeżdżą tak samo. Uważam jednak, że większość z nas dostosowuje się do drogowych piratów. Szybszą jazdę podpowiada nam instynkt przetrwania. W Polsce podróż z siedemdziesiątką na liczniku w terenie zabudowanym to konieczność, jeśli nie chcemy narażać się na atak klaksonem lub agresywne wyprzedzanie.

PRĘDKOŚĆ JEST JAK COVID-19

Bodyl z uporem godnym lepszej sprawy próbuje udowodnić, że prędkość nie stanowi problemu na drogach. To tylko złi publicyści uwzieli się na kierowców!

No to spójrzmy w policyjne statystyki. Faktycznie prędkość nie jest główną przyczyną wypadków. Jest druga, odpowiada za 4400 wypadków rocznie. Na pierwszym miejscu jest „nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu” – 4500. Na trzecim: „nieustąpienie pierwszeństwa pieszemu na pasach” – 2250 zdarzeń, czyli również prędkość. Kierowca jadący zgodnie z przepisami prawie zawsze zdążyłby zahamować przed pieszym.

Zajrzyjmy na listę wypadków śmiertelnych. Tutaj prędkość zajmuje już pierwsze miejsce, odpowiadała w zeszłym roku za 626 ofiar.

Mało? W Danii zmniejszenie prędkości w miastach z 60 do 50 km/h spowodowało zmniejszenie liczby zabitych o 24 proc. W Szwajcarii podobnie. We Francji liczba zabitych spadła o 27, a na Węgrzech o 18 proc. Zmniejszenie średniej prędkości tyl-

ko o 10 proc. zmniejsza liczbę ciężkich wypadków prawie o jedną trzecią.

Bodyl zarzuca mi, że „Wszyscy tak jeżdżą” to zbiór „anegdot, stereotypów oraz retoryki”. Proponuję, żeby wnikliwiej przeczytał bibliografię oraz przypisy. Znajdzie tam masę dowodów na to, jak śmiertelne żniwo na drogach zbiera szybka jazda.

Broniąc prędkości, Bodyl podaje przykład Niemiec, kraju rzekomo wolnego od ograniczeń prędkości. To kłamstwo, bo ograniczeń nie ma tylko część autostrad, a nie wszystkie drogi. Niemcy chyba jednak przejmują się szybkością, skoro ich dróg pilnuje (proporcjonalnie do wielkości kraju) sześciokrotnie więcej fotoradarów niż w Polsce.

Twierdzenie, że prędkość nie jest główną przyczyną wypadków, to jak opowiadanie, że globalne ocieplenie nie istnieje albo że szczepionki nie chronią przed COVID-19. Z faktami ma to niewiele wspólnego, ale za to brzmi super. Taki punkt widzenia ma niestety w Polsce wielu sympatyków. Mnie także zdarzyło się jechać prawie stową w zabudowanym, do czego przyznaję się na początku książki. Różnica między nami jest taka, że takiej jazdy nie usprawiedliwiam.

Wielu sprawców śmiertelnych wypadków to ludzie sukcesu nauczeni, że w życiu trzeba się rozpychać

DO CZEGO SŁUŻY FOTORADAR?

Bodyl ma jeszcze w jednym rację: przyczyny wypadków są złożone. Wcale nie uważam, że polscy kierowcy są gorsi od Niemców, Francuzów czy Szwajcarów. Żyją po prostu w gorszym państwie. Słusznie Bodyl pisze więc o kafeonii znaków, która atakuje polskiego szofera. Ma rację, wskazując na błędy w systemie szkolenia. Bardzo dobrze, że piętnuje zarządców dróg, którzy nie dbają o jezdnię. Żadna z tych przyczyn nie zdejmuje jednak osobistej odpowiedzialności z każdego kierowcy. Wreszcie: po stokroć się zgadzam, gdy pisze o drogowej infrastrukturze, która nijak nie przypomina tej na Zachodzie. Różnimy się jednak fundamentalnie, bo według niego dobre drogi to te, które pozwalają kierowcy bezkarnie się rozpędzić. Jest dokładnie odwrotnie: jezdnie w miastach powinny zmuszać kierowców do powolnej jazdy.

Bodyl w tekście przypomina swoją podróż obwodnicą Lublina, kiedy to znacznie przekroczył dopuszczalną prędkość. Ma rację, gdy krytykuje urzędników, którzy na wielopasmowej drodze ustawiają ograniczenie do 50. Albo zarządcy drogi powinni pozwolić kierowcom rozpędzać się na obwodnicy Lublina, albo powinni tak przebudować drogę, żeby szoferzy nie mogli tego robić. Samo stawianie ograniczeń jest bez sensu.

Eksperci udowodnili, że kierowcy na całym świecie nie jeżdżą z prędko-

ścią, jaką wyznaczają znaki. Jeżdżą tak szybko, jak pozwala im droga. Budując szerokie miejskie arterie, inżynierowie ruchu wysyłają kierowcom sygnał: jest bezpiecznie, możesz cisnąć, gaz do dechy! W efekcie kierowcy zabijają czterokrotnie więcej pieszych na szerokich podmiejskich trasach niż na wąskich uliczkach w centrum.

„Wciskamy pedał, gdy teren zabudowany staje się dwupasmówką z szerokim poboczem i rowem melioracyjnym oddzielającym jezdnię od szeregu hurtowni” – pisze Bodyl i ma rację. Chodzi właśnie o to, by na drodze z ograniczeniem do 50 żaden kierowca nie był w stanie pojechać szybciej. Osiągnąć to można bardzo łatwo: zwiększając jezdnię, wynosząc skrzyżowania i przejścia dla pieszych, budując szerokie chodniki. W ten sposób wysyłamy do mózgu kierowcy sygnał przeciwny: „zwolnij, tu się nie rozpędzisz”. Tak właśnie wygląda ta wymarzona przez Tomasza zachodnia infrastruktura.

Pomogą nam też fotoradary, których mamy w Polsce dramatycznie mało w porównaniu z zachodem i północą kontynentu.

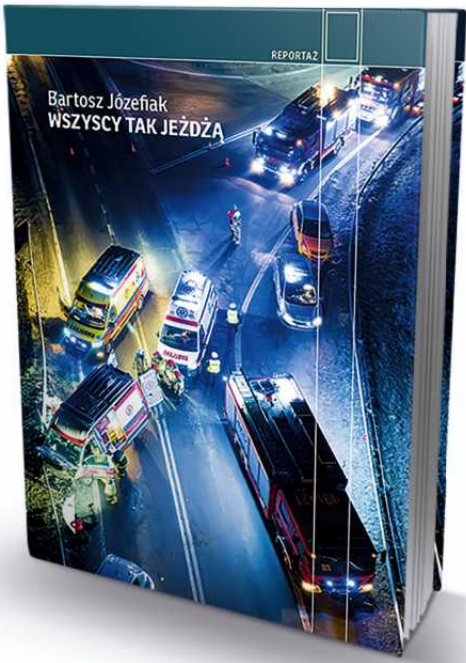
Widziałem to na własne oczy, gdy mieszkalem w Finlandii, gdzie fotoradary na wiejskich drogach ustawiane są co kilka kilometrów. Nawet gdyby kierowca chciał się rozpędzić, to nie da rady, bo za chwilę znów będzie musiał zwalniać. O to właśnie chodzi, ale fotoradar i odcinkowy pomiar prędkości nie mają być maszynkami do nabijania urzędniczej kasy. Mają zmusić kierowcę do wolniejszej jazdy. Nawet jeśli urządzenie przez cały rok nie błysnie ani razu, i tak spełni swoją funkcję.

Kierowców przerażonych wizją ślimaczego tempa uspokajam: od szybkości jazdy ważniejsza jest jej płynność. Co z tego, że rozpędzimy się do stowy, jeśli za chwilę będziemy hamować przed światłami? W sprawnym dotarciu do celu pomogą nam rozbudowane skrzyżowania, dobrze ustawiona sygnalizacja, a przede wszystkim sprawny transport publiczny. Dzięki niemu więcej osób wybierze tramwaj i autobus. Zmniejszą się korki, na czym skorzystają wszyscy. Także ci, którzy chcą lub muszą dojeżdżać samochodem.

Wszyscy chcielibyśmy podróżować szybko i bezpiecznie. Ja także, bo jestem kierowcą, który rocznie pokonuje 30 tys. km. Wiem jednak, że to niemożliwe. To, co musimy zrobić, to zostawić za sobą mental obrońców prędkości.

Wystarczy, że wszyscy pojedziemy troszkę wolniej, a ocalimy setki osób rocznie. ●

Książka Bartosza Józefiaka **„Wszyscy tak jeżdżą”** ukazała się nakładem wydawnictwa Czarne



w średnim wieku, o maczystowskich zapędach, który podrasowanym lub prestiżowym samochodem zapier... dla przyjemności”. Do tego obrazu według Bodyła nie pasują 70-letni kierowca volvo, starsza pani, nauczyciel, student. A przecież także im zdarza się łamać przepisy.

Oczywiście, że polscy kierowcy są różni, a każdy może być sprawcą wypadku. Tylko jakoś tak się składa, że za 73 proc. wypadków odpowiadają mężczyźni. Szoferzy w wieku 18-24 lata są sprawcami ponad 15 proc. wypadków, i jest to najgorszy wynik spo-

Belfer

Marszałek Terlecki szacunek rozumiał w dość oryginalny sposób.

Michał Rusinek



Oglądalność obrad nowego Sejmu bije rekordy. Marszałkowi Szymonowi Hołowni zarzuca się, że przenosi przyzwyczajenia telewizyjne do parlamentu, a nawet nazywa się go zjadliwie Szymonem Szolownią. Ale nie ma się co dziwić: wszelkie objawy normalności i przejawy językowej kultury ze strony marszałka izby niższej mogą szkować po ośmiu latach nieparlamentarnych wypowiedzi i praktyk w parlamencie.

Ponieważ pamięć ludzka bywa zawodna i jest raczej krótka i ponieważ mamy tendencję do szybkiego przyzwyczajania się do normalności, warto przypomnieć, jakie słowa jeszcze niedawno wybrzmiewały w sali obrad Sejmu. Ludzie szybko i chętnie zapominają, ale internet już nie. Ubolewać należy, że ośmiominutowy film zawierający kompilację wypowiedzi byłego mar-

szalka Ryszarda Terleckiego ma niewiele ponad 40 tys. wyświetleń na YouTube. Powinien być pokazywany każdemu, kto krytykuje obecny parlament. A także uczniom szkół średnich na lekcjach historii i terażniejszości – jako przykład historii.

Marszałek Sejmu ma obowiązek odnosić się z szacunkiem do posłanek i posłów różnych partii politycznych między innymi dlatego, że reprezentują swoich wyborców, obywateli tego kraju. Marszałek Terlecki szacunek rozumiał w dość oryginalny sposób. Po wystąpieniu posłanki Koalicji Obywatelskiej Klaudii Jachiry powiedział zbolalym głosem: „Przez chwilę miałem nadzieję, że pani nie ma na sali, ale niestety pani jest”. Szczególną niechęć, a nawet odrazę wzbudzała w nim posłanka Lewicy Joanna Senyszyn. Co więcej: on tej niechęci i odrazie dawał wraz na głos. Kiedy próbowała złożyć wniośki, które były niezgodne z polityką partii marszałka, mówił: „Nic od pani nie przyjmę. Nie powinna się pani w ogóle tu znaleźć w tym Sejmie”, albo: „Brzydzę się wziąć do ręki tą (sic!) kartkę”.

Do posłanki Wandy Nowackiej – także z Lewicy – Terlecki zwracał się w liczbie mnogiej, co jednak nie było archaicznym wyrazem szacunku, ale wprost przeciwnie: traktowaniem jej jako bezimiennej przedstawicielki jakiejś masy, która ma poglądy niewarte uwagi marszałka: „Wstyd przynosicie tej sali. Młodzież patrzy i widzi te wasze głupstwa, które tu wygadujecie. Tylko awantura, nic więcej, żadnych argumentów”. Warto zauważyć kunsztowną formę ośmieszania w oczach

potencjalnych widzów obrad Sejmu, w dodatku młodych, a więc tych, dla których parlamentarzyści powinni być wzorem zachowań społecznych. Posłów i posłanki opozycji marszałek nazywał także pogardliwie „towarzystwem”. Kiedy mu zarzucono niedopuszczalne zachowanie, odpowiedział, że owszem, jest ono niedopuszczalne, bo „z takim towarzystwem mamy do czynienia. Polacy to widzą”. Polacy widzieli zachowanie obu stron. Dlatego poszli na wybory.

Marszałek Terlecki był też surowym recenzentem wystąpień poselskich. Przerwawszy wypowiedź posła Koalicji Obywatelskiej Borysa Budki, powiedział: „Panie Budka! Nie dziwię się, że opozycja narzeka, że nie ma lidera. Takie wystąpienie...”. Gdy posłowie opozycji wrócili do sali sejmowej po przerwie, zwrócił się do nich słowami: „Prawdę mówiąc, szkoda, że państwo wracacie”.

„Opozycja jak zwykle łże” – mówił podczas debaty nad projektem ustawy dyscyplinującej sędziów. O posłach i posłankach opozycji w Parlamencie Europejskim mówił: „sprzedawczyki”, „wrogowie Polski” i „polityczne lumpy”. O przedstawicielach społeczności LGBT+: „A co, są normalni?”. Po spotkaniu Swiatłany Cichanouskiej z Rafałem Trzaskowskim powiedział: „Jeżeli Cichanouska chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego, to niech szuka pomocy w Moskwie”. A poza parlamentem, w krakowskim centrum handlowym, zwyzywał kobietę od „kretynek”, bo zarzuciła mu, że

„to, co się dzieje w kraju, to, co robicie kobietom, jest po prostu karygodne”.

Wróćmy jednak do Sejmu. Do Sławomira Nitrasa (KO) dwukrotnie zwrócił się pan marszałek za pomocą bezpośredniego rozkaznika: „Siadaj”. Raz w formie: „Siadaj, Nitras”, drugi raz: „Siadaj, pajacu”. Do Artura Dziambora (Konfederacja, później Wolnościowcy, obecnie Polska 2050) powiedział natomiast: „Ja to bym pana do szkoły nie wpuścił, jakbym był dyrektorem. Niestety, nie jestem”.

I to zdanie jest kluczowe dla rozumienia postawy byłego marszałka i jego niespełnionych marzeń. W poprzednim Sejmie zachowywał się bowiem jak dyrektor prowincjonalnej szkoły, który jest też belfrem, więc musi od czasu do czasu poprowadzić lekcję, ale nienawidzi tej pracy i nienawidzi uczniów, którzy nie mają ochoty być liżusami. Ma więc nadzieję, że nie przyjdą na lekcję albo że nie wrócą po wakacjach. Brzydzi się oddawanych mu przez nich kartkówek, których nawet nie zamierza czytać. Wytyka ich palcami i wykrzykuje, że przynoszą wstyd społeczności szkolnej. Każe im siadać i z satysfakcją mówi do nich po nazwisku. Mam wrażenie, że takich dyrektorów belfrów dziś już nie ma, także w prowincjonalnych szkołach. Należeli do innej epoki i odeszli w niepamięć razem z jej końcem. Niesłusznie odeszli, bo przecież należeli do jakiejś historii. Historii, która nie zawsze jest przecież chwalebna, ale warto o niej pamiętać, żeby się nie powtórzyła. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34290432

Święta pełne opowieści

Czytelnicy zdecydują, jakie opowiadania napiszą dla nich:

★ Chutnik ★ Wajrak ★ Zbroja

★ Plebanek ★ Parzymies

Sprawdź i zagłosuj na wyborcza.pl/opowiadania

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl



Adam Michnik poleca. **Henry Kissinger (1923-2023). Zmarł mistrz dyplomacji**

REALPOLITIK TO NIE CYNIZM I SIŁA

Cesarstwo może przetrwać nie dzięki triumfom, ale tylko dzięki pojednaniom.

Adam Daniel Rotfeld

W środę 29 listopada zmarł dr Henry Kissinger. 27 maja obchodził 100. urodziny. Od lat w kolejnych dziełach poszukiwał odpowiedzi na fundamentalne pytanie: na jakich podstawach powinien opierać się trwały i skuteczny system międzynarodowego bezpieczeństwa. Jego pierwsza – i bodaj najlepsza – książka, jaką poświęcił tej sprawie, ukazała się w Polsce po blisko 70 latach: „Świat przywrócony. Metternich, Castlereagh i zagadnienie pokoju, 1812-22”. Dzieło to nie tylko było podstawą dysertacji autora i uzyskania tytułu doktora na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Harvarda, ale też stanowi autoprezentację sposobu myślenia i postrzegania przez niego świata. Choć cechy te przypisuje bohaterom swojej monografii – księciu Austrii Klemensowi von Metternichowi, a po części również brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, wicehrabiemu Robertowi S. Castlereaghowi.

Walter Isaacson, autor wnikliwej biografii Kissingera, odnotował w niej, że jego rozprawa „jest interesująca nie z uwagi na jej wartość naukową (bo została oparta na zaskakująco skąpych badaniach, nawet jak na pracę z zakresu nauk politycznych), ale ze względu na informacje na temat tego, kim był i w co wierzył sam autor. Opisy Metternicha były zadziwiająco podobne do tego, jak Kissinger postrzegał siebie, i tego, w jaki sposób patrzyli na niego jego adwersarze”. Mimo uszczypliwych uwag, których Isaacson nie szczędzi swemu bohaterowi, warto odnotować, że już praca licencjacka Kissingera o znaczeniu historii została przez recenzentów oceniona wyjątkowo wysoko – *summa cum laude*. Wyróżnienie to otrzymuje zaledwie jeden procent studentów Harvardu.

Na marginesie: na niektórych polskich uczelniach autor nie spotkałby się z takim uznaniem – choćby dlatego, że praca liczyła 383 strony (za długą), a co ważniejsze – stanowiła, jak pisał biograf Kissingera, „przedsnak intelektualnej arogancji”, z której Kissinger zasłynął w późniejszych latach. Trafność tej opinii potwierdziła jego praca doktorska, z której można sporządzić cały tom aforyzmów. Dla ilustracji – kilka przykładów choćby na temat tego, czym jest pokój:

„W tych epokach, które z perspektywy czasu wydają się najbardziej pokojowe, o pokój zabiegano najwięcej”.

„Za każdym razem, gdy pokój – rozumiany jako uniknięcie wojny – stanowił główny cel państwa lub grupy państw, system międzynarodowy był zdany na łaskę



• Henry Kissinger w bazie sił lotniczych Andrews pod Waszyngtonem, sierpień 1972 r. FOT. AP

najbardziej bezwzględnego z członków społeczności międzynarodowej”.

„Stabilność nie była zazwyczaj efektem zabiegów o pokój, ale pochodną powszechnie uznawanej legitymizacji (legitimacy)”.

Jan Sadkiewicz, autor doskonałego polskiego przekładu, tłumaczy wieloznaczny oryginalny termin „legitimacy” jako „prawowitość”, podczas gdy z kontekstu rozważań Kissingera wydaje się zasadne użycie po prostu słowa „legitymizacja”.

W słowie wstępnym tłumacz trafnie odnotował, że Kissinger poszukuje odpowiedzi na pytania ponadczasowe: „Co decyduje o polityce państw? Dlaczego wybierają taką, a nie inną drogę postępowania? Jaką rolę odgrywa położenie geograficzne, a jaką osobowości przywódców? Jaki wpływ na politykę zagraniczną wywiera jego struktura wewnętrzna, doświadczenia historyczne, panujące przekonania, ideologia? W jaki sposób państwa mogą zostać przekonane do podporządkowania się wspólnej polityce mimo dzielących je różnic? Jak równowaga sił i co decyduje o naturze porządku międzynarodowego?”.

Kissinger kończy swoje dzieło rozważaniami na temat istoty przywództwa i tego, jakimi cechami odznaczają się mężowie stanu w odróżnieniu od polityków przeciętnych, którzy – jakkolwiek wyniesieni zostali na wysokie stanowiska – nie zasługują na to, by współcześni

*Summa cum laude
– to wyróżnienie otrzymuje
jeden procent studentów
Harvardu. Ale na niektórych
polskich uczelniach Kissinger
nie spotkałby się z takim
uznaniem – jego praca
liczyła 383 strony
(za długą) i stanowiła
„przedsnak
intelektualnej arogancji”*

czy też przyszli historycy postrzegali ich jako mężów stanu.

Rozważania oparł na analizie konkretnych postaw i zachowań głównych bohaterów, ministrów spraw zagranicznych Austrii i Wielkiej Brytanii – księcia von Metternicha i wicehrabiego Castlereagha – w latach 1812-22.

To czasy dyplomacji gabinetowej, której zadaniem było przywrócenie pokoju opartego na równowadze, stabilności i legitymizacji porządku wewnętrznego i międzynarodowego. Autor jest zafascynowany postaciami, których postępowanie opisuje. Nie kryje podziwu dla erudycji i kultury politycznej Metternicha. W swojej praktycznej działalności stał się 150 lat później

kontynuatorem tego gabinetowego sposobu uprawiania dyplomacji – w zupełnie innych warunkach historycznych.

Po blisko 100-letnim funkcjonowaniu systemu, który opierał się na zasadach uzgodnionych podczas kongresu wiedeńskiego (1815), dwie wojny światowe XX wieku zmieniły krajobraz międzynarodowy. Myślą przewodnią nowych zasad i norm regulujących zachowanie państw Zachodu stały się demokratyczne wartości i prawa człowieka. W praktyce zatarła się różnica między tym, co należy do porządku wewnętrznego, a tym, co reguluje relacje między państwami.

Respektowanie zasad praworządności wewnątrz państwa ma charakter zobowiązania prawnomiędzynarodowego. Przestrzeganie tych zasad i norm jest obligatoryjne w relacjach zarówno między państwami, jak i między obywatelami a państwem na gruncie prawa wewnętrznego.

Niemiecki termin „Realpolitik” często w Polsce pojmowany jest pejoratywnie, jako koncepcja, która uznaje czynnik siły za rozstrzygający. W obronie przed tym zarzutem Kissinger wyjaśniał, że porządek międzynarodowy „należy kształtować, nie można go narzucać”. Niejako w odpowiedzi na zarzuty, że jego pojmowanie polityki i dyplomacji nadaje zbyt wielkie znaczenie czynnikowi siły, Kissinger w wydanej w 2014 r. monografii „Porządek światowy” pisał, że „KSZTAŁTOWANIE, a nie NARZUCANIE porządku jest szczególnie aktual-

ne w epoce błyskawicznej komunikacji i rewolucyjnych zmian politycznych”.

Każdy system porządku światowego, jeśli ma się utrzymać, musi być uznawany za słuszny nie tylko przez przywódców, lecz także przez obywateli. Musi odzwierciedlać dwie prawdy: „porządek bez wartości, nawet jeśli podtrzymywany jest chwilowym uniesieniem, ostatecznie prowadzi do wytworzenia przeciwwagi dla samego siebie; z kolei wolności nie da się osiągnąć ani zabezpieczyć bez zrębów porządku, który utrzymuje pokój. Porządek i wolność, określane czasem jako przeciwne bieguny, trzeba traktować jako zjawiska współzależne”.

Ten sposób myślenia kłóci się – jak trafnie zauważył Jan Sadkiewicz – „z pewnymi utrwalonymi schematami polskiego myślenia o polityce międzynarodowej”. Trudno bowiem pogodzić manicheizm z uznaniem i pozytywnym podejściem do koncepcji równowagi sił, „mesjanizm z umiarkowaniem, absolutyzację własnych racji z przyznaniem konkurentom prawa do posiadania innych, niezdolność do kompromisów z umiejętnością negocjowania”.

Wiele opinii i sądów ogólnych młodego autora formułowanych na podstawie doświadczeń początków XIX wieku okazało się po wielu latach nad podziw trafnych. Ułatwiają one rozumienie procesów zachodzących 200 lat później. Już choćby myśl, że mocarstwa uśpione długim okresem stabilności, który wydawał się im trwały i niezmienny, nie mogą potraktować z należytą powagą zagrożeń ze strony tych mocarstw, które świadomie zmierzają do podważenia, destabilizacji, a nawet obalenia istniejącego porządku.

Prześledzenie wystąpień Putina, a zwłaszcza jego programowe deklaracje podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa (luty 2007) oraz na szczycie NATO – Rosja w Bukareszcie (kwiecień 2008) świadczyły, że Rosja pod przywództwem nowego prezydenta rzuca Zachodowi wyzwanie. Zmieniła nie tyle taktykę, ile strategię.

Polityka upokojowania agresywnego partnera i poszukiwanie porozumienia na drodze ustępstw z założenia skazane były na niepowodzenie, ponieważ mocarstwo, które odrzuca uzgodnione normy, liczy się tylko z siłą. „Polityka ustępstw – pisał Kissinger – o ile nie jest sposobem zyskania na czasie, jest pochodną niezdolności zmierzenia się z przeciwnikiem politycznym, którego cele są nieograniczone”.

Młody autor trafnie dostrzegł to, że sprzeciw wobec czegoś „może zjednoczyć wielu, może nawet zbudować koalicję największą z możliwych”. Jednak spoiwem takiej koalicji jest to, co odrzucają, co państwowm wchodzącym w skład takiej koalicji się nie podoba.

Mogą one jednak różnić się zasadniczo w tym, „czym to coś ma być zastąpione”. Z tego punktu widzenia osiągnięciem uczestników kongresu wiedeńskiego było to, że przyjęte wówczas uzgodnienia przetrwały z pewnymi modyfikacjami całe stulecie. Dopiero wybuch wielkiej wojny w sierpniu 1914 r. zmienił radykalnie polityczny krajobraz Europy.

Isaacson pisał 50 lat po ukazaniu się dysertacji doktorskiej swego bohatera: „Aby pojąć umysł Kissingera, trzeba w pierwszej kolejności zrozumieć podziwianych przez niego czterech Europejczyków: Spenglera, którego posępny determinizm historyczny wpłynął na Kissingera emocjonalnie, lecz odrzucał go na płaszczyźnie intelektualnej; Kanta, którego koncept wolności moralnej był dla Kissingera podstawą jego filozofii politycznej; Metternicha, kanclerza Austrii, który dzięki zręcznym manewrom dyplomatycznym zdołał zaprowadzić równowagę w Europie, oraz Bismarcka, unifikatora, który dzięki swojej kreatywności mógł być jednocześnie i konserwatystą, i rewolucjonistą”.

To dyplomatyczna aktywność Metternicha i Bismarcka wywarły wpływ nie tylko na sposób myślenia, ale również późniejszą działalność Kissingera. W monogra-

fii „Świat przywrócony” dał wyraz podziwu zarówno dla konserwizmu, jak i dla poszukiwania równowagi sił – z naciskiem na uwzględnianie interesów decydujących mocarstw. Ten program zdefiniowany w latach młodości wyznaczył sposób postępowania autora na całe życie.

Kissinger pisał: „Gdy ważą się losy imperiów, o ich przetrwaniu decydują przekonania mężów stanu, a powodzenie zależy od zgodności tych przekonań ze szczególnymi wymaganiami poszczególnych państw. Los chciał, że na czele Austrii w latach kryzysu [czyli czasu wojen napoleońskich] stał człowiek, który ucieleśniał samą jej istotę; takie było przeznaczenie Austrii, a nie jej pomyślny los, ponieważ – podobnie jak w greckiej tragedii – sukces Klemensa von Metternicha uczynił nieuniknionym ostateczny upadek państwa, o którego zachowanie tak długo walczył”. Upadek ten nastąpił sto lat później, kiedy na czele mocarstwa nie stali już ludzie tego formatu co Klemens von Metternich.

W monografii Kissinger wyraził kilka sądów ogólnej natury, które zachowują swoją aktualność po dziś dzień. Tak np. psychologizował: „W obliczu wielkich możliwości ludzie bojaźliwi są jednak bardziej skłonni do strachu niż do odwagi”. I dalej: „Istotą przeciwności jest to, że przedkłada ona wymierny zysk nad niematerialną korzyść polegającą na poprawieniu własnej pozycji. Ci, którzy prowadzą politykę obliczoną na uzyskiwanie drobnych korzyści, z natury skłonni są uważać wahanie za substytut działania”.

Z pełnym zrozumieniem Kissinger przytacza opinię Metternicha, który w liście z 1808 r., jeszcze jako ambasador Austrii w Paryżu pisał: „Opinia publiczna to jedno z najsilniejszych narzędzi, które niczym religia dociera do najgłębszych zakamarków, w których środki administracyjne tracą moc oddziaływania; pogarda wobec opinii publicznej jest równie niebezpieczna, jak pogarda wobec zasad moralnych”. Kissinger opatrzył list uwagą: „Siła mogła podbić świat, ale nie mogła nadać sobie prawowitości”, czyli legitymizacji najazdów i podbojów.

Fascynacja kulturą myślenia i profesjonalizmem oraz swoistą moralnością Metternicha znajduje wyraz w końcowych rozważaniach, gdy Kissinger stara się wyjaśnić, na czym polega rola męża stanu.

Po pierwsze, polityka nie odbywa się w próżni, jest reakcją na konkretne wyzwania w czasowo określonych okolicznościach i uwarunkowaniach historycznych.

Po drugie, oprócz potencjału, geograficznego położenia i zasobów państwa istotne jest uwzględnienie doświadczeń historycznych, tożsamości narodu, jego charakteru i mentalności. Jednak wszystkie te czynniki nie działają samoistnie. Innymi słowy, świadomość, że imperium stworzone przez Napoleona chyli się ku upadkowi, uwarunkowała zachowanie Austrii, ale nie była sama w sobie polityką. To nie inercja określała politykę i dyplomację mocarstw, które dążyły do przywrócenia równowagi i legitymizacji nowego porządku.

Metternich, zdaniem Kissingera, był jedynym wówczas mężem stanu, który uświadamiał sobie, że „niekompatybilność imperium napoleońskiego z systemem równowagi nie musi oznaczać kompatybilności imperium wielojęzycznego z epoką nacjonalizmów”. A takie właśnie było cesarstwo austriackie – wieloetniczne i wielokulturowe, które po 100 latach rozsadziły siły narastających odśrodkowych ruchów narodowych.

Główną tezę Kissinger wyraził w zdaniu: „Sprawdzianem męża stanu jest więc jego zdolność do rozpoznania rzeczywistego stosunku sił i sprawienia, by wiedza ta służyła jego celom”. To, że Austria zdołała po wojnach napoleońskich „utożsamić swoją wewnętrzną zasadę legitymizującą z zasadą porządku międzynarodowego, było dziełem jej ministra spraw zagranicznych”. Natomiast to, że zasada równowagi stała się elementem koncertu europejskiego, było zasługą jednego człowieka – Ro-

berta S. Castlereagha, ministra spraw zagranicznych Zjednoczonego Królestwa.

Wywód Kissinger zamyka konkluzją: „Żadna polityka nie jest więc lepsza od celów, które sama sobie wyznacza”. Castlereagh dostrzegł wyższość integracji nad odwetem „w budowie prawowitego porządku, podobnie jak miarą mądrości Metternicha było to, że nigdy nie pomylił formy swoich osiągnięć z ich istotą”. Rozumiał bowiem, że cesarstwo centralne może przetrwać nie dzięki triumfom, ale tylko dzięki pojednaniom.

Dyplomatyczna aktywność Metternicha i Bismarcka wywarły wpływ na praktyczną działalność Kissingera

Urodzony po 100 latach od wydarzeń, które były przedmiotem jego studiów, Kissinger starał się przez całe życie wcielać w praktyce nauki i doświadczenia obu swoich bohaterów. Oceny, które formułował, wyrażały dwoiste podejście.

Z jednej strony dowodził, że dyplomacja polega na przekonywaniu, a nie narzucaniu. Z drugiej – jedna z jego późniejszych monografii, „Crisis. The Anatomy of Two Major Foreign Policy Crises” (2003), jest świadectwem tego, w jaki sposób w roli sekretarza stanu USA starał się wykorzystać siłę i potencjał Stanów Zjednoczonych do realizacji zadań polityki zagranicznej najpotężniejszego w tym czasie mocarstwa świata.

Nasuwa się dziś pytanie: czy z lektury tej książki wynikają wnioski, które mogą okazać się przydatne w określaniu nowych zadań polskiej polityki zagranicznej i jej narzędzia, jakimi jest polska dyplomacja.

Refleksja pierwsza sprowadza się do tego, że historyczne wydarzenia, wokół których autor snuje swoje rozważania, nie były dla Polaków epoki wojen napoleońskich obojętne. Ich odbiciem jest hymn, który przypomina, że „dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy”.

Ale przecież nadzieje pokładane w Napoleonie się nie spełniły. Polska się nie odrodziła, bo w tym „świecie przywróconym” było miejsce nie na zmianę, ale na powrót do *status quo ante*, czyli do legitymizacji takiej Europy, w której nie było miejsca dla Polski. Co więcej, lektura tej monografii uświadamia nam bolesną prawdę, że czołowe postacie polityczne ówczesnej Europy nie widziały potrzeby przywrócenia niepodległej Polski.

Do tego sposobu myślenia nawiązał nie spodziewanie Dmitrij Miedwiediew, były prezydent Federacji Rosyjskiej, a obecnie wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Jego esej opublikowany przed Dniem Jedności Narodowej, który upamiętnia wydarzenia ponad 400-letniej historii, kiedy pospolite ruszenie pod przywództwem Minina i Pożarskiego uwolniło moskiewski Kreml spod „polskiej okupacji”, stał się okazją do niewybrednego ataku na „polską megalomanię” podyktowaną „kompleksami niższości i bólami fantomowymi niespełnionego imperium” („Rossija i Polska: zamietki k 4 nojabria”, „Rossijskaja Gazeta”, 2 listopada 2023).

Autor pseudohistorycznego tekstu dowodzi, że nie tylko rozbiory były podyktowane potrzebą wyzwolenia ludności prawosławnej spod nietolerancyjnej władzy polskich panów, ale także, co gorsza, „polskie społeczeństwo nie potrafiło wyciągnąć właściwych wniosków z tego, co się wydarzyło”. Doprowadziło to do kolejnych polskich powstań i w efekcie pełnej utraty państwowości. Mimo to właśnie pod rosyjskim zaborem rozwijały się polska kultura i gospodarka, rozkwitały miasta, a patro-

nował temu osobiście imperator car Aleksander III.

Ten „bajkowy” protektorat nie był przez Polaków doceniony: „megalomania Polski i jej narzucający się kompleks ofiary – to konsekwencje jej wyjścia z wielkiej Rosji”. Taka jest interpretacja odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r.

W pewnej mierze ten „historyczny” wywód Miedwiediewa nawiązuje do podobnego artykułu Władimira Putina „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców”, który poprzedzał i miał legitymizować napad Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Oba te programowe teksty są wyrazem polityki szantażu, którego myślą przewodnią jest przesłanie, że Rosja w przywracaniu imperium nie poprzestanie na Ukrainie.

Polską odpowiedzią na politykę tego typu szantażu powinna być dyplomacja, która przywróci i utrwali pozycję Polski jako państwa NIEZBĘDNEGO w ramach struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego i nieodzownej części składowej zmieniającej się Unii Europejskiej.

Na zakończenie dwie refleksje natury osobistej.

Kissingera spotykałem wielokrotnie – po raz pierwszy, kiedy zaprosiłem go w 2004 r. na wykład inauguracyjny Akademii Dyplomatycznej MSZ w Belwederze. Miałem też sposobność do rozmów przy okazji różnego typu grup roboczych i paneli w Wiedniu i Monachium, w Waszyngtonie, Nowym Jorku i ponownie w Warszawie.

Zapadły mi w pamięć jego myśli o tym, jak bardzo dyplomacja XXI wieku zależy nie tylko od sytuacji wewnętrznej globalnych mocarstw, ale też – co zwróciło moją uwagę – od procesów transformacji państw średnich i małych. Jego przestrogi – oparte na profesjonalnym podejściu i własnych doświadczeniach – podyktowane były troską, aby mocarstwa, które ponoszą szczególną odpowiedzialność za równowagę i bezpieczeństwo międzynarodowe, zachowały poczucie moralnego zobowiązania nie tylko wobec własnego narodu, ale też wobec sojuszników i reszty świata. ●

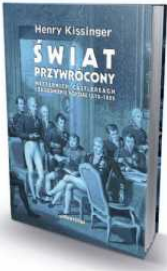


FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Prof. dr hab. Adam Daniel Rotfeld

• minister spraw zagranicznych w rządzie Marka Belki (2005), dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem – SIPRI (1990-2002). Pracuje na Wydziale Artes Liberales UW. Ostatnio wydał: „Zderzenie cywilizacji? Ukraina – Rosja: przeciwstawne narracje”, wyd. Nieoczywiste, Warszawa 2023. Tytuł – „Wyborcza”. Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Henry Kissinger, „Świat przywrócony. Metternich, Castlereagh i zagadnienie pokoju 1812-1822”, przekład i słowo wstępne Jan Sadkiewicz, Universitas, Kraków 2022. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



O książkach Pawła Potoroczyna

Wszystkie drogi prowadzą do Piórkowa

Każdy ma taką sagę, na jaką zasługuje.

Trafiła nam się saga o mieszkańcach wsi brutalnej i pijanej, ale honorowej

Andrzej Brzeziński

Arkadiusz Gruszczyński pisał nie-dawno w „Wyborczej” o polskiej wsi w literaturze. Wylizował modne ostatnio książki z gatunku historii ludowej – niektóre pisane z tezą, za to na kolanie, albo sielankowe wizje Andrzeja Mencwela, gdzie każdy we wsi zna swoje miejsce i wszystko jest zgodne z naturą i cyklem rocznym.

Na antypodach wizji Mencwela plasuje się Paweł Potoroczyn ze swymi książkami o Piórkowie. Jego obraz wsi nie tylko brutalnej, lubieżnej, pijanej, przekupnej, ale też po swojemu honorowej, lojalnej i śmiesznej wydaje się bliższy prawdy. Nawet dziedzic nie jest tam tak straszny jak ci krwopijcy z modnych książek o pańszczyźnie i doli chłopów.

Wyszły właśnie wznowienie książki „Ludzka rzecz” i jej kontynuacja „A to było tak”. Autor i wydawnictwo zapowiadają trzecią część, „Każdy kiedyś”.

Na okładce książek Potoroczyn przedstawia się m.in. jako państwowiec, co może budzić niepokój, bo już wielu nasza ziemia nosiła takich, co tak o sobie mawiali i wiele dobrego dla państwa nie zdziałali. Na szczęście karty powieści o mieszkańcach Piórkowa rozwiewają ów lęk. Nie wiem, czy Potoroczyn jest państwowcem, z pewnością jest świetnym pisarzem i wie o Polakach dużo.

Niby rzecz dzieje się na zapadłej wsi i niby w czasach II wojny światowej i zaraz po niej, lecz tak naprawdę przygody Smyczka, jego ukochanej piekarnicowej Wandy czy proboszcza Morgi mają wymiar uniwersalny. Tak jak słowa emigracyjnego ministra, który żywi nadzieją, że los postawi jeszcze Polaków „przed taką szansą, której nie zdołamy spieprzyć”.

Tak czy inaczej, z Piórkowa jest blisko nie tylko do Białobrzegów, Radomia czy nawet Warszawy, ale i do Wiednia, Ameryki i na Bliski Wschód. Losy bohaterów się przeplatają, łączą ich nawet więzy krwi, z których nie zdają sobie sprawy – jak dziedzica i Smyczka. I to ku przerażeniu tego pierwszego.

Potoroczyn to mistrz zabawy słowami. Zderzając ze sobą różne znaczenia tych samych słów, tworzy nowe ich związki i znaczenia. Czasem forma staje się ważniejsza niż treść, czasem przeszkadza, gdy jest jej nadmiar, a czasem zmusza, by książkę czytać na raty, bo nie da się tak długo śmiać. Książki Potoroczyna aż skrzą się od humoru, erudycji, absurdu, a także erotyki, nieraz wulgarniej, jak seks ojca i syna Kominków z niejaką Omyłą, nieraz, jak seksualna inicjacja Delesia, mającej urok oglądania w szkolnej toalecie świerszczyków z kolegami, a nieraz naprawdę pobudzającą zmysły.

Zmieszajcie więc Rabelais’go, Gogola, Czechowa, Witkacego z Gombrowiczem i jeszcze dodajcie odrobinę serialu „Allo ‘Allo!”, a otrzymacie Potoroczyna. Oto w Piórkowie, w którym są tylko trzy pory dnia: przed obiadem, po obiedzie i wieczór, a z czymś sumieniem żyją tylko ci, którzy

mają krótką pamięć, krótką pamięć zaś mają ci o brudnych rękach, dzieją się rzeczy niesłychane, ale jakoś nam wszystkim bliskie i znajome. Bo bardzo polskie.

Zaczynijmy od Jasia Smyczka, muzykanta i podrywacza, który stał się przywódcą lokalnej partyzantki. AK oczywiście nigdy do Piórkowa nie dotarło, więc Smyczek nie słyszał o kotwicy, symbolu Polski Walczącej, tu znakiem konspiracji jest klucz wiolinowy. Zwerbował jeszcze do konspiracji m.in. proboszcza i dziedzica.

Jest też druga konspiracja – komunistyczna. Obie zachowują się tak jak francuski ruch oporu we wspomnianym serialu. Przykładem dokonana jednocześnie przypadkiem przez obie konspiracje próba wysadzenia mostu, który służył głównie miejscowym, więc okupantowi nie przyszło do głowy, że ktoś go będzie chciał zniszczyć.

W ukochanej Smyczka Wandzie, wdowie, podkochuje się także dziedzic Grzegorz Radecki, człowiek pozba-

Zmieszajcie Rabelais’go, Gogola, Czechowa, Witkacego z Gombrowiczem i jeszcze dodajcie odrobinę serialu „Allo ‘Allo!’. Otrzymacie Potoroczyna

wiony wszelkich talentów. We wsi jest też Kazimierz, właściciel wykwintnego karawanu, są tędzy i groźni cieśle Siwi, są Ukłejowie i Kominkowie. Jest komunista felczer Uczciwek i wspomniany proboszcz, który „nie tylko, że śpiewać nie umiał, ale jeszcze lubił”; jednak mieszkańcy woleli, by raczej śpiewał, niż głosił kazania, bo przecież każda pieśń się kiedyś kończy, a kazać niekoniecznie.

Są jeszcze Żydzi, których ściga niemiecki okupant w postaci Zerbsta i którzy wygrażają Hitlerowi. Nawet jednak Niemiec Zerbst wygląda dość pocziwie. Nie może zrozumieć istoty antyniemieckiej konspiracji w Piórkowie. Należeli do niej wszak m.in. dziedzic Radecki, który w wyniku rodzinnych perypetii ma japoński paszport (i jednego syna w SS, a drugiego w armii japońskiej). W konspiracji są także proboszcz z pruską metryką i Kazimierz, który był kiedyś poddanym Franciszka Józefa, a „jak wiadomo, Austriak to całkiem dobry Niemiec”.

Zerbst nie może więc pojąć, dlaczego wśród tych, którzy mieliby stanowić zarzewie spisku, „mało kto jest Polakiem, za to prawie wszyscy w świetle polityki, traktatów i prawa międzynarodowego są zasadniczo sojusznikami lub obywatelami Rzeszy”.

Drugi tom przenosi nas do Warszawy, gdzie zawędrowała część bohaterów „Ludzkiej rzeczy”. Tu już jest poważniej – przygody bohaterów ustępują rozważaniom o naturze człowieka i świata. Zawsze aktualne są myśli o picu, bo – jak pisze Potoroczyn – „picie to odwaga. Upomina się o mężne serce i oczekuje ducha walki. (...) Odwaga to jest drugie pół litra, gdzie na

dnie czai się biblijny kac”, a „picie i kac to jedyny manicheizm godny tej nazwy”.

Oczywiście polska literatura pełna jest odniesień do picia i głębszego tkwiącego w nim sensu, ale najwyraźniej nie tylko picie wciąga i uzależnia, lecz już nawet samo czytanie o nim.

Jest w książce znacznie więcej trafnych uwag o innych ludzkich zwyczajach i cechach – zazdrości, pożądaniu, strachu. Albo o pożyczaniu, którego we wsi nie lubiano. „Cały myślący Piórków brzydził się i gardził pożyczkami. Bo z pożyczaniem jest tak: pożyczasz cudze i na trochę, a oddać trzeba własne i na zawsze”. Albo o honorze – dziwnym wynalazku, który zabił wielu, ale nikogo nie ocalił.

W drugim tomie opowieści bohaterką jest też Warszawa, a właściwie ruiny miasta, którego centrum okazuje się dworzec Warszawa Główna. Wrażenie robi opis półświatka na dworcu i wszystko, co się tam dzieje. Ale i tu nie brak wielkiej historii. W powieści

jest i gra mocarstw, i londyńska konspiracja, i Żydzi, którzy przetrwali wojnę, a teraz m.in. zasilają UB albo emigrują.

Pisze Potoroczyn o Warszawie: „Miasto, któremu amputowano wiedzę, nie ma szans na rozwój. Zostaje mu postęp. Szybki, więc atrakcyjny i efektowny, w dłuższej perspektywie powierzchowny, a nawet szalbierczy”. Zarazem Warszawa przetrwała jako literatura, baśń, a umożliwiło to jej zerwanie wszelkich związków przyczynowych. W efekcie „zostało miasto, które ignoruje przestrzeń i czas”. Niemniej pozostała jako cel wielkich dążeń i nikłych osiągnięć. A jednak Potoroczyn nie trywializuje tragedii Warszawy. Czuje ją i Polskę jak mało kto.

Do Warszawy przenosi się młodsze pokolenie mieszkańców Piórkowa. I te przenosiny wcale nie służą ludziom – o czym przekonała się choćby młoda Zosia wpłątana w emigracyjno-ubecką rozgrywkę. Ale przenosiny do Warszawy nie służą także powieściom. „Ludzka rzecz”, której akcja rozgrywa się w Piórkowie, wydaje się bardziej spójna niż jej w dużej mierze warszawska kontynuacja.

„Warszawa była główna tylko w Warszawie” – słusznie zauważa Potoroczyn: wszak żaden dworzec w Europie nie nazywa się „warszawski”. Z Warszawy do Wiednia odjeżdżało się z Dworca Wiedeńskiego, ale w drugą stronę nie wyruszało się z Dworca Warszawskiego, tylko z banhofu. Warszawiacy zaś „trochę wbrew historii kolei, a trochę wbrew historii nigdy nie wystawili Dworca Krakowskiego, bo takiego afrontu już by nie zniesli”.

U Potoroczyna to, co wzniosłe albo tragiczne, miesza się z tym, co śmieszne i przyziemne. Nie wszystko jest błyskotliwe, świeże i nie zawsze na równym poziomie. Ale są tu perełki w postaci np. dialogów Kominkowej ze świnią. Tadeusz Konwicki, czytając pierwsze wydanie „Ludzkiej rzeczy”, nazwał książkę nowym głosem w polskiej literaturze.

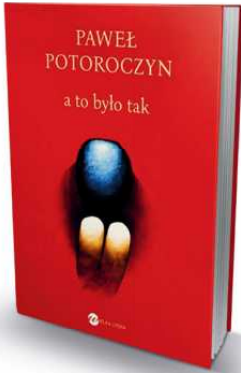
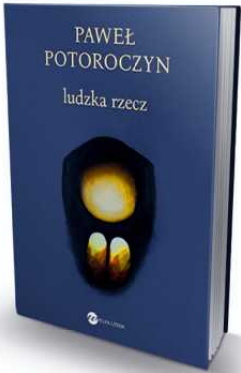
Czasem jednak wplecione w treść powieści różnorakie traktaty, takie jak „dissertacja” o podziale ras ludzkich wedle wydalanych gazów, wydają się wtórne, przedobrzane.

Potoroczyn lubi personifikować różne zjawiska – jak odwieczne polskie żywioły, choćby błoto czy kurz. Czasem jednak zabiegi te przypominają wiersz Tuwima „Kapuśniaczek”. Inne, jak dialogi Historii i Losu, stają się zrozumiałe dopiero w dalszej części książki, gdy okazuje się, że jest to dramat autorstwa Wawrzyńca Kominka, jednego z bohaterów, nad którym deliberują zakłopotani teatralni cenzorzy – aż nie nadejdzie decyzja samego towarzysza Borejszy.

Być może więc w zapowiadanej trzeciej książce z serii Potoroczyn pozwoli zrozumieć nam sens niektórych fragmentów, teraz niejasnych. Na razie musimy z niecierpliwością czekać na dalszy ciąg, ale w końcu niecierpliwość to także ludzka rzecz. ●

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Paweł Potoroczyn, „Ludzka rzecz”; „A to było tak”, Wielka Litera, Warszawa 2023



Tęsknota za sobą i wydmową lilią

Zdaje się, że „Popołudnie fauna” Jarosława Mikołajewskiego jest właśnie próbą uchwycenia spotkania samego siebie.

Jędrzej Soliński

Wbrew deklaracjom samego poety będę uparcie twierdził, że poeta ten – Jarosław Mikołajewski – uparcie zagląda pod podszewkę świata, i to nie tylko w swoich wierszach, lecz także, jak się okazuje, w prozie. „Popołudnie fauna” (Austeria, 2023) to w zasadzie dłuższe opowiadanie, którą to formę sam autor nazywa rozpasaną siostrą reportażu. I to już jest pewna forma gry z percepcją tej prozy, gry, która powoli staje się jednym ze znaków rozpoznawczych twórczości Mikołajewskiego – jego deklaratywnie bezbożna i pozornie realistyczna literatura subtelnie wywleka na powierzchnię zaplątane w twardym materializmie odpryski innej rzeczywistości. Z wierszem zdecydowanie łatwiej balansować na linie, oddzielającej wiadome od niewiadomego, możliwe od niemożliwego i znane od nieznanego. Z prozą trudniej jest utrzymać równowagę. I stąd, jak sądzę, bierze się krótka forma tej niezwykłej opowieści. Bo w tym właśnie lubuje się Mikołajewski – stąpać po cienkim lodzie, balansować pomiędzy realnym i nierzeczywistym. Już, już osuwa się w metafizykę, ale jednak kurczowo trzyma się naszego hic et nunc. Albo odwrotnie – jak w przypadku „Popołudnia fauna”, czyli historii zakochanego (dosłownie) w wydmowej lilii Lucjana i spotykanego przez niego wielokrotnie Zjawiska – już niemal niecielesność i niezwykłość tegoż zaczyna dominować nad całą opowieścią, aż tu nagle duch staje się ciałem. Mało tego, wcześniej następuje coś jeszcze bardziej zaskakującego – niczym dziewiętnastowieczny powieściopisarz Mikołajewski ujawnia się, zwracając się bezpośrednio do czytelnika i tym samym biorąc całą wcześniejszą opowieść w cudzysłów, ale jak

się okazuje, to właśnie ten – zdawałoby się anachroniczny – gest twórcy zupełnie zmienia istotę całego utworu i modyfikuje sensy. Innymi słowy – otwiera kolejny cudzysłów. Jaki? To niespodziewane „poznałem Lucjana” przypomina intrygującą scenę z „Traktatu o luskaniu fasoli” Wiesława Myśliwskiego, w której to główny bohater i opowiadacz na ulicy bliżej nieznanego miasta niby to przypadkowo spotyka pewnego człowieka. Z niezrozumiałych przyczyn pomiędzy mężczyznami dochodzi do wzajemnego rozpoznania. Udają się więc do pobliskiej kawiarni i tam dzielą się opowieściami, które zdają się zmierzać do wspólnego punktu, choć ostatecznie go nie osiągają. Myśliwski jak to Myśliwski – niczego nie rozstrzyga, nie można więc stwierdzić, że bohater spotyka samego siebie. Cóż to zresztą miałyby znaczyć? Inny (choć może tak naprawdę ten sam?) bohater, tym razem w niestety niedocenionym „Ostatnim rozdaniu” wątpi, czy w ogóle można odpowiedzieć na to pytanie: „jesteśmy bowiem wyobrażeniami samych siebie. (...) Aby być sobą, trzeba być kimś, to znaczy wiedzieć, kim się jest. A jak możemy to ustalić, zagubieni pośród ciągle zmieniających się wyobrażeń siebie? Pragnienie poznania siebie jest tylko daremnym błędzeniem pośród tych wyobrażeń. Być może nawet czymś w rodzaju tęsknoty za sobą, rozpacz za sobą, ale też ustawiczną ucieczką od siebie w nasze o sobie wyobrażenia”. („Ostatnie rozdanie”, Znak, 2013, s. 23).

Ta niemożność poznania samego siebie jest motywem tak starym, że nie ma potrzeby przywozić innych przykładów, ale w obu przypadkach – Mikołajewskiego i Myśliwskiego – chodzi też o coś innego, coś wyrażonego równie prosto i dosłownie – o doświadczenie spotkania samego siebie. To intuicyjne rozpoznanie głębokiego sensu „Popołudnia fauna” może być chybione, niemniej być może tak można (tylko można, nie mówię, że trzeba) rozumieć jeden z motywów, który autor podaje już po swoim coming oucie,

dla których napisał to, co napisał: „Zapisałem tu w literackiej formie opowiadania (...) tylko to, co sam [Lucjan] mi przekazał. A także pewną poetykę istnienia na świecie, którą zaobserwowałem”. Ta poetyka istnienia, skoro zauważalna dla autora, być może mu bliska, jakoś rezonuje z przywoływaną już tęsknotą i rozpaczą za sobą według Myśliwskiego. Ta tęsknota za sobą nie ma szans na zaspokojenie, a rozpacz nie doczeka się ukojenia. Spotkanie siebie, odnalezienie siebie zdaje się niemożliwe. Może dlatego Lucjan i Zjawisko kończą tak, jak kończą, i być może ich marny koniec jest konieczny, to znaczy jest konsekwencją tego pozornie zwyczajnego, choć w tym ujęciu dramatycznego wyznania autora: poznałem Lucjana.

Przypadkowy nieznamy z powieści Myśliwskiego opisuje intrygującą fotografię, na której uchwyciono dwie postaci – nieznanego i jego ojca – zwróconych ku sobie i jednocześnie w stronę obiektywu. „Ów punkt, z którego zrobiono to zdjęcie, wydaje się fizycznie niemożliwy, żeby obie twarze zwrócone ku sobie i obie en face. Próbuje, na razie daremnie, dociec, gdzie ów punkt może się znajdować. Bo gdzieś się znajduje, najlepszym dowodem to zdjęcie”. („Traktat o luskaniu fasoli”, Znak, 2010, s. 273).

Zdaje się, że „Popołudnie fauna” Jarosława Mikołajewskiego jest taką właśnie próbą uchwycenia spotkania samego siebie – zwróconego ku sobie i zarazem en face. A więc próbą uchwycenia niemożliwego. Czyżby? ●

Jarosław Mikołajewski, **„Popołudnie fauna”**, wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2023



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Władimir Jermotajew*

proces

*proces przeciwko kafce
zaczyna sam kafka
kafka aresztuje
samego siebie i doprowadza
do pomieszczenia
gdzie odbywa się proces
kafka bierze na siebie
obowiązki prokuratora
kafka prosi samego siebie
żeby został swoim adwokatem
kafka występuje jako świadek
oskarżenia i obrony
kafka ogląda proces
z ławek dla widzów
trzaskają drzwi to kafka
wieje przeciąg to kafka
dzwoni zegar to kafka
ktoś kaszle to kafka
kancelista o nazwisku kafka
zanurza pióro w kafce
i pisze po kafce
to wszystko się dzieje
oczywiście w kafce
i samo w sobie
jest kafką*

***Władimir Jermotajew** – ur. w 1950 r., łotewski poeta i prozaik piszący po rosyjsku. Od 1985 r. mieszka w Rydze. Opublikował siedem tomików poetyckich. Jest także tłumaczem Ungarettiego, Eliota, Hemingwaya i Bukowskiego. Na jego monogramatyczny tom „kafka” składa się ponad 50 wierszy i miniatur prozatorskich inspirowanych życiem i twórczością Franza Kafki.

Władimir Jermotajew, **„kafka”**, przekład i postowie Zbigniew Dmitroca, PIW, Warszawa 2023

OŚŁOZENIE

34248365



„Pomogę ci odzyskać siebie. Prawdziwą, gotową do zaufania sobie i umiejacą budować dojrzałe relacje z innymi. Zdolną do podejmowania decyzji, które czynią cię pełnoprawną właścicielką własnego życia. Zdolną do przeżywania radości i miłości, ale i do radzenia sobie z trudnościami.

TATIANA MINDEWICZ-PUACZ
psychoterapeutka,
Mindset & Business Coach

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl



MIŁOŚĆ PODEJMUJE ZA NAS DECYZJE

Co wieczór w okolicach godziny 20 muszę przeżyć straszny ból

Z AKTOREM **MIROSŁAWEM BAKĄ***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Pół wieku po premierze „Chłopów” w reżyserii Jana Rybkowskiego półtra miliona widzów zapamięta nową twarz Macieja Boryny.

– Byłem zdziwiony, że będzie to właśnie moja twarz. Kiedy mi zaproponowano tę rolę, pomyślałem: Jak to, to już? Jestem „w tym wieku”?

Za tydzień ma pan urodziny
–No tak, sześćdziesiąte

Nie zdziwił się pan, że zagra w filmie poniekąd namalowanym?

– Nierzadko ludzie sobie wyobrażają, że nas sfotografowano, a potem jak Myszkę Miki wklejono w animowane sytuacje. Tymczasem my ten film rzetelnie, „po bożemu” zegraliśmy. Jedna z pierwszych i bardzo istotnych uwag reżyserskich na planie brzmiała, abyśmy – jak w każdym innym filmowym projekcie – skupili się na graniu postaci, relacji, uczuć, nie myśląc o tym, że będziemy pomalowani. Ale nie da się zaprzeczyć, że w chwilach, kiedy czulem, że udało mi się zagrać – zwłaszcza na zbliżeniu – jakąś istotną aktorską drobnostką, jakiś pozornie mało znaczący niuans, coś drobnego w moich oczach, w twarzy czy w dłoniach, zastanawiałem się, czy oni to tym pędzelkiem namalują. Namalowali.

Pejzaże i sceny zbiorowe oparte na malarstwie dodają tej wsi trochę idylliczności.

– Myślę, że ta wieś to jest momentami idylliczna, by wyrażniej wybrzmiało okrucieństwo jej małej społeczności. Na kolorowym tle ludowych strojów, urokliwej muzyki, pojawiają się sceny pełne okrucieństwa. W ludziach, którzy pięć minut wcześniej uśmiechają się do siebie, wybucha nienawiść, pogarda i złość. Przemoc napędza przemoc, od bójk, aż do znęcania się wiejskiej gromady nad Jagną.

Z poprzedniej ekranizacji zapamiętałam Władysława Hańcę i jego grubiańskiego bohatera, któremu pan przydał sporo wrażliwości. Wyczytał ją pan u Reymonta?

– Trochę wyczytałem, trochę przeczułem, na jeszcze większe „trochę” pozwoliłem sobie. „Chłopi”, podobnie jak większość dzieł literackich z listy lektur, stanowią najczęściej dla młodych ludzi materiał trudny do ogarnięcia. Owszem, trzeba starać się młodych ludzi uwrażliwiać, pokazując im piękno literatury, ale nie należy oczekiwać od nastolatka, choćby nie wiem jak wrażliwego, że w całej rozciągłości zrozumie i doceni złożoność i walory dzieła, jakim są na przykład „Chłopi”. Że wspomnę tu słynne Gombrowiczowskie: „Dlaczego Słowacki wielkim poetą był?”.

Wrażenie z lektury „Chłopów” pan pamięta?

– Prawdopodobnie mieściło się w średniej statystycznej, czyli: „co mnie obchodzi, co się na tej wsi działo?”, i „dlaczego muszę czytać te nudne i długie opisy?”. Liceum to czas, kiedy się żyje bujnie, szybko i mocno i nie marnuje się go na czytanie długich powieściowych akapitów, kiedy nic się nie dzieje. Dziś z lubością, ze zrozumieniem i z zachwytem mogłem przeczytać dzieło Reymonta na nowo. Dotyczy to zresztą wielu innych

wielkich dzieł naszej literatury. Doszedłem do tego po przeczytaniu setek najróżniejszych książek, zagranu ponad stu ról w teatrze i filmie, po spotkaniu wielu istotnych dla mnie ludzi. Rzekłbym nawet, że z każdą przeżytą dekadą te same książki czytałem i przeżywałem inaczej. A do „Chłopów” wróciłem po raz pierwszy przy okazji tego „zawodowego” odczytania na nowo.

Czym się różni od czytania bezinteresownego?

– Jest z pewnością bardziej wnikliwe. To wchodzenie w świat powieści na nowo, ale tym razem już z perspektywy postaci, którą mam grać. Patrzenie na Lipce oczami Macieja Boryny. Muszę bardzo uważnie przyjrzeć się innym bohaterom, całemu otoczeniu, po to, bym zakładając kostium i wchodząc na plan, wiedział, kim jestem, co się wokół mnie dzieje, kim są ludzie obok i jakie są moje relacje z nimi. Czyli wszystko, co jest ważne przy rzetelnym budowaniu roli. Zadaniem, które sobie założyłem, było poprowadzenie roli Boryny w taki sposób, by jego relacja z Jagną nie stała się czarno-biała. Że oto po jednej stronie opowieści mamy Jagnę, cudo wrażliwe, wspaniałe i bez skazy, a po drugiej Borynę, starego, obleśnego dziada, który chce ją przymusić do ślubu i wspólnego życia. Aktorskim wyzwaniem było dla mnie pokazanie tej jego niepowtarzalnej mieszanki stanowczości i wrażliwości.

**Przecież zdarzyć się może,
że największy bandzior
zasmarka się na widok głodnego
szczeniaka, który patrzy na niego
wielkimi oczami,
bo mu się wtedy w pamięci coś
odkleja z dzieciństwa**

Na piękno młodej kobiety i jej ciała? Bo właściwie dlaczego albo do czego Maciej potrzebował Jagny?

– Może miał nadzieję, że dożyje kresu życia z piękną dziewczyną, która się nim zaopiekuje? Nie znalazłem tej intencji napisanej wprost, raczej wyczytałem ją między wierszami. Szczególnie w trakcie scen wesela próbowałem ukazać Borynowe zachwycenie Jagną. Ale nie zachwyty z posiadanej zabawki, tylko wdzięczność wobec losu, że jemu się w życiu jeszcze coś takiego zdarzyło. Patrząc na nią, niczym w obrazek, widzi kobietę, która nie kojarzy mu się z prosiakami czy obrabianiem pola, tylko z pięknem i wrażliwością. Zapewnia ją zresztą, że robić w polu nie będzie musiała, bo on będzie robił za nią. I mam nadzieję, że udało mi się pokazać ból Macieja, kiedy zaczyna do niego docierać, że Jagna nie tylko go nie kocha, ale nawet nie lubi, a największym jego konkurentem jest jego własny syn.

Jednym słowem, kierował nim pragmatyzm, czyli szklanka wody podana na starość?

– Niech to będzie pragmatyzm, ale na pewno ładniejszy niż zimna kalkulacja. Nie chciałem, by motywacja

Boryny do ponownego ożenku skończyła się na jego rechocie, że ma młodą kobitkę, którą może złapać za pupę. Zawsze, bez względu na to, jakiegokolwiek zwyroła czy mordercę bym zagrał, szukam w swoich bohaterach człowieka. Staram się wydobyć iskrę bożą wpisaną w ecce homo, czyli dobro, coś nieskażonego, czystego, przyniesionego przez czas, życie i jego często ponure okoliczności. Przecież zdarzyć się może, że największy bandzior zasmarka się na widok głodnego, małego szczeniaka, który patrzy na niego wielkimi oczami, bo mu się wtedy w pamięci coś odkleja z dzieciństwa.

Dlatego z każdej postaci staram się wydobyć to, czego nie widać na pierwszy ani nawet na kolejny rzut oka. Chociaż mam wrażenie, że opowiadał te raz oczywistości.

Niekoniecznie, zważywszy, że przy okazji dogrzebuje się pan do siebie, tak?

– Nie da się tego inaczej zrobić.

Zawsze mnie ciekawiło, czy aktorstwo jest rodzajem terapii, co z kolei jest oczywistym pytaniem.

– Paradoks mojego zawodu polega na tym, że z jednej strony rozczytuję się w sobie, w człowieku, co ma znaczenie poznawcze i terapeutyczne, ale z drugiej strony to głębokie grzebanie w sobie nie jest przecież poszukiwaniem tylko jasnych stron. Muszę dokopać się do ciemności, by wywlec ją na zewnątrz i nią także oblepić rolę. Rzeźba z gliny. Pobrudzone ręce. Taka szczerość nie zawsze dobrze się kończy. I niekoniecznie jest terapeutyczna.

Bo dowiaduje się pan o sobie czegoś, czego nie chciałby wiedzieć?

– Wiedza nigdy nie jest zła. Mam na myśli rzeczywisty moment wywlekania na zewnątrz części „ja”, która tkwi gdzieś głęboko w bezpiecznej otulinie. Czuję się wtedy jakby odarty ze skóry, wszystko mnie bardziej boli, nie mam żadnej ochrony zewnętrznej. Wiwsekacja to nic miłego. Proszę sobie wyobrazić człowieka niemającego nic wspólnego z aktorstwem, którego sadza się przed kamerą i każe mu się mówić o swojej intymności.

Wy mówicie wprawdzie o swojej intymności, ale chowacie się za bohaterów.

– Co to znaczy, że ja się chowam?

„Nie cierpię naprawdę, tylko gram cierpienie”?

– Nonsens. Nie mogę się posiłkować wyłącznie formą, bo wtedy w mojej postaci nie będzie wnętrza. Mam mimiką twarzy budować jej wzruszenie? To jest formalne. Puste. Jeśli nie będę czuł bólu psychicznego czy wyobrazonego fizycznego, to nikt mi nie uwierzy. Słyszała pani na pewno, że jeśli będzie się uśmiechać, bez względu na okoliczności, to uda się pani oszukać mózg. Wydzielił się w naszym organizmie substancje odpowiedzialne za dobry nastrój już tylko pod wpływem impulsu płynącego od kurczących się mięśni twarzy. To działa w dwie strony. Jeśli co wieczór mam iść do teatru, stanąć przed widzem i zagrać niesłyszany ból ojca, który stracił dziecko, a widz ma mi uwierzyć, to mój organizm musi cierpieć. A to cierpienie to nie tylko lzy płynące z oczu, ale też skurcz żołądka. Dygot. Nie tylko zresztą.

FOT. WOJCIECH HABDAS / AGENCJA WYBORCZA.PL



Aż tak?

– Aktor powinien wierzyć w to, co gra. Nie powinien udawać, oszukiwać, kłamać, tylko czuć. Podając za przykład teatr, przywołuję skrajności, bo na planie filmowym mogę się doprowadzić do każdego stanu, zrobić jeden, dwa, góra trzy duble i wyjść z trudnej sceny. A w teatrze gram przez tydzień Hamleta, Ryszarda III czy Willy’ego Lomana i co wieczór w okolicach godziny 20 muszę przeżyć straszny ból, który nie jest udawany.

Wydawało mi się anegdotyczne, że w trakcie spektaklu „Ryszard III” powiedział pan publiczności: „Dłużej już nie mogę” i zemdlął...

– Ale publiczność myślała, że tak miało być, i zaczęła bić brawo...

...a na planie „Krótkiego filmu o zabijaniu” przez kilka czy kilkanaście sekund wisiał pan naprawdę na szubienicy...

– Miałem stać na koniuszkach palców, co było precyzyjnie wyliczone, ale facet, który kręcił korbą napinającą linę, dołożył od siebie dwa obroty. Na szczęście kierownik planu zorientował się, że wiszę naprawdę, chwycił mnie wpół i uniósł do góry. A Kieślowski z operatorem zajęci już byli analizowaniem ujęcia i nawet tego nie zauważyli.

Po tym, co pan mówi, ta anegdota trochę traci, bo staje się opowieścią o kosztach pracy.

– Kiedy wracam do domu po trudnym spektaklu, moja żona nigdy nie mówi, bym się położył spać, bo wie, że zanim adrenalina w organizmie się uspokoi, musi minąć pewien czas. Nie dziwi jej, że zostaję w gabinecie i czytam do późna. Ale przynajmniej nie udaję, nie wychodzę po spektaklu i nie zapalam papierosa albo gadam przez telefon. Nie potrafię tego, co przeżywam, precyzyjnie zdefiniować. Dlatego pewnie nigdy nie uczyłem i nie będę uczył aktorstwa.

Dlaczego? Jest pan gawędziarzem.

– Może, ale studentom trzeba powiedzieć, wytłumaczyć, wskazać drogę, nauczyć, a nie gawędzić. Dać receptę. A ja nie mam żyłki pedagogicznej i nie jestem nawet pewien, czy i pani potrafię wytłumaczyć.

Ale właściwie po co to panu było?

– Co? Aktorstwo?

Tak. Chłopakowi z Ostrowca Świętokrzyskiego.

– Jestem dość wstydliwym człowiekiem i wybrałem zawód, by mój wstyd, moją nieśmiałość jakoś pokonać, obejść i ukryć.

Udało się?

– Nie jestem pewny.

Odkrywana wiejskość, która przez długie lata kojarzyła się z gorszością i wstydem pochodzenia, patriarchat, którego ofiarą jest Jagna, trudne relacje ojca i syna to doświadczenia, do których się pan musiał dogrzebywać czy raczej był i jest ich świadom.

– Odziedziczyłem wstyd, ale czy ja wiem, czy on jest chłopski? Moi dziadkowie i pradziadkowie po kądzieli pochodzili z sandomierskich wsi. To Polska nadwiślańska, lessowa, swojska i piękna. Ale ja urodziłem się w mieście. Miałem ciocię w Warszawie i byłem szczęśliwy, kiedy do niej jechałem w odwiedziny, choć znacznie częściej jeździłem na wieś pod Klimontów, a wtedy już tak szczęśliwy nie byłem. Czy ta różnica brała się ze wstydu czy z nudy, to nie wiem. Oczywiście ludzie nadal nie szczycą się tym, że wychowali się w jakimś Pimpowie, a z dumą opowiadają, że są z Warszawy czy z Krakowa, ale nie przypominam sobie, bym miał z tym problemy.

Na studiach w Warszawie też nie?

– Na jednych z pierwszych zajęć Andrzej Łapicki, który był naszym opiekunem roku, zapytał nas, młodzia-

***Mirosław Baka**

• Urodził się 15 grudnia 1963 roku w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów filmowych i teatralnych. Jeszcze w czasie studiów zagrał główną rolę w „Krótkim filmie o zabijaniu” Krzysztofa Kieślowskiego. Od tamtej pory zagrał w kilkudziesięciu filmach, między innymi u Andrzeja Wajdy. Waldemara Krzystka i Władysława Pasikowskiego. Ostatnio można go było oglądać w „Chłopach” i serialu „Belfer”. Zawodowo związany z Teatrem Wybrzeże. Mieszka w Gdańsku, w stuletnim domu. Jest mężem Joanny Kreft-Baki. Mają dwóch synów i wnuka

Mam nadzieję, że udało mi się pokazać ból Macieja, kiedy zaczyna do niego docierać, że Jagna nie tylko go nie kocha, ale nawet nie lubi



FOT. NEXT FILM

ków, którzy właśnie dostali się do szkoły, na czym ostatnio byliśmy w teatrze. Koledzy z Warszawy opowiadali o niedawnych premierach, a kiedy przyszła kolej na mnie, powiedziałem, że byłem na „Dekameronie” Hanuszkiewicza. Wszyscy spojrzeli na mnie ze zdziwieniem, bo ten spektakl pojawił się na scenie kilka lat wcześniej, a Łapicki doprecyzował, że pyta, na czym byłem ostatnio. Powiedziałem: żeby było jasne, byłem dwa razy w życiu w teatrze, raz na wycieczce w Krakowie na „Locie nad kukulczym gniazdem”, a drugi raz na „Dekameronie” w Narodowym i bardzo mi się to podobało.

Wydaje się odważne.

– To był nie tyle akt odwagi, chociaż może w środku bulgotałem, ile raczej złość, że, kurwa, co?! Dostałem się tak samo jak wy, chociaż nie było mi dane mieszkać blisko teatru. Więc może nie chłopski wstyd, tylko chłopska duma się we mnie odezwała? Ta wypowiedź była dla mnie ważna i oczyszczająca, bo nie kłamałem i nie zmyślałem, tylko powiedziałem, kim jestem. Ostrowiakom. A mój prapradziadek, dziadek i ojciec pracowali w hucie.

A prababki, babki i mama?

– Pyta pani o patriariat? Nie znam z domu. Rodzice to najzwyczajniejsze socjalistyczne małżeństwo w małym mieście. Mama pracowała w kiosku, a ojciec w hucie, oboje długo i ciężko. Wychowywałem się u rodziców mamy, ale i tam ani dziadek Józef nie siedział u szczytu stołu, obwieszczając, co zrobić należy, a czego nie należy, ani kobiety się go nie bały, a już moja babcia Zosia to w ogóle.

Dziadek nie miał nóg, był kaleką wojennym, zajmował się w domu szewstwem. Zrobił mi pierwsze w życiu buciki i uszył wszystkie dziecięce trzewiki.

Złota rączka. Skonstruował sobie wózek do jeżdżenia po domu, ale do kościoła chodził w protezach. Kilometr w jedną stronę, tydzień w tydzień. Nie mógł pójść do pracy, dlatego do pracy chodziła babcia, a „dzia-ju” w tym czasie gotował obiad. Przybijaniem gwoździ do ściany też zajmowała się babcia i być może czuł, że skoro kobieta zajmuje się męskimi sprawami, to on nie może strzelić pięścią w stół. Był dla mnie wzorem spokoju i stanowczości. Nie pamiętam, by podniósł głos. Jego autorytet wynikał z jego

dobroci i łagodności. Domy babci i dziadka, ale i prababci Marianny i pradziadka Rocha były domami pełnymi miłości i ja jako jedyny w tamtym czasie wnuczek nigdy na jej brak nie narzekałem.

Ma pan ich zdjęcie w telefonie?

– Właśnie szukam, by pani pokazać. To reпрintry ze starych fotografii. Proszę: pod jabłonką dziadek i ja, a tu ćmi cygarety, i jego córki – moja mama i ciotka. Józef miał dar rozmawiania z dziećmi, mieliśmy swoje szeptańskie na ucho tajemnice i swoje radości. Wiedział, jaką zabawkę mi wystrugać, jak bawić się ze mną w chowanego, jak mnie rozśmieszać i jakie bajki mi opowiadać. Wystrugał mi ciężarówkę i oczywiście karabin. Na ostatnim piętrze w klatce, gdzie mieszkali dziadkowie, mieszkał chłopiec, któremu rodzice przywozili z Zachodu zabawki, o jakich dzieci w Polsce mogły tylko pomarzyć. I on ciągle chciał się ze mną zamieniać.

Zamienialiście się?

– Nie, bo wiedziałem, że dziadkowi byłoby przykro. Poza tym robiliśmy te zabawki razem. Siedziałem obok niego, dostawałem papierek ścierny albo klej i wspólnie pracowaliśmy. Może przez ten wspólny czas tak bardzo się z nim żyłem i tak bardzo go pokochałem. Babcia Zosia była miłą i kochaną, ale jak biegałem do dziadków, to najpierw jemu rzucałem się na szyję.

Co pan ma z niego?

– Moja żona często mówi, że kiedy mnie poznała, to uderzył ją mój wewnętrzny spokój. Możliwe, że go w swoim życiu traciłem, ale dziś, kiedy zaczynam powoli wyhamowywać, czyli upraszczać życie, czuję, że ten spokój dziadka jest we mnie. Czasami zdarzały mi się chwile słabości, kiedy mówiłem, że ja ciężko pracuję i dlatego będzie tak i tak, ale bardzo szybko za nie przeproszałem, bo czułem, że to błazeństwo jest. Zachowanie vice versa też byłoby błazeństwem, bo w związku próba dominacji jednej ze stron jest niczym dobrym. Najbliższej nam z Joaszką do określenia „związek partnerski”.

Józefową wiarę też pan ma?

– Istotną częścią mojego życia była kiedyś wiara katolicka, ale teraz odczuwam niesmak i niechęć, kiedy myślę o Kościele i jego soju-

szu z PiS-em. Ale harcerzem wciąż się czuję, mimo że od studiów nie włożyłem munduru.

„Czystość i prawość to nasza broń./ Zawsze gotowi, gdy się wydarzy./ podać bliźniemu pomocną dłoń”, tak to szło w hymnie?

– Mniej więcej, dopóki nie dodali socjalistycznych wtrętów i biało-czerwonych krajków. Ale wątpię, czy jakkolwiek harcerz przejmował się ideologią socjalistyczną. Harcerstwo to była przygoda. I zabawa. I fajni ludzie.

Chłopaków swoich pan w nie wciągnął?

– W nic nie chciałem ich wciągać oprócz aktywności w ogóle. Sami sobie wybierali, w co chcieli się wciągnąć.

Ucząc się ojcostwa, miał pan wdrukowanego dziadka czy ojca?

– Wychowując moich chłopców, starałem się nie myśleć o konfliktach z ojcem, które zaczęły się dosyć wcześnie. Pilnowałem się, by nie powielać jego błędów, tylko zachowywać się jak dziadek, czyli siłą spokoju. Rzecz by można, że rzadko mi się to udawało. Dorastanie synów przypadło na okres mojego bardzo intensywnego życia zawodowego, ciężkich i dużych ról w teatrze i w filmie, a mówiliśmy już o tym, że ten zawód mocno demoluje człowieka. Nie znam aktorów, którzy by byli oazami spokoju, zwykle są potargani psychicznie.

Pił pan?

– Nie żeby to było jakoś niebezpieczne.

Więc czego pan z ojca nie chciał powie-

lać? – Ojciec miał wypadek samochodowy. Spędził pół roku w szpitalu, na wyciągach, co go zdemolowało psychicznie. Stał się upierdliwym człowiekiem, bez chęci zrozumienia mnie i moich problemów. Chciał być ojcem, który rządzi i zrządzi, przez co stał się nie do zniesienia. Miałem chyba 13 lat, gdy wszedł do mnie do pokoju, z pretensjami oczywiście, a ja rzuciłem w niego jakimś przedmiotem i wykrzyczałem, że go nienawidzę.

Też mi się to zdarzyło i prawdopodobnie wielu innym nastolatkom.

– Ale ja się zaważałem i przez dwa lata z nim nie rozmawiałem. Mama też miała dość. Miałem 16 lat, kiedy się rozeszli. Założył drugą rodzinę. O, a tu jest zdjęcie domu, w którym się urodziłem. Nad rzeczką.

Czemu go pan nie kupi?

– Bo został zapisany synowi mojego ojca. Nie znam go.

Nie ma pan z ojcem kontaktu?

– Nawet nie wiem, czy żyje, czy nie żyje. Jakby zginął w tamtym wypadku, to zachowałbym całkiem fajne wspomnienia z dzieciństwa zamiast tego wszystkiego, co było potem.

Ślub?

– Zaprosiłem go. Nie przyjechał. Przysłał list pełen pretensji czy pouczeń. Nie pamiętam.

Wyrwa?

– Wyrwa.

Boli?

– Są takie rany, które się długo goją, ale jak się zagoją, to już nie czuje się nic.

Jeśli to jest pociecha, to ustaliliśmy, że rany w pana zawodzie mają swoje plusy.

– Tak ustaliliśmy.

Swoją drogą za pierwszym podejściem do niego wylali pana z Akademii Teatralnej. Dlaczego?

– Nie wiem. Nikt mi nie powiedział dlaczego.

Zdaje mi się, że paradoksalnie dopiero wtedy pan dojrzał do aktorstwa.

– Byłem sanitariuszem w pogotowiu ratunkowym, bo w ten sposób mogłem odroczyć służbę wojskową, i tam zaznałem życia prawdziwszego niż to znane mi z książek czy z filmów. Utkwiły mi w pamięci dwa zdarzenia. Wzięliśmy do porodu rodzącą kobietę. Na szczęście nie urodziła w karetce, a ściślej mówiąc – w polskim fiacie 125p. Byłem przejęty, że będę musiał odbierać poród, o czym niewiele wiedziałem. Byliśmy sanitariuszami od dawania zastrzyków, pierwszej pomocy, ale, na Boga, nie od odbierania porodów, chociaż pewnie z pomocą kierowcy musielibyśmy to zrobić. Przez całą drogę bałem się, że to się może zdarzyć, a ja nie będę umiał pomóc. Zaczęła rodzić na izbie przyjęć.

Co pana wzruszało?

– Nowe życie, które pojawiło się na świecie. Czekaliśmy z kierowcą, aż się urodzi, bo czuliśmy odpowiedzialność za nie i za jego mamę. I dopiero kiedy dowiedzieliśmy się, że urodził się zdrowy chłopczyk, poczuliliśmy, że nasza misja tej nocy się skończyła.

Druga sytuacja była odwrotnością pierwszej. Pojechaliśmy do chłopca chorego na białaczkę. Na wieś, kilkanaście kilometrów od Ostrowca. Trzeba go było zawieźć bardzo szybko do szpitala, ale jego ojca nie było, pil gdzieś, a matka miała na głowie gromadę dzieci. Popatrzyła na nas z rozpaczą i powiedziała, że nie może ich zostawić, i prosi, byśmy go sami zabrali. Z tyłu karetki były nosze, on na nich, ja obok na krzeselku. Wziął mnie za rękę i ścisnął do samego szpitala. Dowiedzieliśmy go, ale umarł na izbie przyjęć. Byłem ostatnią osobą, którą trzymał za rękę.

...
– Przez miesiąc czulem zapach tego chłopca. Nie mogłem się go pozbyć. Męczyłem się, przez długi czas śniła mi się ta historia.

Czuł pan w tej karetce strach? Zakłopotanie?

– Jezu, pani używa takich prostych słów, które na pewno nigdy nie opiszą tego, co człowiek całym sobą czuje w takiej chwili. Gdyby ktoś mnie wtedy spytał, co czujesz, tobym powiedział: no kurwa, nie wiem, co czuję. Słowa są śmiesznie nijakie i nawet po latach nie wiem, jakich użyć, by tamto zdefiniować. Szymborska by umiała. Albo Różewicz.

Na pierwszym roku studiów we Wrocławiu profesor kazał nam przygotować etiudę pod tytułem „Śmierć”. Powiedziałem, że bardzo mi przykro, ale tego nie zrobię. Pamiętałem tego chłopca i nie umiałem przełożyć tego, co czuję, na jakikolwiek środek wyrazu aktorskiego, czyli wymyślić etiudę. To było zbyt świeże dla mnie, a ja nie wiedziałem jeszcze o aktorstwie nic. Odmówiłem.

Ten chłopczyk wciąż jest z panem.

– Jest. Z perspektywy czasu stał się rozmazanym, pastelowym wspomnieniem. Kiedyś nie mogłem o nim spokojnie mówić. Miałem lzy w oczach, nie dało się.

Szczęście łatwiej sobie wyobrazić czy opisać niż ogrom nieszczęścia. Zwłaszcza jeśli się tego nieszczęścia nie zaznało i nie widziało, to można je sobie przekładać tylko na płacz i lzy. Ale żeby naprawdę głęboko poczuć prawdziwy, dogłębny ból, to jednak trochę trzeba przeżyć. Dla kogoś, kto miał szczęśliwe dzieciństwo, skończył wspaniałe liceum, odbył studia, nauczył się trochę o poezji i tak dalej, to trudne, a wręcz do końca niemożliwe. Tego się z książek nie dowiemy. Mówi się, że aktorstwo to zbiór doświadczeń życiowych, nie da się go nauczyć.

A jak pan trzymał swoich chłopców pierwszy raz w życiu na rękach, to co pan czuł?

– To jest moment jasności. To jest siła. Delikatność. Radość. Szczęście. Wyleciały ze mnie teraz rzeczowniki, bo w tej jasności jest dużo przestrzeni i można w niej wiele zmieścić. Ale jeśli dotyka mnie coś złego, to robi się we mnie czarna bryła błota, która nie wiadomo co mieści. Bo ciemno jest i nie widać niczego.

A propos – idzie jasność, co?

– Profesor Bardini mówił, że jeśli mężczyzna po 55. roku życia budzi się i go nic nie boli, to znaczy, że nie żyje, a ja jestem o pięć lat do przodu. Wczoraj grałem w Warszawie „Edukując Ritę”, który jest spektaklem ciężkim pod względem fizycznym, i dziś obudziłem się z bolącym kręgosłupem. Ale pomyślałem sobie: „Nie ma PiS-u”. I łatwiej mi się wstaje, bo znowu chce się żyć.

Nawiązując do pana prywatnej definicji, pańska recepta na uprawianie aktorstwa wciąż jest z Gustawa Holoubka czy z Ta-deusza Łomnickiego?

– Dziesięć lat temu ją wymyśliłem i nic się w tej materii nie zmieniło. Jestem i zostanę

z Holoubka. W moim długim życiu aktorskim mogłem sobie pozwolić, czy to przed kamerą, czy to na scenie, na różne eksperymenty aktorskie i dwa czy trzy razy zabawiłem się w Łomnickiego.

Co to znaczy?

– Podkręcam potencjometr formy, kiedy nie mam do przekazania dużo treści. Pobawiłem się tak w „Balkonie” Geneta czy gościnnie w filmie u Filipa Zylbera, który nie był jeszcze emitowany, gdzie wymyśliłam sobie postać totalnie innego faceta niż ja. Natomiast większość ról, które są mi powierzane, bazuje bardzo mocno na treści, co powoduje, że nie muszę ich doginać formą. I to jest holoubkowski. Holoubek wszędzie był Holoubkiem, tylko trochę inaczej ubranym. O mnie też mówią, że „wszędzie jesteś Baką, tylko w trochę innych okolicznościach”. A Łom wychodził zawsze od formy.

Znał ich pan?

– Holoubek mnie uczył wiersza w Akademii Teatralnej w Warszawie, a z Łomnickim spędziłem sporo czasu. Graliśmy w niemieckim filmie, w Berlinie Zachodnim i jak to zwykle bywa na planie, gadaliśmy godzinami, a właściwie to on monologował, a ja słuchałem i zapamiętywałem.

Czy teraz pan jest mistrzem dla młodych aktorów?

– Nie wiem.

Gwiazdą?

– Parokroć mówiłem, że nie jestem gwiazdą, tylko jestem aktorem. W Polsce bardzo jest łatwo zostać gwiazdą, ale znacznie trudniej jest nią pozostać. Co rusz objawiają się w mediach nowe gwiazdy, tylko nikt ich w środowisku aktorskim nie zna.

Jestem i zostanę z Holoubka. W moim długim życiu aktorskim dwa czy trzy razy zabawiłem się w Łomnickiego

Odciskał pan swoje dłonie w Alei Gwiazd w Międzyzdrojach czy nie?

– Nawet dwa razy odciskałem. Zanim festiwal przeniesiono do Międzyzdrojów, to odciskałem w Gdańsku, obok filharmonii.

Sam pan widzi, że nie ucieknie od gwiazdorstwa. Swoją drogą, co pan myślał o sobie, kiedy po „Krótkim filmie o zabijaniu” i owacjach w Cannes musiał pan jechać do roboty na wykopki?

– Nie miałem czasu na manię wielkości. Myślałem o tym, że jestem odpowiedzialny za rodzinę, i stresowałem się, że nie jestem w stanie zapewnić nam spokojnego finansowo życia. Pensje w teatrze były niewielkie, przędliśmy tak cienko, że Joaśka zasugerowała, że muszę pójść do dodatkowej pracy. Przeczytałem ogłoszenie w Głosie Wybrzeża i w desperacji pojechałem na wykopki. Byłem umęczony fizycznie, bolał mnie kręgosłup i zastanawiałem się, jak ja tej ciężkiej robocie na dłuższą me-

tę podolać. Ale dostałem propozycję filmową i wiedziałem, że możemy pożyczyć na kredyt.

Pewnie od rodziców?

– Pewnie tak, nie pamiętam, to było ponad 30 lat temu.

Jak to możliwe, że nie dostawał pan w Polsce propozycji filmowych?

– Na finiszu PRL-u rodzima branża filmowa funkcjonowała w sposób pokrętny i odmienny niż na świecie. Tam, jeśli ktoś zagrał rolę, która spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem widzów i krytyki, natychmiast konstruowało się pod niego scenariusze i kolejne filmy. U nas niekoniecznie. Proszę sobie przypomnieć syn-drom Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, która była objawieniem w Cannes i pierwszą polską aktorką nagrodzoną Złotą Palmą, która wróciła do Polski i nie miała żadnej propozycji.

Może zawiść? Tyle się o niej w waszym środowisku nasłuchiwałem.

– Bardzo możliwe. Ale nie jestem pewny, czy to dotyczy tylko mojej branży. To raczej psie ogrodnictwo polskie, że jeśli komuś się coś udało, to natychmiast trzeba go sprowadzić do pionu. I mnie bardzo szybko rzeczywistość postawiła do pionu. Słyszałem od reżyserów, że daliby mi rolę, ale mają obawę, że za bardzo kojarzę się z „Dekalogiem” Kieślowskiego.

Poza tym nigdy o rolę specjalnie nie zabiegałem, nie przekonywałem reżyserów, że ja to im fajnie zagram, bo uważałem, że jeśli ktoś chce mi powierzyć rolę, to mi powierzy, a jeśli nie chce, to słabe wydawałyby mi się moje zapewnienia, że świetnie ją zagram.

Ego?

– Czy ja wiem? Nie myślałem, że ja to się na pewno nigdy do proponowania siebie nie zniżę. Nie wiedziałem, czy nie znajdę się w takiej sytuacji życiowej, że będę zmuszony to zrobić, tym bardziej że na początku życie mnie trochę postraszyło. Kiedy jechałem na te wykopki, byłem w strachu, że nie będę miał pracy, a tu dziecko i rodzina, ale w połowie lat 90. za-uważylem prawidłowość, że jak jest już bardzo źle, to na pewno przyjdzie jakaś propozycja, czy to z Polski, czy z zagranicy. I nie należy się martwić.

Jak sobie pan to tłumaczy?

– W ogóle sobie nie tłumaczę, bo się nie da, tylko cieszę się, że tak było. Taki los po prostu i takie zbiegi okoliczności. Raz jest lepiej, raz gorzej, co nauczyło mnie, żeby nie dać się udupić jakiemuś pesymizmowi czy fatalizmowi i nie myśleć, że mnie się nic nie udaje. Na szczęście zawsze miałem teatr, który pokochałem i któremu jestem wierny. Zapewniał mi ciągłość pracy i rozwoju aktorskiego, za co jestem bardzo wdzięczny.

Teatr Wybrzeże jest pierwszą sceną, na którą pan trafił po studiach. Nie obawiał się pan przyjechać na ziemię dla siebie nieznane?

– Kiedy człowiek się zakocha, to wyłącza mu się niepokój czy strach. I miłość podejmuje za nas decyzję. Przyjechałem do Gdańska za miłością. Musiałem być przy Joannie, bo gdzie indziej nie umiałbym się poukładać sam ze sobą.

Pana żona po studiach też dostała tu pracę.

– Dostałem ją dzięki niej. Joanna pisała pracę magisterską o Krzysztofie Babickim, który był reżyserem w Teatrze Wybrzeże. Przy okazji zbierania materiałów spotkała się z dyrek-

torem Staszkiem Michalskim, który zaproponował jej pracę. Ucieszyła się, bo jest z Gdańska. A potem się zakochała w pewnym facecie z Kieleckiego i kiedy kończyliśmy szkołę, to przyprowadziła mnie za rękę do dyrektora Michalskiego i powiedziała: niech pan dziecku ojca nie odbiera.

Mieliście studenckie dziecko?

– Miało się urodzić w październiku, a sezon teatralny zaczyna się od września. Szczęśliwie w marcu była premiera „Krótkiego filmu o zabijaniu”, w maju byłem już na festiwalu w Cannes, dlatego dyrektor bez żalu, a wręcz z zadowoleniem zdecydował się mnie przyjąć i nie pozbawiać dziecka ojca. I na wejściu dostałem główną rolę, co było dla mnie szczytem szczęścia, mogłem od razu zacząć istotną pracę z takimi tuzami jak Joanna Bogacka czy Halina Winiarska.

Czyli pan pracował, a żona siedziała z dzieckiem?

– Tak, ale bardzo szybko wróciła do pracy. Pomagali nam rodzice mojej żony, mieszkaliśmy u nich kątem w małym M3, ale kiedy się okazało, że nie bardzo mamy się gdzie podziąć, bo ile można rodzicom na głowie siedzieć, ponownie poszliśmy do Staszka Michalskiego. Zaprowadził nas do gotyckiej kamienicy przy teatrze, wspieiliśmy się po starych, skrzypiących, zabrudzonych schodach na poddasze, gdzie leżało pełno starych wykładzin ze sceny w teatrze, i powiedział, że jak sobie to zaadaptujemy, to możemy tam mieszkać.

Ale fajny człowiek.

– Cudowny człowiek. I myśmy sobie ten strzysek zaadaptowali. Co prawda łóżeczko niespełna rocznego Łukasza stało w kuchni, bo mieliśmy tylko dwa pomieszczenia, ale bardzo to mieszkanie lubiliśmy. Po roku dostaliśmy spółdzielcze w bloku, a w teatralnym mieszkanku zatrzymywali się potem reżyserzy pracujący w Wybrzeżu.

Teraz rozumiem tym bardziej pana lojalność wobec teatru.

– Miałem propozycję zmiany teatrów, ale nigdy z nich nie skorzystałem. Lojalność to jedno, ale nie chciałem przereżyserowywać swojego życia.

Skoro oboje z żoną zmagacie się zawodowo z mrokiem, jaki w was jest, to jak sobie z nim radzicie, by nie zakłócał waszej codzienności?

– Związek dwojga ludzi jest jak linie papilarne. Każda para spotyka się inaczej i każda ma swoje recepty na odreagowanie, na odpoczynek, na miłość, na opiekuńczość. Nie chce podawać, jak to jest u nas, bo powiem, że tak, a w przyszłym tygodniu będzie inaczej. Poza tym to już jest sprawa nas obojga, jak sobie pomagamy i jak sobie radzimy. Nie będę pokazywał publicznie swojego życia, bo nie jestem człowiekiem, który wpuszcza ekipę filmową czy dziennikarzy do domu.

Dlaczego właściwie? To przysparza podobno popularności.

– Bo to jest mój dom, moja prywatność, do której zapraszam ludzi, których sam wybiore. Znajomi i przyjaciele mają prawo zobaczyć zdjęcia mojej rodziny na ścianach czy książki, jakie mam na regałach. Ja chcę mieć coś swojego, nie chcę, by wszystko, co jest moje, było i wasze. Wiem, że nastąpiła epoka Facebooka, Insta i tak dalej, ale ja ich nie mam. Przecież nie będę fotografować i wrzucać na social media ciastka, które teraz jemy. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iodi@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażewska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Autorką wielu haseł jest **Agata Piasecka**

„Dwie drogi w żółtym lesie szły w dwie różne strony:
Żalując, że się nie da jechać dwiema naraz
I być jednym podróżnym, stałem, zapatrzony
W głęb pierwszej z dróg, aż po jej zakręt oddalony,
Gdzie widok niknął w gęstych krzakach i konarach;

Po wielu latach, z twarzą przez zmarszczki zoraną,
Opowiem to, z westchnieniem i mglistym morałem:
Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano
Dwie drogi: pojechałem tą mniej uczęszczaną –
Reszta wzięła się z tego, że to ja wybrałem”.

To „Droga nie wybrana” („The Road Not Taken”) Roberta Frosta w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka, a właściwie pierwsza i ostatnia strofa tego wiersza. Mój ukochanego wiersza, do którego wracam często lub częściej jeszcze, który mogę czytać niemal w nieskończoność.

Wy też, o czym jestem przekonany, macie takie wiersze, które do Was pasują, które Was określają, które wreszcie towarzyszą Wam w życiu w różnych momentach, tak jak mnie towarzyszy owa Frostowa „Droga...”.

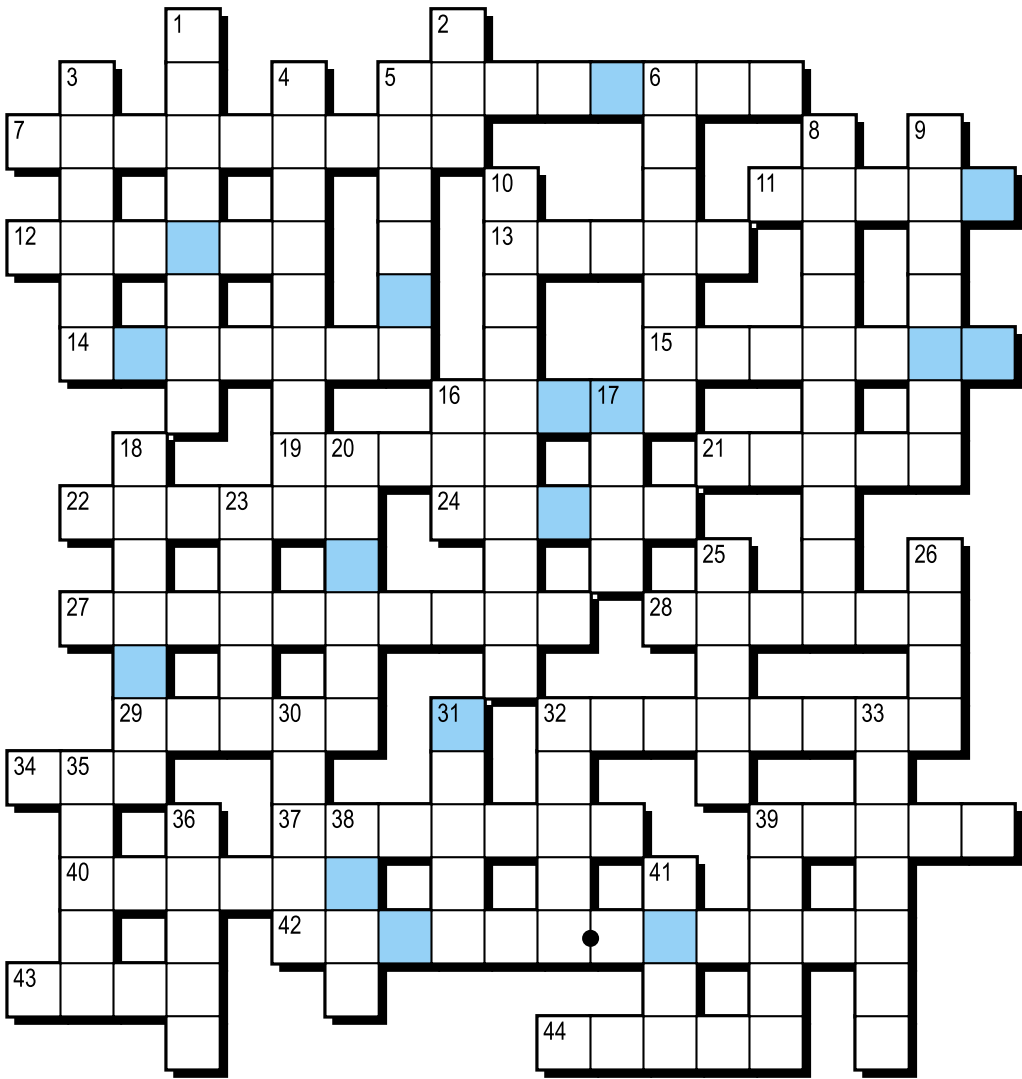
Światowy Dzień Poezji ustanowiony został w 1999 roku przez UNESCO i jest obchodzony 21 marca. Wcześniej celebrowano go 15 października, w dzień urodzin Wergiliusza (70 r. p.n.e.), rzymskiego poety, którego Dante określił mianem „poety najwyższego” (tak nazwał go w „Boskiej komedii”, w której Wergiliusz był przewodnikiem autora po piekle).

Ale my krzyżówkę poświęconą poezji proponujemy Wam dziś, 9 grudnia, tuż po rocznicy urodzin innego starożytnego czarodzieja słowa, Horacego. Ten żył zresztą w czasach Wergilego, obaj cieszyli się przyjaźnią i wsparciem Mecenaśa, obaj pozostawili po sobie wspaniałe dzieła. Bo, jak mawiał John Keats, romantyk, którego Anglicy nazywali poetą poetów, „poezja świata jest nieśmiertelna”.

Zapraszamy więc do krzyżówki poetyckiej, a o pomoc w jej ułożeniu poprosiliśmy Agatę Piasecką, dziennikarkę i redaktorkę „Gazety Wyborczej”, która sama wiersze pisała, a jest osobiście wielbicielką talentów Jacka Podsiadły, Franka O'Hary i Sylwii Plath.

Niech żyje poezja! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 80 z 2.12:

Poziamo:

- 1) Joe 6) Calamity
9) Komanczowie
10) Silverado 11) Missouri
12) John Wayne 13) Earp
14) Dalton 16) Garrett
19) Alamo 20) rancho
22) hodowca 23) Cassidy
26) western 27) Indianie
28) Luke 30) Równiny
31) Kasia 33) Gary
37) Howard 39) Yuma
40) preria 41) Apache
42) Shatterhand

Pionowo:

- 1) Marvin 2) sierżant
3) James 4) Ennio Morricone
5) pionier 7) Arizona 8) Rio
Bravo 9) komedia 15) Leone
16) Gun Hill 17) rewolwery
18) Tarantino 21) Cisca
24) Dziką banda 25) Bronson
29) USA 32) szuler 34) Rzeka
35) napad 36) Bale 38) Dean
40) pas
HASŁO:
CLINT EASTWOOD

POETYCKA

Hasła Agaty Piaseckiej oznaczono inicjałami (A.P.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 5)** wielkim poetą był!
7) Jacek, autor zbiorów wierszy „Przez sen”, „Podwójne wahadło”
11) drugie imię autora „Elegii o... (chłopcu polskim)”
12) Duch i..., w „Fortepianie Chopina” Norwida
13) Thomas, irlandzki poeta
14) poetka, autorka tekstów piosenek m.in. Maryli Rodowicz (A.P.)
15) autor „W malinowym chruśniaku” (A.P.)

- 16)** Lucjan, pierwowzór postaci Pana Młodego w „Weselu”
19) Adam, używał pseudonimów Jan Stożek, El...y
21) Andrzej, autor poematu „Luiza”
22) Ewa, napisała „Czytnik linii papilarnych”, „Miłość w trybie awaryjnym”
24) Pawlikowska-Jasnorzeńska lub Konopnicka
27) Włodzimierz, napisał poemat „Obłok w spodniach”
28) imię Hemara
29) Jonasz („Jego portret”, „Song o ciszy”)
32) Edward, który wiedział, że „Wszystko jest poezją”
34) do rąk (Poświatowska), do wąsów (Kniaźnin), do turpistów (Przyboś)

- 37)** Danuta, poetka, autorka literatury dziecięcej
39) opisał epickie przygody Odyseusza (A.P.)
40) polski poeta romantyczny, zmarł zapomniany w przytułku (A.P.)
42) poetka okresu Młodej Polski, używała pseudonimu Iwo Płomieńczyk
43) Ludwik Jerzy...
44) Antoni (zm. w 1929 r.), poeta i tłumacz

Pionowo:

- 1)** Siergiej, autor cyklu wierszy „Moskwa karczemna”
2) „Kwiaty ...” Charles’a Baudelaire’a (wpisujemy w mianownik)
3) „Pan... obserwuje w lustrze swoją twarz” (Herbert)
4) Stanisław, poeta i tłumacz („Chirurgiczna precyzja”)

- 5)** dzieło Tadeusza Boya-Żeleńskiego
6) Lewis, autor „Wyprawy na zmiłacza”
8) polski bard, autor „Murów” (A.P.)
9) imię jedynej polskiej poetki noblistki
10) narodowość Sylwii Plath (A.P.)
16) męski albo żeński
17) imię Zegadłowicza
18) inaczej autorka powieści (A.P.)
20) starogrecka poetka z wyspy Lesbos
23) Leopold, napisał „Sonet szalony”
25) Tadeusz z pokolenia Kolumbów
26) Achmatowa lub Kamieńska
30) napisał „Kwiaty polskie”, „Bał w operze”

- 31)** ...Brontë, angielska poetka i pisarka, autorka „Wichrowych wzgórz” (A.P.)
32) Przecław, szlachcic, któremu przypisuje się autorstwo wiersza „O zachowaniu się przy stole” – pierwszego podpisanego dzieła w języku polskim
33) enfant terrible francuskiej poezji, napisał „Statek pijany” (A.P.)
35) wędruje po piekle, czyściu i raju (A.P.)
36) utwory kojarzące się z Urszulą Kochanowską
38) Ważyk, Mickiewicz lub Zagajewski
39) Herman, niemiecki prozaik i poeta
41) ...Ashbery, jeden z przedstawicieli szkoły nowojorskiej w poezji (A.P.)
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play